SPORT NIE ZNA GRANIC

OPOWIADANIA OLIMPIJSKIE

WARSZAWA 2018

SPORT NIE ZNA GRANIC

FALL

Prace
nagrodzone

w XXVIII Konkursie im. Jana Parandowskiego
na Opowiadania Olimpijskie

zorganizowanym
przez Polski Komitet Olimpijski

pod honorowym patronatem
Ministra Edukacji Narodowej

SPORT NIE ZNA GRANIC

opowiadania olimpijskie

pod redakcją
Magdaleny Rejf i Krzysztofa Zuchory

Warszawa 2018

Projekt graficzny okładki i ilustracja
© Aga, Iga i Ada Pietrzykowskie

© Polski Komitet Olimpijski
Wybrzeże Gdyńskie 4, 01-531 Warszawa
tel. 22 56 03 700
e-mail: pkol@pkol.pl

Przygotowanie do druku
© FALL ul. Garczyńskiego 2, 31-524 Kraków
tel. 12 41 33 500
fall@fall.pl

ISBN 978-83-66027-12-1

JAN PARANDOWSKI

Miałem swoją busolę – wiarę w człowieka. Żyłem i żyję z człowiekiem we wszystkich jego przemianach od owych dni, kiedy ujmował w garść nieobrobioną bułę kamienną i patrzyłem z głębokim przejęciem na te okrutne momenty, kiedy stał nad przepaścią, kiedy zdawało się, że nic go nie zbawi, a za chwilę widziało się go w triumfie życia i cywilizacji, z gorejącymi nad głową jak gwiazdy nowymi ideami, nową prawdą, którą wyłuskał z tajemnicy świata. Tak było, tak jest i tak będzie w tej cudownej epopei, którą człowiek tworzy swoim życiem, swym losem, swą myślą.

Dewiza życia wygłoszona przez Jana Parandowskiego
na scenie Teatru Polskiego w 1963 roku
podczas jubileuszu 50-lecia pracy pisarskiej

Jan Parandowski urodził się jeszcze w dziewiętnastym stuleciu (1885) we Lwowie w rodzinie inteligenckiej, w której osobą najważniejszą była babka, znająca hrabiego Fredrę, która na dwunaste urodziny otrzymała w prezencie tomik pierwszego wydania *Ballad i romansów* Adama Mickiewicza…

Pisarz ukończył gimnazjum Jana Długosza. Lekcje łaciny i greki, historia i filozofia były prowadzone na

poziomie akademickim, więc już jako osiemnastoletni absolwent mógł napisać dojrzały esej o Janie Jakubie Rousseau, mistrzu Emmanuela Kanta. Jan Parandowski nie odwracał się od środowiska lwowskich baciarów, jednak bliżej mu było do biblioteki uniwersyteckiej, z której czerpał ładunek intelektualny kształtujący całe jego życie. Później swojemu synowi powiedział: *Widzisz, Piotrusiu, ty masz w tygodniu mniej zajęć, niż ja miałem w ciągu jednego dnia*… W 1913 roku rozpoczął studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, zajmując się filologią klasyczną, archeologią, historią sztuki i literaturą polską. W czasie I wojny światowej został wywieziony w głąb Rosji. Po powrocie do Lwowa w 1920 roku dokończył studia z filologii klasycznej i archeologii.

Mitologia ukazała się w roku 1924. Ulubionym mitem J. Parandowskiego był, jak sam mówił, utkany z miłości i poezji mit o Prometeuszu, który rozbudził w człowieku ducha i dał mu moc panowania nad światem. Obok antyku najbliższa była mu kultura francuska z Gustavem Flaubertem jako wzorem sztuki pisarskiej.

Przyszłą żonę, Irenę, poznał w wieku 28 lat, gdy był wykładowcą w szkole dramatycznej. Ślub wzięli 8 sierpnia 1925 roku we Lwowie w kościele Świętego Mikołaja. Zamieszkali przy Domsa 5, gdzie urodziły się ich dzieci: Romana (1927) – na pamiątkę Rzymu i Zbigniew (1929), którego ojcem chrzestnym został Kazimierz Wierzyński*.

---

* W 1928 roku tom wierszy *Laur olimpijski* zapewnił Kazimierzowi Wierzyńskiemu złoty medal w Olimpijskim Konkursie Sztuki na Igrzyskach IX Olimpiady w Amsterdamie. Podczas tłumaczenia tekstów tłumacz z niewyja-

Po przeprowadzce do Warszawy (1930) J. Parandowski wraz z rodziną wynajął mieszkanie przy Czerniakowskiej 202 i szybko stał się gościem stolika skamandrytów w „Małej Ziemiańskiej" przy Mazowieckiej – miejsca analiz wszystkich wydarzeń literackich i kulturalnych, odkrywania młodych talentów, tworzenia najlepszych dowcipów natychmiast obiegających całą Warszawę. Stolik grupy literackiej Skamander, uformowanej przez Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego i króla stolika Antoniego Słonimskiego, był w tym czasie niedostępny dla przeciętności. Zapraszano do niego wybranych: Leśmiana, Balińskiego, Boya-Żeleńskiego, Brunona Winawera – autora *Księgi Hioba*, Nałkowską, Schillera, Jaracza i żywą legendę tego miejsca Franca Fiszera.

Czerniakowskiej budżet literacki nie wytrzymał, więc wkrótce rodzina Parandowskich przeprowadziła się do mieszkania przy Filtrowej 69. Gdy Parandowski pisał *Dysk olimpijski,* pojechał do Olimpii, do miejsc składania olimpijskich przysiąg, by „wtopić się" w pozostałości po świątyniach Zeusa. Książka ukazała się

śnionych powodów opuścił wiersz zatytułowany *Skok w dal*, zaczynający się słowami:

Z nogi na nogę staje i kołysze ciało
Jakby je chciał tak napiąć by z bezruchu matni
Wydobyć jednym rzutem doniebnym – to mało,
Wciąż napręża muskuły – wreszcie skłon ostatni…

Laur olimpijski natychmiast zyskał międzynarodową sławę, ale *Skok w dal* uległ całkowitemu zapomnieniu, a próby poety ponownego włączenia go do zbioru nie przyniosły rezultatu.

w 1933 roku, w tym samym, w którym został prezesem polskiego PEN Clubu*.

Lata okupacji spędzili Parandowscy na licznych tułaczkach, tajnym nauczaniu, ucieczkach przed bombardowaniami. W okresie straszliwego głodu, 23 września 1944 roku przyszedł na świat ich syn Piotr. W stanie skrajnego wyczerpania, właśnie w chwili gdy otrzymali od starosty z Tarnobrzega platformę pełną żywności, zostali przez Putramenta i Kuryluka zabrani do Lublina. Po wojnie w zupełnie innych warunkach politycznych, jak wielu profesorów przedwojennych polskich uczelni, związał się z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie pozostał do 1948 roku. Tu reaktywował polski PEN Club, uśpiony z konieczności podczas okupacji. Zwracając się do kilku centrów PEN Clu-

* PEN Club (Poets, Essayists, Novelists) – międzynarodowe stowarzyszenie pisarzy założone w 1921 roku w Londynie przez Catherine Amy Dawson Scott w celu promowania przyjaźni oraz intelektualnej współpracy pomiędzy pisarzami z całego świata. Organizacja niepolityczna i pozarządowa, związana z UNESCO oraz Komisją Ekonomiczno-Społeczną Narodów Zjednoczonych. W maju 1962 roku, podczas posiedzenia komitetu Wykonawczego Federacji Pen Clubów w Brukseli, Jan Parandowski wybrany został wiceprezesem Federacji przez aklamację.

Założycielem w 1925 roku polskiego Oddziału PEN Clubu był Stefan Żeromski – został też jego pierwszym prezesem. Jan Parandowski pełnił tę funkcję w latach 1933––1978. Wymagała ona licznych podróży za granicę – Włochy, Grecja, Anglia, Francja, Skandynawia, Ameryka Płd. Wachlarz języków obcych, którymi posługiwał się Jan Parandowski, był bardzo szeroki: łacina, greka, angielski, francuski, niemiecki, rosyjski i włoski. W 1988 roku Irena Parandowska zapoczątkowała przyznawanie Nagrody Literackiej Polskiego PEN Clubu imienia jej zmarłego męża Jana Parandowskiego.

bu, głównie do PEN Clubu amerykańskiego, rozpoczął akcję pomocy pisarzom, których wojna pozbawiła całego dobytku. Napływ paczek z całego świata w wielu przypadkach rozwiązał podstawowe problemy.

Po powrocie do Warszawy państwo Parandowscy zamieszkali w kamienicy przy Zimorowacza 4* (przedwojenne mieszkanie na Filtrowej przestało istnieć, a wraz z nim cała biblioteka, listy, notatki, rękopisy, pamiątki… nie zostało nic!!!).

Po podpisaniu z Czytelnikiem umowy na pierwsze powojenne wydanie *Nieba w płomieniach* Jan Parandowski mówił: *Za pierwsze powojenne wydanie „Nieba w płomieniach" kupiłem mieszkanie, za drugie żyliśmy przez rok, za trzecie – przez miesiąc*.

Mieszkanie szybko zapełniło się meblami, zwożonymi przez żonę Irenę z licznych warszawskich targowisk. Simmlerowska damska toaletka, po wyjęciu z niej lustra i zastąpieniu go XVII-wieczną mapą Italii, stała się biurkiem, przy którym, „między lampą a świtem", jak to ujął Jan Parandowski w tytule jednego z opowiadań, powstawały: *Powrót do życia, Alchemia słowa, Petrarka, Zegar słoneczny,* wiele esejów i opowiadań. Listy, korekty, zapiski, przygotowania do wystąpień, wykonywał *ad hoc*, w wolnym miejscu.

Z *Dnia Jana* napisanego przez żonę Irenę po śmierci pisarza wiemy, że Jan Parandowski miał w domu gwarancję tylko 4 godzin spokoju dziennie: wspomniane poranki, kiedy dom jeszcze spał, i dwie godzi-

* Na ścianie kamienicy widnieje tablica pamiątkowa odsłonięta 12 maja 1997 roku przez Władysława Bartoszewskiego, współpracownika Parandowskiego w czasie pełnienia przez niego funkcji prezesa PEN Clubu. Poświęcenia tablicy dokonał ksiądz Aleksander Seniuk, rektor kościoła Sióstr Wizytek.

ny popołudniowe na hasło „Mak" – cisza za drzwiami opatrzonymi watoliną, gdzie nad biurkiem kolekcję pamiątek wieńczyła maska pośmiertna Chopina zastąpiona później maską Dantego*.

Uroczystości jubileuszowe 50-lecia pracy pisarskiej Jana Parandowskiego, zorganizowane przez Związek Literatów Polskich, odbyły się w Teatrze Polskim w Warszawie w poniedziałek 16 grudnia 1963 r. Wzruszające przemówienie wygłosił Jarosław Iwaszkiewicz – prezes Związku Literatów, przyjaciel pisarza. W imieniu PEN Clubu mówił pełen życzliwości i przyjaźni Ludwik Morstin. Po odczytaniu depesz i przemówieniu Jana Parandowskiego nastąpiły dwie niespodzianki.

Najpierw zjawiła się para sławnych mistrzów sportu, Kwaśniewska i Sidło, by wręczyć mi wspaniały puchar z dedykacją od Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Oszołomiony tylu emocjami, skąpo i nieporadnie złożyłem im podziękowanie, na szczęście mogłem się dwa dni później poprawić w Klubie Olimpijczyka, gdzie min. Reczek wrę-

* Maski wykonał Alfons Karny i ofiarował Janowi Parandowskiemu razem ze spiżowym krzyżem kalwaryjnym. Po śmierci pisarza syn Zbigniew wkomponował ten krzyż w piękny granitowy nagrobek, który postawił na Starych Powązkach według własnego projektu (Aleja Zasłużonych, ngr. 29).
Alfons Karny – jeden z najlepszych rzeźbiarzy polskich XX wieku. Inspirowany twarzami, szczególnie ludzi zasłużonych, o wybitnych cechach charakteru i umysłu. Autor sławnej *Dziewczynki ze skakanką*, rzeźby z brązu, wyróżnionej na wystawie „Sport w Sztuce" w 1931 roku oraz nagrodzonej I nagrodą w krajowym Olimpijskim Konkursie Sztuki w 1932 roku.

czył mi dyplom członka honorowego i przy tej sposobności powiedziałem, jak dalece w takich momentach odczuwam wdzięczność dla samego siebie, że przed trzydziestu laty zdecydowałem się napisać „Dysk olimpijski” – ta książka otworzyła mi wstęp do świata sportu, który inaczej byłby dla mnie zamknięty.*

*Po sportowcach pojawił się na scenie Teatru Polskiego Alfons Karny, dźwigając szczelnie owinięte, jak się okazało po zdjęciu opakowania, moje popiersie, będące jego dziełem. Stoi ono teraz w moim pokoju, jeszcze się nie oswoiłem z tym milczącym sobowtórem, w każde rano wita mnie on niespodzianką. Wiąże się z nim wiele wspomnień…***

---

* *Dysk olimpijski* ukazał się w 1933 roku. Na Międzynarodowy Konkurs Sztuki do Berlina organizowany podczas Igrzysk XI Olimpiady posłano go w doskonałym przekładzie niemieckim Jana Pawła Kaczkowskiego, tłumacza *Chłopów* Reymonta. Międzynarodowe jury, pomimo wyraźnie hitlerowskich nastrojów, przyznało Parandowskiemu brązowy medal olimpijski. Akcję nagrodzonej powieści pisarz umiejscowił podczas pierwszych igrzysk, jakie odbyły się po odparciu przez Greków drugiego najazdu perskiego, znaczonego obroną Termopil oraz bitwą morską pod Salaminą. W czasie okupacji książka ukazała się w Londynie i do rąk Parandowskich dotarła za pośrednictwem brytyjskiego skoczka.

** Z wywiadu Jana Parandowskiego dla „Życia Warszawy” nr 5 (5–6.01.1964).

Wyrzeźbiona głowa Jana Parandowskiego powstawała przez dwa miesiące podczas wakacji na werandzie pokoju otwartego na morze w domu Związków Literatów w Sopocie. Gliniany model, ważący kilkadziesiąt kilogramów, owinięty mokrymi płótnami, docierając do salonki mającej szczęśliwie dowieźć go do Warszawy, przez nieuwagę tragarzy i ku rozpaczy autora wylądował na ziemi… Z powstałego placka nic nie dało się już zrobić. Następnego lata (1951) A. Karny w Polanicy – też na werandzie – odtworzył rzeźbę.

W Klubie Olimpijczyka Polskiego Komitetu Olimpijskiego pisarz gościł wielokrotnie. Patronował mu jeszcze przed inauguracją, która nastąpiła 4 maja 1963 roku. Wspomniana przez Jana Parandowskiego wizyta przy Frascati 4, będąca uroczystym spotkaniem obchodzącego 50-lecie pracy literackiej pisarza z olimpijczykami odbyła się 19 grudnia 1963 o godz. 18.00. Zawodnicy i działacze dziękowali pisarzowi za inspirację, którą czerpali z jego *Dysku olimpijskiego.* Mówił o tym również architekt, budowniczy Stadionu X-lecia – prof. dr Jerzy Hryniewiecki – laureat Złotego Wawrzynu Olimpijskiego 1969 w dziedzinie budownictwa sportowego. Temat podejmowali też sprawozdawcy sportowi. Prezes Klubu – Maria Kwaśniewska-Maleszewska zwróciła się do pisarza tymi słowami:

W roku XI Olimpiady w Berlinie 1936 roku razem zdobyliśmy medale. Pan został nagrodzony w olimpijskim konkursie sztuki. Ja, wówczas jako młoda dziewczyna, siłą swoich mięśni medal wywalczyłam na boisku. I cieszę się, że „Dysk olimpijski" nie stracił nic ze swojej wielkości, choć mój ówczesny sukces dziś widzi się jak przez mgłę. Tak

powinno być. Znajduje to żywe potwierdzenie we współczesnym sporcie, w którym siła mięśni już nie wystarcza.

… Moja książka dała mi prawo wstępu do świata sportowego, świata wielkiej przygody. I to jest moją największą nagrodą – powiedział Jan Parandowski. – *Mam prawo sądzić, że życzliwość, z jaką się w nim spotkałem jako człowiek pióra, nie jest tylko powierzchowną kurtuazją. Sportowcy, ludzie stadionów, w mojej książce, w mojej wizji życia sportowego, odnajdują coś własnego, coś co otacza ich świat**.

Również w grudniu 1963 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki uhonorowało Jana Parandowskiego Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Dekoracji dokonał minister Tadeusz Galiński.

Podczas ostatniej wizyty pisarza w siedzibie Polskiego Komitetu Olimpijskiego (już niedomagającego z powodu długotrwałej choroby) na pytanie, czy obecny sport należycie kształtuje charakter naszej młodzieży, Jan Parandowski powiedział:

Zagadnienie jest dość złożone. Oczywiście i w naszej dobie wielkie wydarzenia sportowe wzbudzają ogromne zainteresowanie rzesz, jednak sport w epoce klasycznej był bardziej powszechny. Nie tylko wielkie święta sportowe zaprzątały umysły ludzi tamtych czasów. Stałe uprawianie sportu było zajęciem absorbującym każdego człowieka w antycznej Grecji. Wszystko było oczywistsze niż obecnie, nieprzybrudzone podtekstami ubocznymi, które stają się teraz jawnymi tekstami wręcz obarczającymi dzisiejszy sport.

* „Słowo Powszechne" nr 304 (20.12.1963).

A później opowiadał o dwóch postaciach sportowców, których stworzył na stronicach *Dysku olimpijskiego**.

18 czerwca 1975 roku Katolicki Uniwersytet Lubelski nadał Janowi Parandowskiemu tytuł doktora honoris causa za zasługi na polu literatury i nauki. Ze względu na zły stan zdrowia dyplom wręczono pisarzowi w jego mieszkaniu, co było przypadkiem niemającym precedensu w naszym kraju (gdy honorowana osoba nie może być obecna na uroczystości, zastępuje ją ktoś inny). Przyjechał cały senat akademicki, obecny był ks. prymas kard. Stefan Wyszyński i przedstawiciele polskiego PEN Clubu.

W tym samym roku Jan Parandowski uhonorowany został nagrodą Radia Wolna Europa.

W sobotę 30 września 1978 roku trumnę z ciałem Jana Parandowskiego nieśli na własnych barkach koledzy pisarze. Nad otwartą mogiłą żegnał Go w imieniu Pen Clubu wiceprezes Jan Zagórski, w imieniu polskich pisarzy wiceprezes ZG ZLP Janusz Krasiński. A oto fragment z przemówienia Jarosława Iwaszkiewicza:

Każdy z nas pisze o przemijaniu – nie każdy potrafi pisać o trwaniu. O Parandowskim mówiono, że piękno świata ustępuje przed pięknem Jego słowa. Stawiano to jako zarzut chyląc równocześnie czoła. Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia choćby tego zdania Jana Parandowskiego opiewającego trzciny papirusów: „Najistotniejsze natchnienia ludzkości przechowywano we włóknach tej

* „Kultura" nr 42 (15.10.1978)

cudownej trawy. Z jej wątłych ścięgien uczyniono trwałe skrzydła, na których myśl starożytna przeleciała przez pogorzelisko wieków". Takim językiem pisał Parandowski swoje dzieła: „Dwie wiosny", „Mój Rzym", „Dysk olimpijski", „Króla życia", „Petrarkę", „Mitologię" i klasyczny dramat „Medeę".

Trzy lata później 30 maja 1981 roku imię „Parandowski" otrzymał statek zbudowany na zamówienie Towarzystwa Polsko-Chińskiego. Matką chrzestną była Irena Parandowska. Statek był drobnicowcem o wyporności 16 700 ton przeznaczonym do obsługi linii Gdynia–Szanghaj. Piękna uroczystość w Stoczni Gdańskiej przyćmiona została ogromnym w naszym kraju smutkiem związanym ze śmiercią i pogrzebem księdza prymasa Wyszyńskiego.

W hołdzie pisarzowi Polski Komitet Olimpijski od 1989 roku corocznie przeprowadza Ogólnopolski Konkurs im. Jana Parandowskiego, który uznany został przez MKOl za jedną z dwudziestu najlepszych inicjatyw edukacyjnych na świecie organizowanych przez narodowe komitety olimpijskie*.

Magdalena Rejf

---

* Tekst powstał na podstawie informacji zawartych w książkach: *Dzień Jana* Ireny Parandowskiej, *Mitologia wspomnień* Piotra Parandowskiego oraz w archiwalnych materiałach prasowych biblioteki Związku Literatów Polskich w Warszawie.

Przeszkody nie tarasują drogi, którą biegnie się po marzenia

I

Artysta posługujący się słowem musi nazywać po imieniu i rzeczy, i wzruszenia. Mówić obrazami i myśleć metaforami. Szukać słów mocnych, energicznych, świeżych, żywych. Odważnie stawiać pytania i znajdować odpowiedzi. Organizować wzruszenia i opisywać dzieje ludzkiego losu w taki sposób, jakby wszystko zaczynało się po raz pierwszy.

Dobra literatura nie mówi wprost, ale się komunikuje z czytelnikiem, wciąga do gry (w naszym przypadku do gry sportowej), ażeby się uczył, jak reagować na rzeczy i wartości duchowe. Wartości nie da się nauczyć, trzeba je zdobywać wysileniem serca i umysłu. Porażkę sportową nie zawsze udaje się przekuć w sukces, ale zawsze można z niej wyciągnąć coś wartościowego.

Paraolimpiada jest takim przykładem, gdzie najpierw zauważa się różne poziomy niepełnosprawności, a dopiero później na tym podłożu buduje się więzi wspólne i ważne dla wszystkich.

Sport to nie tylko wiedza i umiejętności, to także filozofia i forma sztuki. Trener jako przewodnik nie staje się autorytetem przez to, czego uczy, lecz się staje, ponieważ wskazuje, jak należy się zachowywać i jak re-

agować na sytuacje na boisku i w życiu, pamiętając, że sport nie jest obietnicą lecz szansą.

Tym, którym nie uda się pokonać własnej niepełnosprawności, też przynosi jakieś dobro. Sport leczy to, co da się naprawić i wzmocnić, lecz uczy też, jak trwać z tym, czego naprawić się nie da. Jest lekiem homeopatycznym zastępującym leki przeciwbólowe, także i te, które powstają z jego przyczyny.

II

Dzieci i młodzież otwarci są na nowości techniczne i moralne. Przyjmują ze sportu, co daje im szczęście, unikają natomiast tego, co je zasmuca. Wybierają obecność w sporcie, ponieważ stwarza okazję do dobrej zabawy. Kultywują sport jako sztukę opartą na aktywnym uczestnictwie, odnoszą do siebie obowiązujące konwencje i wzory zakotwiczone w kulturze. To wszystko, co dzieje się przy okazji ćwiczeń fizycznych budzących emocje, jednocześnie powinno się odbywać podług woli rozumu.

Autorzy opowiadań zawartych w tej książce ukazują sport przez pryzmat wartości ważnych przede wszystkim dla wewnętrznego rozwoju człowieka. Piszą, że sport poprawia samopoczucie. Przezwycięża samotność, zapraszając do wspólnej zabawy na boisku. Zabłąkanym i błądzącym wskazuje powrotną drogę do siebie. Z niepełnosprawności prowadzi do życia z niepełnosprawnością. Nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie stawia życie, ale też świat dziecka jest oparty na pomocy dorosłych, którzy wiele ciężarów biorą na siebie, niektóre bariery usuwają z drogi, aby nie hamowały marzeń. Trzykrotnie, przy różnej okazji cytowane są słowa Eleonore Roosevelt: *Przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno swoich marzeń*.

Dzieci i młodzież uczą się rozumienia sportu bezpośrednio na boisku. Dzieje się tak wtedy, kiedy mają wpływ na charakter i przebieg gry. Przystępując do gry biorą odpowiedzialność nie tylko za to, jakie szkody mogą napotkać po drodze, ale nade wszystko to, jakie czeka ich dobrodziejstwo. Oto kilka przykładów „złotych myśli" zawartych w tej książce:

To my decydujemy o tym, czy wygramy, czy poniesiemy klęskę.

Przegrana to przystanek na drodze do zwycięstwa.

Nienawiść może wyrosnąć na najmniej życzliwej glebie.

Biegnę, bo wreszcie jestem wolny. Biegnę tak, jakbym nigdy nie miał się zatrzymać.

Uwagi odbierają siłę i zapał, pochwały dodają skrzydeł.

Jeśli robisz to, co chcesz, wtedy nie oszukujesz.

Dylematy moralne i nieszczęścia dostają się na teren sportu niekiedy przez dziurę w płocie. Łatwo temu zaradzić. Gorzej kiedy wnoszą je do sportu dorośli: rodzice, trenerzy, działacze. Młodemu zawodnikowi każe się wybierać: kariera czy sumienie. Jeśli znajdzie w sobie dość odwagi i odrzuci drogę „na skróty" – musi liczyć się z wykluczeniem.

Doping pojawia się jako „krajobraz zła", na którego tle w opowiadaniach olimpijskich ujawnia się długa lista zalet i cnót, wśród nich trzy główne: prawda, dobro i piękno. Do takiego rozumienia sportu młodych autorów prowadzą literatura i sztuka. Upowszechniają i popularyzują sport jako metaforę ludzkiego życia zawartą w wierszu Jana Pawła II:

Nigdy nie jest za późno,
by na stacji złych zdarzeń,
złapać pociąg ostatni
i dojechać do marzeń.

III

Opisywanie sportu przychodzi dzieciom łatwo, same przecież tworzą jego obraz dobrze rozpoznany w zabawie. Wtedy wyobraźnia i fantazja dostarczają takiego materiału literackiego, że wystarczy poddać się natchnieniu. I pisać.

Fakty i rzeczy schodzą na drugi plan, kiedy na scenę wkracza sport w przebraniu autora, który grę prowadzi z takim nastawieniem, że udawanie jest ważniejsze od prawdy. Dramat w rodzinie jest bolesny i trzeba się z nim zmierzyć. Trudności w szkole ograniczają wolność. Potrzebna jest odwaga Ikara, aby znaleźć wyjście z labiryntu szkolnego życia. Dominującym ciężarem w życiu dorastającej młodzieży jest samotność, która ma bardzo różne podłoże. Przyczyną może być bieda, niesprawność, opóźnienie umysłowe. Ale też rodzi się przez „odrzucenie społeczne" na tle rasowym lub religijnym. Opinia środowiska rówieśniczego jest ważniejsza od rodziny i dorosłych. Kłopoty związane z samotnością są przeważnie natury duchowej, przez to – nieczytelne dla otoczenia społecznego. Pomoc z zewnątrz dociera niekiedy z opóźnieniem paru lat i zderza się z osobowością powiązaną wewnętrznie negatywnym nastawieniem do ludzi i świata. Udawana radość i brak nadziei na lepsze jutro zmieniają życie w teatr, gdzie udawanie zasługuje na oklaski.

Motyw samotności pojawia się w tej książce z nastawieniem, że autorzy opowiadań kreślą drogę, która prowadzi od samotności do ludzi na stadionie. Sport jak każda sztuka biegnie od człowieka do człowieka. Nie ma takiej samotności, której nie da się w sporcie obsadzić w jakiejś roli. Jest miejsce dla wirtuozów i początkujących, dla wnuka i dziadka. Zwłaszcza ta ostatnia uwaga jest ważna. Z lektury tych opowiadań

wyprowadzam wniosek wybiegający w przyszłość: następuje renesans wychowania w rodzinach dwupokoleniowych. Z tym zastrzeżeniem, że nie chodzi tu o życie pod przysłowiowym „wspólnym dachem", gdyż nie miejsce wiąże rodzinę, lecz wartości przekazywane w sztafecie pokoleń.

Syn w rozmowie z ojcem lub matką prowadzi dialog. Rozmowa z dziadkiem lub babcią przypomina literaturę. Rodzinną sagę, która oprócz baśniowego charakteru i żywych wspomnień, przechowuje pamiątki sportowe zawierające emocje niezależnie od upływu czasu.

Mamy też w takim wypadku do czynienia z różnymi szkołami etyki sportowej. W rodzinie obowiązuje przeważnie etyka normatywna, trzymanie się reguł i respekt wobec prawa. „czysta gra" jest miarą poprawności moralnej, gwarantuje uznanie i szacunek w środowisku społecznym. Doping i narkotyki to problemy, które należy zwalczać za pomocą dostępnych narzędzi.

Inaczej jest w szkole, którą prowadzi dziadek. Tu wiele rzeczy i spraw wygląda inaczej. Autorytet dziadka nie wynika z jego pozycji, jaką zajmuje w rodzinie, lecz z tego, kim jest i jakim uczuciem darzy wnuka. Na trudne pytania znajduje trafne odpowiedzi. Nie wybiega myślami zanadto w przyszłość, niczego nie zostawia na potem, sprawy sumienia nie cierpią zwłoki i dziadek o tym wie. Nie mówi, jak ma być, lecz jak być powinno. Jest mądry jak Sokrates, który na pytanie, ilu ma uczniów, odpowiedział, że nie ma uczniów, lecz przyjaciół. Mądrość dziadka bierze się z tego, że opiera się on na na genetycznym kodzie kulturowym obowiązującym w rodzinie olimpijskiej.

Sport daje radość i piękno ukryte w zabawie, lecz w zamian oczekuje wysiłku i miłości. Wzmacnia słabych,

a mocnych uczy pokory. Ceni sobie zwycięstwo, lecz osiągnięte w uczciwy sposób. Dzielnie znosi porażki. Okaleczony przez los, mocniej trzyma ster. Nie zbacza z kursu. Nie tyle ważne są czyny, co intencje, które za nimi stoją. Atrybutem sportu jest czas; biegnie tak, jakbyś chciał wyprzedzić życie. Im jestem starszy – mówi dziadek do wnuczka – *tym bardziej podoba mi się to, co robię dla samego piękna. Może jest to „pięknoduchostwo", ale co mam z tym zrobić, kiedy przyjęło się we mnie. Nie goń za szczęściem, szukaj go w sobie. Trwaj w prawdzie.*

Mimo żywej narracji nie zawsze opowiadania są wesołe. Przeważnie pierwsze spotkanie ze sportem jest radosne, ale potem gorzknieje i budzi refleksje.

Jest niekiedy tak jak z oglądaniem telewizji i przeskakiwaniem z kanału na kanał albo z otwieraniem okienek Windowsa: niby jeden świat, ale widziany z innej perspektywy. Do tego dochodzi jeszcze to, że autorzy opowiadań z typowym dla młodego wieku zniecierpliwieniem przerzucają uwagę z jednej zabawy na drugą. Nie zmienia się jednakże zaangażowanie obecne w grze literackiej pisanej na Konkurs Olimpijski im. J. Parandowskiego, widoczne w starannym przygotowaniu tekstów, dbałości o poprawność i artystyczny język oraz wysoki poziom wrażliwości.

Oliwia Jakubowska pisze tak: *Popatrz, miałam ci opowiedzieć o sporcie, a mówiłam o swoim życiu.* Czasami trwa niecałe 10 s, a niekiedy odbywa się na trasie z Maratonu do Aten. W ten sposób olimpizm zachowuje ciągłość organizując wyobraźnię dzieci i młodzieży według kryteriów etycznego i artystycznego piękna.

Krzysztof Zuchora
Warszawa, 1 maja 2018 r.

LAUREACI

Uczniowie

szkół podstawowych

NATALIA BOROWY

MAGDALENA GRODNIEWICZ

OLIWIA JAKUBOWSKA

JAKUB KRAJNIK

ANNA NIEWIAROWSKA

SYLWIA SIEDLECKA

MIKOŁAJ SZCZĘSNY

AMELIA WOTA

NATALIA BOROWY

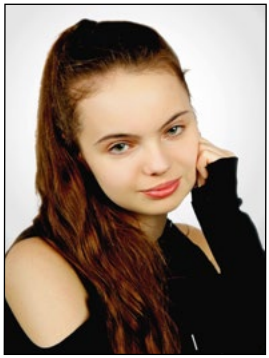

Mam 14 lat i jestem uczennicą klasy VII w Szkole Podstawowej nr 4 im. Janusza Korczaka w Chojnowie – niewielkiej miejscowości na Dolnym Śląsku. Śmiało mogę powiedzieć, że moją największą pasją jest taniec, który trenuję od 6 roku życia wraz z zespołem „Karambol" przy MDK w Chojnowie. Lubię ruch. Jeżdżę konno, na rolkach, z zapałem gram w siatkówkę, koszykówkę, a w ferie próbuję swoich sił w sportach zimowych. Tak jak taniec pomaga mi przenieść emocje na parkiet, tak pisanie pomaga mi przelać je na papier. Tworzę więc opowiadania, wiersze – choć większość z nich ląduje w szufladzie mojego biurka. Jestem perfekcjonistką. Tylko dobrze zatańczony układ czy porywające opowiadanie jest w stanie zaspokoić moje wymagania względem siebie. Inaczej czuję niedosyt. W wolnych chwilach sięgam po ołówek i rysuję. Z sukcesem biorę udział w konkursach literackich i plastycznych. Jakby tego było mało, lubię też przedmioty ścisłe: matematykę, fizykę, chemię. Dlatego nie pytajcie mnie, kim będę w przyszłości. Moja przyszłość to dla mnie ciągle nieodkryta karta, którą, mam nadzieję, zapiszę najpiękniej jak tylko się da.

MAGDALENA GRODNIEWICZ

Urodziłam się 11 września 2004 roku w Krakowie. Mieszkam w Przytkowicach i jestem uczennicą klasy VII w Katolickiej Szkole Podstawowej im. Jana Pawła II w Skawinie.

W wolnym czasie gram na fortepianie, uwielbiam czytać książki, oglądać filmy i pisać opowiadania oraz powieści (od czwartej klasy szkoły podstawowej biorę udział w licznych konkursach literackich i odnoszę w nich sukcesy). Najczęściej piszę historie fantasy z elementami batalistyki. Do tworzenia najbardziej inspiruje mnie muzyka epicka. Często razem z moją rodziną odwiedzam ciekawe miejsca w Polsce, a wśród nich zamki.

Moje ulubione przedmioty w szkole to przede wszystkim historia i biologia. W historii interesuje mnie starożytność i okres średniowiecza. Z wielką chęcią sięgam po kolejne mity greckie i słowiańskie, są one moim zdaniem bardzo ciekawe i stanowią inspirację dla mojej twórczości. Biologia z kolei to dziedzina nauki, z którą wiążę swoją przyszłość, ponieważ chcę zostać lekarzem pediatrą lub fizjoterapeutą dziecięcym. Lubię też sport, szczególnie koszykówkę i piłkę ręczną. Z dyscyplin zimowych moją ulubioną jest jazda na łyżwach.

Marzę o tym, by wydać własną książkę i zwiedzić Europę, a zwłaszcza Grecję i ruiny starożytnej Troi, odkrytej przez Henryka Schliemanna. Wierzę, że uda mi się spełnić moje marzenia, w końcu *przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno swoich marzeń* (Eleanor Roosevelt).

OLIWIA JAKUBOWSKA

Urodziłam się 11 sierpnia 2005 roku w Warszawie. Dzień ten ludzkość zapamiętała szczególnie, ale nie dlatego, że ja się urodziłam, tylko dlatego, że – jak doniosła większość gazet – w tym dniu jakiś facet pogryzł psa.

Wczesne dzieciństwo upłynęło mi na beztroskiej zabawie, początkowo w domu rodzinnym, a później w przedszkolu. W roku 2012 rozpoczęłam naukę w międzynarodowej szkole pod nazwą The International School przy ulicy Jagielskiej w Warszawie, gdzie językiem wykładowym był angielski. Z tej szkoły wyniosłam solidne podstawy znajomości tego języka. Moim największym ówczesnym osiągnięciem było zdobycie 12 miejsca w kraju w konkursie „Olimpusek".

Zmieniłam szkołę w IV klasie. Teraz jest to Szkoła Podstawowa nr 330 w Warszawie. Biorę czynny udział w życiu kulturalnym szkoły, czego dowodem może być pisanie scenariuszy i prowadzenie szkolnych uroczystości. Brałam udział w kilku konkursach o zasięgu ogólnokrajowym i międzynarodowym. W konkursie FOX (z języka angielskiego) startowałam trzykrotnie i za każdym razem zdobywałam wynik bardzo dobry, podobnie jak w konkursie Key English Test organizowanym przez uniwersytet Cambridge. W konkursie na opowiadanie im. Jana Parandowskiego uzyskałam tytuł laureata. Odnoszę również pewne sukcesy w zawodach sportowych.

JAKUB KRAJNIK

Urodziłem się 29 września 2004 roku w Toruniu i mieszkałem tam do 3 roku życia. Obecnie jestem uczniem VII klasy Szkoły Podstawowej nr 24 im. Gustawa Morcinka w Gdańsku. Sporą część swojego czasu poświęcam na czytanie książek, głównie fantastyki i powieści przygodowych. Zawsze najchętniej uczyłem się języka polskiego. Najpierw moim nauczycielem była pani Ewa Bareja, a odkąd został nim pan Leszek Krejczy, chciałbym, aby lekcji było jak najwięcej. Według mnie, najciekawsze zagadnienia dotyczą gramatyki języka polskiego. Swoją wiedzę wykorzystuję, biorąc udział w konkursach przedmiotowych, w których udało mi się odnieść już kilka sukcesów.

Mam wiele pasji i zainteresowań, od anatomii począwszy, przez geografię społeczno-ekonomiczną, po historię, głównie XX wieku. W wolnych chwilach sklejam modele pojazdów z II wojny światowej.

W tym roku szkolnym zakwalifikowałem się do udziału w projekcie *Zdolni z Pomorza*, realizowanym przez Samorząd Województwa Pomorskiego, w partnerstwie z powiatami naszego województwa, w którym mogę poszerzać swoją wiedzę z zakresu kompetencji społecznych. Bardzo lubię również uprawiać sport, od 4 lat pływam na windsurfingu, choć rozpoczynałem swoją przygodę z żeglarstwem podczas półkolonii, pływając na jednoosobowych jachtach Optimist.

ANNA NIEWIAROWSKA

Jestem uczennicą klasy VII Szkoły Podstawowej w Zabierzowie. Uwielbiam czytać, zwłaszcza książki przygodowo-podróżnicze. Interesuję się sztuką. Sama rysuję i maluję, uczę się gry na pianinie. Uczęszczam na zajęcia teatralne, w których udział sprawia mi ogromną frajdę. Od kilu lat tańczę dance-jazz w szkole tańca. Moją wielką pasją jest fotografia. Robię setki zdjęć w każdym miejscu, w którym się znajdę. Jestem miłośniczką zwierząt, zwłaszcza moich ukochanych kotów. Lubię ruch. Latem pływam i jeżdżę na rowerze, a zimą na nartach. Kocham podróże. Uwielbiam poznawanie nowych miejsc, ich zabytków, kultury i kuchni. Odkryłam u siebie także pasję do pieczenia, które sprawia mi ogromną przyjemność. Lubię eksperymentować w kuchni, a moje wypieki zawsze się udają i smakują pysznie. Lubię spędzać kreatywnie czas z moją przyjaciółką, z którą nigdy się nie nudzimy. Wciąż odkrywam siebie z innych stron i czasem sama siebie zaskakuję. Umiem się cieszyć z małych rzeczy, a na poważne decyzje mam jeszcze czas.

SYLWIA SIEDLECKA

Urodziłam się w 2004 roku. Obecnie jestem uczennicą klasy VII Szkoły Podstawowej w Gawlikach Wielkich, miejscowości położonej na Mazurach.

Około dziesiątego roku życia zaczęłam pisać. Nikt nie pokładał we mnie wielkich nadziei. Stale słyszałam: *Nie nadajesz się do tego!*, *Jesteś na to za słaba*. Starałam się nie przejmować, choć było to trudne.

W wieku jedenastu lat założyłam pierwszego bloga, na którym pojawiły się moje prace. Jednak i tam nie miałam szczęścia. Krytykowano mnie za najmniejszy błąd, a komentarze, które do mnie przychodziły, brzmiały najczęściej: *To ma być opowiadanie? Żenada*. W tamtej chwili odpuściłam sobie pisanie i szybko do niego nie wróciłam.

Półtora roku później zatęskniłam za kreowaniem nowych światów. Znalazłam w tym czasie stronę o nazwie „Wattpad.Com". Było to dla mnie coś nowego. Zaczytywałam się w książkach pisanych przez osoby takie jak ja – zwykłych nastolatków, którzy pisali dla siebie i nie przejmowali się krytyką. Po kilku dniach sama stworzyłam tam swoją pierwszą internetową książkę. Bałam się tego, jak mnie przyjmą.

Komentarze mnie zadziwiły. Nie były złośliwe. Wiele osób podpowiadało, co powinnam poprawić, a co wyrzucić. Ludzie byli tam przemili. Poznałam wiele osób, które pomogły mi na nowo uwierzyć w swój talent.

W wieku lat trzynastu rozwinęłam swoje umiejętności do tego stopnia, że pochwaliłam się bliskim i kilku znajomym, że piszę pod pseudonimem i mam stu trzydziestu pięciu „obserwatorów" na wcześniej wymienionej stronie.

Jednak dopiero teraz, gdy zdobyłam tak wysokie miejsce w tak znaczącym dla mnie konkursie, zrozumiałam, że mój trud coś znaczył. Warto było wysłuchać wszystkich obraźliwych i pochwalnych komentarzy, bo dzięki nim stałam się lepsza w tym, co kocham – pisaniu. Dopiero teraz zaczęłam wierzyć, że moje marzenie, którym jest zostanie pisarką, może stać się prawdą.

MIKOŁAJ SZCZĘSNY

Mieszkam w uroczej wsi – Dąbrowie Wielkiej, miejscowości o bogatej przeszłości, którą rozsławił syn tej ziemi, Teodor Goździkiewicz, pisarz, eseista, dziennikarz. Uczęszczam do Szkoły Podstawowej Gminy Sieradz im. Jana Pawła II w Sieradzu, mieście, w którym czternaście lat temu przyszedłem na świat.

Mam dwie pasje, które – odkąd pamiętam – prowadzą mnie przez życie. Uwielbiam przyrodę, leśne wędrówki, obserwacje zwierząt, a także od kilku lat interesuję się łowiectwem. Wiele czasu, oprócz nauki, poświęcam na czytanie książek o tematyce historycznej oraz myśliwskiej. Uwielbiam zwiedzanie starych pa-

łaców, zacisznych dworków czy wyniosłych zamków. W szkole najbardziej lubię dwa przedmioty: język polski oraz historię. Interesuję się literaturą, a także historią średniowiecza oraz dwudziestoleciem międzywojennym. Lubię stawiać sobie cele i je realizować. Jestem dwukrotnym finalistą wojewódzkiego przedmiotowego konkursu z historii. Biorę również udział w takich, które odbywają się na Ziemi Sieradzkiej, czego przykładem jest moje dwukrotne zwycięstwo podczas rajdu Śladami Łuki Bakowicza w teście ze znajomości książki Teodora Goździkiewicza pt. *Sprawy Łuki Bakowicza* oraz jego sylwetki. To właśnie one są dla mnie szczególnie ważne, gdyż dotyczą obywatela mojej małej ojczyzny. Sport nie jest mi obcy, gdyż często lubię grać w piłkę nożną, a także swego czasu uprawiałem jazdę konną.

Jestem optymistą, po każdej porażce potrafię podnieść się i dalej iść do przodu. Sukces w tym konkursie jest dla mnie niezwykle ważny, gdyż dał mi ogromną motywację do dalszego pisania. Moim mottem są greckie słowa *kalos kai agathos*, które od zawsze prowadzą mnie przez życie.

AMELIA WOTA

Urodziłam się w Krośnie (ale mieszkam w Targowiskach) w miesiącu… prawdziwych Polek o duszy artysty. Tak, mowa tu o lipcu i szczęśliwej trzydziestce.

Chodzę do VI klasy szkoły podstawowej. Uwielbiam

występować na scenie – z sukcesem czy bez – zawsze przynosi mi to radość. W wolnym czasie często zanurzam się w literaturze moich ukochanych, prawdziwych, opartych na faktach ;-) historii… np. w *Harrym Potterze* czy w *Hobbicie*. Moi ulubieni autorzy książek to: Brandon Sanderson, Brandon Mull i Agnieszka Stelmaszyk.

A sport? Preferuję koszykówkę i piłkę ręczną. Próbuję też swoich sił w wielu konkurencjach, nie tylko polonistycznych, ale również biblijnych i matematycznych. Zajmuję się pracami ręcznymi, czyli szyciem, haftowaniem, szydełkowaniem i quillingiem.

Jest jeszcze jedna ciekawostka, która mnie dotyczy… Mam cudowną, najwspanialszą na świecie kotkę, imieniem Kreska. Zawsze pomaga mi przy pisaniu. Jak? Leży obok. Przypomina, że jak skończę, to też sobie odpocznę.

W przyszłości zamierzam prowadzić audycje radiowe. Wierzę, że UDA mi się napisać książkę… Już teraz ją polecam!!

Natalia Borowy

Gdy wszystko tańczy

Obudziłam się, kiedy słońce już wysoko wzniosło się ponad horyzont. Promienie błyskały zza liści starej wierzby, która odkąd pamiętam, zaglądała do okien mojej sypialni. Przywoływały mnie w tylko sobie znanej odmianie alfabetu Morse'a. Cienie liści, wyraźnie zarysowane na białej kołdrze, wydawały się roztrzepotanymi skrzydłami motyli. Podrywały się do świetlistego, radosnego lotu, a potem nieruchomiały na chwilę, by po krótkiej pauzie znów zacząć wirować i pląsać.

– Liście tańczą – powiedziałam, gdy mama stanęła w drzwiach, trzymając tacę z ciepłym kakao i croissantami. Uśmiechnęła się.

– Odkąd pamiętam, cały świat tańczył dla ciebie. Trawy, kwiaty, fale wakacyjnego morza, ruchome wydmy w Łebie.

Odstawiła śniadanie na biurko, usiadła na łóżku i kontynuowała opowieść:

– Kiedyś dobry kwadrans przyglądałaś się staremu palaczowi, który na moją sugestię, żeby nie palił przy dziecku, zaśmiał się bezczelnie. Zdenerwowana chwyciłam cię za rękę i chciałam odejść, ale ty, jak urzeczona, patrzyłaś na papierosa.

– Ten dym tańczy – powiedziałaś.

Mama umilkła na chwilę, popatrzyła na mnie czule, a potem dokończyła nieśmiało:

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zostaniesz tancerką…

Nie wiem dlaczego, jej słodkie wspomnienia wywołały aż tak gorzki gniew. Odrzuciłam kołdrę, pod którą prawą nogę unieruchamiały kleszcze ortezy wyprostnej.

– Nigdy nie będę tancerką, nigdy!!!! – krzyknęłam. – Słyszałaś, co mówił nadęty doktorek! Zwichnięcie stawu rzepkowo-kolanowego jest poważną kontuzją. Zasiało spustoszenie w chrząstce stawowej i wiązadłach. Może doprowadzić do nieodwracalnych zmian zwyrodnieniowych – przedrzeźniałam naukowy bełkot ortopedy, a po twarzy płynęły łzy wściekłości.

– Doktor Leszczyński nie jest wrogiem, chce pomóc – broniła lekarza mama.

– Lepiej znajdź sobie inne hobby… – kontynuowałam ośmieszanie specjalisty, jak gdyby złośliwości mogły cofnąć okrutny wyrok. – Nigdy nie będę tancerką, nigdy – zacisnęłam pięści i dodałam złośliwie, że nie jestem głodna.

* * *

Mama zostawiła mnie na długie godziny. Samą. Wróciła, gdy gniew już się ulotnił, a pozostał smutek. Przytuliła mnie mocno i opowiedziała bajkę.

* * *

Dawno temu żyła sobie mała dziewczynka, która bardzo chciała być tancerką. Jej mama kochała córeczkę jak nikogo na świecie, myślała jednak, że dziecko wyobraża sobie taniec jako urocze podskoki, niewinne

pląsy i wesołe, ale mało precyzyjne piruety. Tymczasem taniec to ciężka praca nad sobą i swoim ciałem. To także wysiłek, rygor, nierzadko ból. Kobieta bała się więc rozczarowania dziewczynki. Próbowała przygotować córkę, by zderzenie z rzeczywistością nie było zbyt bolesne.

– Będę tańczyć jak ptak – mówiło dziecko.

– Ptak zanim wzbije się w powietrze, ćwiczy skrzydła. Jego mięśnie muszą być ze stali, a pióra dopasowane jak trybiki szwajcarskiego zegarka – odpowiadała matka. I czekała. W końcu naszedł wrzesień i zapisała dziewczynkę do szkoły tańca. Z podziwem obserwowała, jak dziecko uczy się coraz więcej, coraz bardziej skomplikowanych kroków, figur i układów tanecznych. W skrytości roniła łzy nad każdym siniakiem przyniesionym z sali gimnastycznej. Przeżywała naciągnięte mięśnie, przemęczone ręce i nogi. Dziecko natomiast nawet po najtrudniejszym, ale dobrze wykonanym zadaniu uśmiechało się szeroko i szczerze. Po każdym upadku wstawało silniejsze i pewniejsze siebie. Nic więc dziwnego, że któregoś dnia zatańczyło na najlepszych scenach świata autorski układ zatytułowany *Taniec ptaka*. A matka siedząc w pierwszym rzędzie śmiała się i płakała na przemian.

* * *

– Doktor Leszczyński nie jest jedynym ortopedą na świecie – powiedziała mama kończąc bajkę. – Poszperałam w sieci i znalazłam wybitnego specjalistę terapii pourazowych. Zadzwoniłam i opowiedziałam twoją historię. Jeśli chcesz tańczyć, nie możesz leżeć i użalać się nad sobą. Powinnaś jak najszybciej rozpocząć rehabilitację, by zapobiec niepożądanym skutkom unieruchomienia w ortezie.

– Co mam zrobić? – spytałam niepewnie.

– Pierwszy krok – odpowiedziała mama i podała mi ramię. Chwyciłam je i z jękiem podniosłam się z łóżka.

* * *

Po kolejnych wywiadach, badaniach diagnostycznych i konsultacjach rozpoczął się trudny proces powrotu do zdrowia. U doktora Różańskiego nic nie działo się z przypadku. Cała rehabilitacja była zaplanowana krok po kroku. Tak, by nie uszkodzić gojących się struktur, a wzmocnić wszystkie mięśnie znajdujące się wokół kolana. A potem coraz trudniejsze ćwiczenia siłowe. Wszystkie wykonywałam dokładnie i precyzyjnie, choć pot i łzy towarzyszyły im każdego dnia. Ale do bólu i wysiłku też się przyzwyczaiłam.

Tak minęło pół roku. Trudne, ale wykonalne. Prawdziwy problem pojawił się, kiedy doktor Różański pozwolił mi wrócić na salę taneczną. Tak bardzo bałam się ponownej kontuzji, że nie chciałam tego zrobić. Ja, dla której taniec był wszystkim, a wszystko było tańcem, bałam się tańczyć!

* * *

Kolejny dzień siedziałam na ławce w sali gimnastycznej. Przyglądałam się dziewczynom trenującym nowy układ inspirowany wodą. Był naprawdę dobry. Znałam na pamięć każdy krok. Najlżejszy dźwięk krążył we mnie jak krew. Czułam go nawet w najmniejszym palcu. Ale nie ćwiczyłam. Strach mnie paraliżował. Nie byłam w stanie zatańczyć! Wściekłość i bezradność rozsadzały mi głowę. Gdybym mogła, ugryzłabym kogoś! I właśnie wtedy ten ktoś pojawił się na horyzoncie. Zajrzał nieśmiało do sali gimnastycznej. Zobaczył mnie i zaczął iść w moim kierunku. Maciek!

Wydarzenia sprzed kilku dni wróciły do mnie jak niedokończony koszmar.

Na lekcji wychowawczej poświęconej zdrowemu życiu wychowawca zapytał nas, jakie uprawiamy sporty. Chłopcy przekrzykiwali się wymieniając przeróżne dyscypliny. Dziewczyny piszczały o biegach, rowerze i ręcznej. Gdy przyszła kolej na mnie powiedziałam:

– Ja… ja tańczę.

Na sali zapadła cisza.

– Taniec to nie sport – zaoponował Maciej.

Przypomniałam sobie wszystkie lata trudnych ćwiczeń, gdy z każdym upływającym tygodniem moje mięśnie stawały się silniejsze i twardsze. Przypomniałam sobie półroczną, morderczą rehabilitację, by choć jeszcze raz zatańczyć, i fakt, że nie zrobiłam tego. I poczułam złość.

– Taniec to sport. Trudny sport – powiedziałam stanowczo.

– Nie zgadzam się – jeszcze raz powiedział Maciek.

– Nie możesz wypowiadać się na temat tańca, bo nigdy nie tańczyłeś. Biegasz tylko za piłką i udajesz wielkiego sportowca. Przyjdź na lekcję tańca i spróbuj dać radę chociaż rozgrzewce – rzuciłam wyzwanie.

No i przyszedł. Szedł w moją stronę z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

– Próbujemy, kto komu da radę, tancereczko? – zapytał.

A mnie znowu zalała fala gniewu. Skoczyłam na równe nogi i od razu zaczęłam najbardziej wymagającą rozgrzewkę w życiu. Maciek, mimo że zlał się potem i był niezgrabny, dawał radę! Jak małpka powtarzał każdy mój ruch. Chciałam go złamać, chciałam być lepsza. Gdy tylko usłyszałam muzykę do nowego układu tanecznego, zaczęłam tańczyć. Odtwarzałam

najdrobniejsze elementy z pasją i ekspresją, jakiej nie czułam już dawno. Nawet nie zauważyłam, że Maciej już nie tańczy, przygląda się tylko.

* * *

Dowiedziałam się później, że cała ta pogadanka o sporcie była ukartowana. O pomoc kolegów z klasy i wychowawcę poprosiły przyjaciółki z zespołu. Chciały, bym wróciła do tańca, a nie miały pomysłu, jak mi pomóc. Gdy spytałam potem, dlaczego to zrobili, wychowawca odpowiedział:

– Bo jesteś tancerką.

– Bo jesteś sportowcem – dodał Maciek i uśmiechnął się przy tym.

– Dlaczego się śmiejesz? – spytałam.

– Wiesz, co powiedziałaś, gdy na sali gimnastycznej skończyłaś tańczyć?

– Nie wiem. Co?

– Popatrzyłaś na mnie, sapiącego ciężko po morderczej rozgrzewce, jaką mi zgotowałaś w momencie, gdy próbowałem ułożyć ręką fruwające dookoła głowy loki. Odgarniałem je rękoma, a one i tak przemieszczały się we wszystkie strony świata i wtedy powiedziałaś trzy słowa, nic więcej:

– Twoje włosy tańczą…

Magdalena Grodniewicz

Lodowa pasja

Mam na imię Kinga i mam 17 lat. Nie wyróżniam się. W tłumie nikt by mnie nie rozpoznał. Mieszkam w Lublinie, w uroczym i przytulnym domu z moją rodziną: mamą, tatą, starszą siostrą Oksaną, starszymi braćmi bliźniakami, Alanem i Marcinem, oraz prababcią, która zawsze jest głosem rozsądku w rodzinnych sporach. Moja rodzina jest wyjątkowa – każdy w niej pasjonuje się sportem. Przepraszam – nie każdy, ja jestem czarną owcą. Do tej pory nie potrafiłam odnaleźć dyscypliny sportu, która byłaby moją pasją. Jednak prababcia stale namawiała mnie, bym nie ustawała w poszukiwaniach:

– *Wejdź w korytarz, nigdy nie wiadomo, jakie drzwi się przed tobą otworzą* – cytowała T. Harva Ekera. Przede mną te drzwi miały się niebawem otworzyć, a to, co się za nimi znajdowało, było piękne…

* * *

Siedziałam w swoim pokoju i oglądałam album ze zdjęciami. Na pierwszej fotografii widniała kobieta o smukłej sylwetce, włosach spiętych w niedbały kucyk. Z uśmiechem na twarzy, wspinała się na szczyt wysokiej góry. Zdjęcie przedstawiało moją mamę –

Karolinę, która od dzieciństwa uwielbiała wspinaczkę. Przerzuciłam parę stron i natrafiłam na fotografię wykonaną przeze mnie w czasie zeszłych wakacji tacie, Alanowi i Marcinowi po wygranym meczu piłki nożnej. Ten sport jest pasją taty i braci.

Na końcu albumu było zdjęcie przedstawiające moją siostrę – Oksanę, tuż po mistrzostwach Polski w gimnastyce artystycznej, zajęła pierwsze miejsce! A ja…?… Co ze mną jest nie tak? Żaden sport do mnie nie pasuje…, chyba tak samo jak ja do tej rodziny.

Naburmuszona powlokłam swoje osłabione ciało w stronę komody, na której leżał pilot, i z nudów włączyłam telewizor. Już chciałam zmienić kanał, kiedy nagle moją uwagę zwróciła nadawana na żywo relacja z zawodów w łyżwiarstwie figurowym. Jak zaczarowana przyglądałam się łyżwiarzom wykonującym bardzo trudne układy na lodzie. To wyglądało jak… magia! Po dwóch godzinach oglądania, aż nie wierzę, że tak szybko minęły, zbiegłam po schodach do kuchni, gdzie zebrała się reszta mojej wesołej rodzinki. Właśnie grali w grę planszową *Nie śmiej się*.

Byli tak zajęci, że nawet nie zauważyli mojej obecności. Nagle Oksana wstała od stołu.

– Za miesiąc mam zawody i muszę dużo trenować, grę dokończcie beze mnie – utkwiła wzrok w telefonie, przeszła obok mnie obojętnie i wyszła do garażu, gdzie trenowała.

Czułam się tak, jakbym włożyła czapkę niewidkę… W końcu podeszłam do stołu.

– Chcę… zapisać się na treningi… łyżwiarstwa figurowego… – powiedziałam nieśmiało.

Nagle w domu jakby ustało życie, mama zaniemówiła, tata i bracia spojrzeli w moją stronę.

– Ty, Kiniu? – nie dowierzał tata.

– Łyżwiarstwo już samo w sobie nie jest łatwe, a co dopiero figurowe. Wszystkie dyscypliny, jakie ci pokazywaliśmy, były łatwiejsze – powiedziała mama.

– Wiem, ale może te trudniejsze sporty są dla mnie odpowiednie…

– Nie jestem pewna. Co o tym sądzisz, Wiktor? – zwróciła się do mojego taty.

– Dajmy jej szansę, niech spróbuje. Jeżeli jej się nie spodoba, zawsze może zrezygnować – zdecydował tata.

Jeszcze w tym samym tygodniu poszłam z mamą na lodowisko, aby zapisać się na treningi. Moją trenerką została pani Agata Słowik. Poznałam również dziewczynę, która miała chodzić ze mną na zajęcia. Była bardziej doświadczona ode mnie, ale to bez znaczenia, chciałam po prostu móc brać udział w zawodach łyżwiarskich.

Już pod koniec tygodnia odbył się mój pierwszy trening. Pani Agata powitała mnie serdecznie i na wstępie udzieliła mi wskazówek, jak zakładać i czyścić łyżwy. Następnie trenerka pomogła mi wejść na lód. Nie spodziewałam się, że tak trudno jest utrzymać na nim równowagę. Często przewracałam się, ale za każdym razem zbierałam się w sobie i przy pomocy pani Agaty stawiałam pierwsze, niepewne kroki.

– Pamiętaj, że *stumilowa podróż zaczyna się od jednego małego kroku* – powiedziała trenerka.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

– Cóż… lubię cytaty motywacyjne, a to są słowa Lao-tse – uśmiechnęła się pokrzepiająco.

– Cytaty motywacyjne? One naprawdę pomagają? – zapytałam.

– Oczywiście.

Jednocześnie przyglądałam się tej drugiej uczennicy – Dorocie. Moje ruchy były niezgrabne i pełne lęku,

natomiast jej płynne i swobodne. Po treningu byłam niesamowicie spocona i zmęczona, nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Moje blond włosy były całe mokre. Mama przyjechała po mnie i długo rozmawiała z trenerką. Słyszałam tylko urywki ich rozmowy.

– Będzie jej trudno… – to był głos Agaty.

– Jak jej o tym powiedzieć? – zaniepokoiła się mama.

– Najpierw trzeba się upewnić, że tak naprawdę jest. Mam nadzieję, że się mylę…

Wkrótce miałam się przekonać, o co chodzi. Następnego dnia rano pojechałam z tatą na badania do szpitala i okazało się, że mam bardzo słabe mięśnie i stawy! To dlatego tak trudno było mi utrzymać się na lodzie. W życiu codziennym też zdarzało mi się nie utrzymywać równowagi, ale nie wiedziałam, że to objaw osłabienia organizmu i przewlekłej choroby. Chciało mi się płakać. Gdy tylko weszłam do samochodu, po policzkach poleciały mi pierwsze łzy.

– Spokojnie – pocieszał mnie tata – pojedziemy jeszcze do fizjoterapeuty, a on zaleci ćwiczenia, które wzmocnią twoje mięśnie.

– Ale to będzie długo trwać! – rozpłakałam się już na dobre.

– Owszem, ale… tylko tak można ci pomóc.

– Czy będę mogła jeździć na łyżwach? – spytałam po chwili.

– Oczywiście, choć będzie cię to kosztować więcej wysiłku. Pamiętaj jednak, że wytrwałością i ciężką pracą w sporcie można osiągnąć wszystko.

W nocy długo nie mogłam spać. Usiadłam więc przy biurku i włączyłam komputer. W wyszukiwarce wpisałam: *Zawody w łyżwiarstwie figurowym*. Natychmiast wyświetliły się informacje o różnych mistrzo-

stwach na lodzie. Jeszcze wcześniej może czytałabym je z podnieceniem, ale dziś… Ze słabymi mięśniami i stawami nie za dobrze bym wypadła w zawodach. Nawet na treningach czułam się jak pokraka, patrząc, jak jeździ Dorota. Na początku sądziłam, że jazda na lodzie będzie łatwa, ale widocznie pomyliłam się. Każdego dnia budziłam się ze świadomością, że nie jestem sprawna fizycznie. To bolało. Chciało mi się płakać. Cała rodzina sportowców, tylko nie ja! Były nawet takie chwile, że chciałam się poddać, porzucić nadzieję na odmianę losu, ale wtedy z pomocą nadchodziła ukochana prababcia ze swoim kolejnym aforyzmem:

– Pamiętaj, że marzenia się spełniają, a ty sama jesteś kowalem swojego losu. Twoje słabości z jednej strony cię spowalniają, a z drugiej wzmacniają. Teraz musisz tylko wierzyć, że już niedługo osiągniesz swój cel – powtarzała z uśmiechem na twarzy prababcia.

Jej słowa zawsze dodawały mi otuchy. Nie zrezygnowałam więc z treningów – trzy razy w tygodniu doskonaliłam się w jeździe figurowej, codziennie też zmagałam się z własnymi słabościami w czasie rehabilitacji. W końcu nawet się nie zorientowałam, że minęło pół roku. Trenerka pochwaliła mnie za postępy i powiedziała, że jeżdżę na tyle dobrze, iż nawet nie widać mojej wcześniejszej słabości. Radość wypełniła moje serce. Nareszcie coś mi wychodziło!!! Przez weekend zanudzałam całą rodzinę moim szczęściem, tak że Oksana i chłopaki zgodzili się wyjść na zakupy, byle tylko odpocząć ode mnie. Rodzice natomiast chwalili mnie i jednocześnie nie dowierzali, że w końcu znalazłam sport, który stał się moją pasją.

W końcu opanowałam większość figur do układów. Moje ruchy były już płynne, tak jak ruchy Doroty. Pewnego majowego dnia pani Agata zaprosiła nas na

wycieczkę. Miałyśmy pojechać do Torunia, aby oglądać trening zawodowych łyżwiarzy figurowych, reprezentantów Polski w tej dyscyplinie – Natalii Kaliszek i Maksyma Spodyriewa. Byłam bardzo szczęśliwa, że zobaczę ich na żywo, odkąd bowiem zaczęłam interesować się tym sportem, bardzo chciałam spotkać się z nimi osobiście. Miałam do nich tyle pytań. Podziwiając ich na trybunach, zachwycałam się ich perfekcyjnymi ruchami. Łyżwiarze byli wspaniali. Wyobrażałam sobie siebie w roli Natalii Kaliszek, byłam tylko trochę wyższa, ale zachowałam jej gracje i płynność na lodzie. Kiedy nasi reprezentanci popełniali błąd, nie załamywali się, lecz śmiali się z własnych trudności, nie poddawali się i trenowali dalej. *Może ja też tak powinnam* – zastanawiałam się, obserwując ich.

Z Torunia wróciłam do domu z uśmiechem na ustach, ale kiedy weszłam do kuchni, spochmurniałam. Mama odłożyła telefon, wstała oszołomiona i podniosła na mnie wzrok. Tata był w pracy, bracia na wycieczce szkolnej, a w kuchni tylko ja i mama patrzące na siebie.

– Czy coś się stało? – przerwałam milczenie.

– Oksana jest w szpitalu…

– Jak to?!

– Na treningu złamała nogę w dwóch miejscach… – westchnęła – Właśnie do niej jadę…

– Niedługo ma zawody… Och mamo… To straszne…

– Nie chodzi o zawody… Tylko o nią, lekarze powiedzieli, że zemdlała i do teraz się nie obudziła… Bardzo się o nią boję…

– Mamo… – podeszłam do niej i ją przytuliłam.

– To mi przypomniało mój wypadek w młodości… – mama zaczęła swoją opowieść – Miałam wówczas

siedemnaście lat i podczas treningu na ściance wspinaczkowej lina się zerwała i spadłam w dół. Zabrano mnie do szpitala. Mogłam zginąć, ale przeżyłam. Ostatecznie skończyłam ze złamanymi żebrami i nogą… Martwię się, jak ten wypadek zadziała na psychikę Oksany… Ja długo nie mogłam się po moim pozbierać… Straciłam chęć do sportu… Oksana tak kochała gimnastykę! Mam nadzieję, że nadal będzie chciała ją uprawiać.

Pojechałyśmy do szpitala. Na szczęście moja siostra zdążyła się obudzić, a jej stan był stabilny. Oksana była wstrząśnięta, ale cały czas opowiadała, że gdy tylko jej kości się zrosną, wróci na treningi, aby nie stracić formy. W drodze powrotnej do domu zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdybym to ja była na miejscu mojej siostry. Wkrótce przekonałam się, że wypadek Oksany bardziej odcisnął piętno na mojej, a nie jej psychice. Na lodzie czułam się niepewnie, cała się trzęsłam i gdy tylko się zachwiałam, chciałam, jak najprędzej uciec z treningu. Zaobserwowała to Agata i po krótkiej rozmowie przekonała mnie, że nie mam się czego bać i że w każdym sporcie zdarzają się wypadki.

Już w grudniu trenerka przyniosła na zajęcia nowinę. Niedługo miały się odbyć zawody ISU Junior Grand Prix of Figure Skating.

– Pomyślałam, że może byście spróbowały czegoś nowego. Zawody odbędą się w Gdańsku i przy okazji będziemy mogły również pozwiedzać – powiedziała z nadzieją w głosie.

– To kapitalny pomysł! – wykrzyknęła uradowana Dorota.

– Dobrze, więc postanowione! Jedziemy na zawody! Ale pamiętajcie, że czas, który wam został, musicie przeznaczyć na treningi i wziąć się do wytężonej pracy.

* * *

Codziennie po szkole ruszałam na treningi, do domu wracałam dopiero wieczorem. Trenowałam z całych sił. Wymyślałam układ złożony z kroków, których nauczyłam się przez cały ten czas. Dorota patrzyła na moje postępy z zazdrością i nie odzywała się do mnie. Wreszcie po długich oczekiwaniach nadszedł dzień zawodów. W szatni założyłam łyżwy i śliczną granatową sukienkę z brokatem. Poprawiłam fryzurę i zrobiłam makijaż. Dorota wychyliła się z pomieszczenia i niespokojnie zerknęła na widownię. Posmutniała.

– Czy coś się stało? – spytałam niepewnie.

– … Nie ma… moich rodziców… – powiedziała po chwili milczenia.

– Może jeszcze przyjdą…

– Nie! – przerwała mi. – Nie przyjdą. Nie chcieli, żebym jeździła na łyżwach, nie wierzą we mnie, w moje możliwości.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Twoja rodzina siedzi w pierwszym rzędzie. Masz z nimi dobrze… wspierają cię, jesteś ogromną szczęściarą… – odpowiedziała z nutą smutku w głosie.

– Może… twoi rodzice w ciebie nie wierzą, ale ja przeciwnie. Poza tym… przede wszystkim ty musisz uwierzyć. Uwierz w siebie, a wszystko ci się uda. Tak zawsze mówi moja prababcia.

Dorota skorzystała z mojej rady i wykonała swój układ bezbłędnie. W końcu przyszła kolej i na mnie. Wyjechałam na lód, spojrzałam na trybuny i uśmiechnęłam się do rodziców i rodzeństwa. *Jak to dobrze, że mam kochającą rodzinę, która mnie wspiera i we mnie wierzy. Wierzy, że osiągnę swój cel…* Dodawałam sobie otuchy tymi myślami. Nawet się nie zorientowa-

łam, kiedy mój występ się skończył. Gdy zeszłam z lodowiska, trenerka przytuliła mnie.

– Byłaś świetna – powiedziała.

Nic nie mówiłam, tylko się uśmiechałam. Wiedziałam, że bez względu na ocenę jurorów już zwyciężyłam. Pokonałam własne słabości i strach, uwierzyłam, że mogę zrealizować swoje marzenia! Naprawdę, udało mi się!!!

Rodzice mocno mnie ściskali w czasie ogłaszania wyniku. Zajęłam 10 miejsce! Nie mogłam uwierzyć w to ogromne osiągnięcie… Na 80 reprezentantów Polski i innych krajów… 10 miejsce!!! Dorota również świetnie się spisała. Co ja mówię?! Była genialna! Poszło jej lepiej niż mnie! Zajęła 7 miejsce! Szkoda tylko, że nie oglądali jej rodzice…

* * *

Wróciłam do domu wcześniej, otworzyłam album ze zdjęciami. Teraz na ostatniej stronie można było oglądać moje zdjęcie. Mama zrobiła je, kiedy zakończyłam układ. Powiedziała, że tak pięknie się wtedy uśmiechałam. Wyciągnęłam z koperty nową fotografię, na której widniała cała nasza rodzina: mama z uprzężą do wspinaczki, tata i bracia z piłką, a Oksana w stroju gimnastycznym. Byłam też i ja, w ręce trzymałam łyżwy i miałam na sobie sukienkę, w której byłam na zawodach. Alan zrobił to zdjęcie w Photoshopie, dodając dla każdego z nas jakiś element w tle. Dla mamy – góry, dla taty, Alana i Marcina – boisko, dla Oksany – salę gimnastyczną, a dla mnie – lodowisko! Na zdjęciu dodał też, na moją prośbę, napis: *Spełniamy marzenia, kiedy robimy to, co kochamy.* Ja spełniłam swoje, już nie jestem odmieńcem w rodzinie i jestem szczęśliwa. Uśmiechnęłam się do swoich myśli, wkleiłam fotogra-

fię do albumu i odłożyłam go na półkę. Zeszłam do kuchni, gdzie moja wesoła rodzinka rozkładała już kolejną grę rodzinną – *Gorący ziemniak.* Przysiadłam się i rozpoczęliśmy rozgrywkę. Czułam się świetnie. Następnego dnia pojechaliśmy zobaczyć występ Oksany, a potem poszliśmy do restauracji, aby świętować jej sukces. Zajęła bowiem drugie miejsce. Tydzień później świętowaliśmy mój pierwszy wielki sukces (3 miejsce na zawodach powiatowych!) w kinie na filmie *Gwiezdne wojny. Ostatni Jedi.*

Od tamtej chwili biorę udział w wielu zawodach i za każdym razem mam coraz lepszy wynik. Zachęcam również moje najlepsze szkolne przyjaciółki do jazdy na łyżwach. Spełniło się moje największe marzenie, odnalazłam dyscyplinę sportu, którą pokochałam, i postanowiłam, że stanie się częścią mojego życia. Pokonałam własne słabości. Mam wielką nadzieję, że za kilka lat będę mogła zostać reprezentantką, solistką Polski w łyżwiarstwie figurowym, przecież *przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno swoich marzeń**. Mój sukces nie jest tylko moim osiągnięciem, zawdzięczam go swojej rodzinie, która zawsze mnie wspierała, prababci, która wielokrotnie mnie motywowała, i mojej trenerce Agacie, która nauczyła mnie, jak zachowywać równowagę pomiędzy ciałem a umysłem…

* Cytat Eleanor Roosevelt.

Oliwia Jakubowska

Największa wygrana

Dzień dobry! Przychodzisz jak zwykle punktualnie. Wejdź proszę. Dobrze, umawialiśmy się, że dzisiaj coś ci opowiem. Napijesz się czegoś? Kawy czy może herbaty? Nic? Jak uważasz. Widzę, że się niecierpliwisz… Myślałam nad tematem mojej dzisiejszej opowieści i doszłam do wniosku, że może zaciekawi cię temat sportu. Pomyślałam więc, że opowiem ci o mojej historii ze sportem. Pasuje ci? W takim razie zacznijmy od początku. Od czasów, w których zabawa dominowała w moim życiu.

Gdy chodziłam do przedszkola, na samym starcie pojawiły się problemy z zaakceptowaniem mnie przez dziewczynki. Nosiłam krótkie włosy, nie lubiłam lalek i prawdopodobnie to wpłynęło na ich zachowanie. Z tego powodu zaprzyjaźniłam się z chłopcami z mojej grupy. Często urządzaliśmy sobie wyścigi bądź tory przeszkód. Dzięki temu od najmłodszych lat byłam szybka i zwinna. Czasami prześcigałam niektórych z moich kolegów i stawałam na podium. Ogólnie, czasy przedszkola to były jedne z lepszych w moim życiu.

Po ich zakończeniu rozpoczęły się moje pierwsze wakacje. Rodzice zapisali mnie na półkolonie „Multi-Sport". Rzeczywiście, to był multisport! Jedno wielkie

przemieszanie dyscyplin sportowych! W naszej grupie miałam ksywkę Rodzynek, ponieważ nie wiem, czy wiesz, byłam jedyną dziewczyną w grupie! Nie był to problem, gdyż bardzo dobrze się czułam w towarzystwie chłopaków.

Zajęcia odbywały się w wynajętym wcześniej przez organizatorów półkolonii liceum. Było ono bardzo duże i razem z kolegami lubiliśmy podczas przerw biegać po korytarzach i bawić się na różnych piętrach. Gdy było ciepło, ćwiczyliśmy na boisku, a gdy pogoda była nieciekawa, bawiliśmy się na sali gimnastycznej. Prowadził do niej wąski korytarz, w którym znajdowały się pionowo ustawione materace. Było ich tak dużo, że ułożone zostały w dwie wysokie kolumny, które sięgały prawie do sufitu. Nasza paczka bardzo lubiła się na nie wdrapywać i z góry wszystko obserwować. Było to dosyć niebezpieczne i zawsze, gdy przechodził któryś z naszych panów, szybko kładliśmy się, aby nas nie zauważyli.

Na tych półkoloniach nauczono mnie wielu rzeczy. Wiesz, miałam w sobie coś takiego, że zamiast zatrzymywać się za metą, hamowałam przed nią. Dziwne, prawda? Właśnie wtedy oduczono mnie tego i pokazano ciekawe biegowe triki, jak mistrzowsko grać w unihokeja. Muszę jeszcze dorzucić, że chodziliśmy na basen. Potrafiłam tak dobrze pływać, że jeden z naszych panów zabierał mnie obok na „prawdziwy basen", a reszta wykonywała ćwiczenia w brodziku. Dzięki temu nauczyłam się bardzo dobrze pływać i tę umiejętność mam do dzisiaj.

Pod koniec półkolonii, które trwały dwa i pół tygodnia, odbyły się „Wielkie Mistrzostwa". Każdy indywidualnie startował w wybranych dyscyplinach sportowych. Pływanie poszło mi znakomicie, ale podczas

biegów pojawiły się problemy. Po usłyszeniu dźwięku gwizdka dwanaście osób, w tym ja, wystartowało, aby zdobyć medal. Od samego początku narzuciłam ostre tempo i wyszłam na prowadzenie. W pewnym momencie zostałam pokonana przez kolegę. Już chciałam go wyprzedzić, gdy ten podstawił mi nogę. Upadłam, zdzierając kolano. Do mety było niedaleko, więc szybko się pozbierałam i z raną na kolanie wyprzedziłam chłopaka, który podstawił mi nogę. Do mety dobiegłam pierwsza. Otrzymałam złoty medal. Do dziś wisi on na ścianie w moim pokoju. Muszę ci powiedzieć, że mam bardzo dobre wspomnienia z tych półkolonii. Starczą mi one na długie lata.

Zakończyły się moje pierwsze wakacje. Zaczęłam chodzić do szkoły. Najpierw uczęszczałam do szkoły dwujęzycznej, gdzie dosyć dobrze poznałam język angielski, a francuski jako tako. Później zmieniłam szkołę, ale o tym opowiem za chwilę. W szkole, tak jak w przedszkolu, więcej czasu spędzałam z chłopakami. Mimo że często grałam w piłkę i w ogóle grałam w różne „chłopięce" gry, pojawiły się pewne problemy. Problemy z bieganiem. Gdy ustawiałam się do sprintu i na dźwięk gwizdka chciałam się zerwać i szybko wystartować, plątały mi się nogi i upadałam. Centralnie na twarz. To nie było zwykłe potknięcie, przewracałam się za każdym razem. Choć nikt z klasy się ze mnie nie śmiał, wstydziłam się, chciało mi się płakać. Jeszcze ten rozwód rodziców… Powiedzenie mi prosto w twarz przez ojca: *Jesteś dla mnie ciężarem, a ja chcę się bawić, używać życia*… Nie, nie będę do tego powracać. To złe wspomnienia, nie wracam już do nich. Wspominam tylko to, co było dobre, do złych nie ma sensu wracać.

Wracając do tematu: nie wiem, czemu tak się działo, że dziwnie plątały mi się nogi. Co z tego, że byłam

szybka i zwinna, gdy już przy samym starcie upadałam jak deska? Na domiar złego, jeszcze pogorszył się stan moich kolan. Muszę ci coś wyznać, ale tak w tajemnicy. To zostanie tylko między mną a tobą, dobrze? Choruję na młodzieńcze idiopatyczne zapalenie stawów. Czasami jest pogorszenie, wtedy nie ćwiczę na wychowaniu fizycznym i staram się jak najmniej chodzić. Okres, o którym piszę, był właśnie tym gorszym. Z powodu licznych problemów opuściłam się w nauce. Przestałam brać udział w konkursach naukowych i sportowych. Zwykle zajmowałam bardzo wysokie miejsca, ale w tym czasie nie miałam na to siły. Nie chodziłam, nie ćwiczyłam, siedziałam i dumałam, a z czasem również moja wyobraźnia zaczęła płatać figle.

W trzeciej klasie zaszła w moim życiu zmiana. Już na samym początku roku szkolnego ja i moja drużyna zajęliśmy drugie miejsce w turnieju piłki nożnej. Później zostałam wytypowana do turnieju na refleks. Wszyscy startowali indywidualnie. Każdy musiał wykonać różne zadania sprawdzające sprawność fizyczną, zwinność i przede wszystkim refleks. Myślałam, że wypadłam bardzo przeciętnie, a okazało się, że miałam najlepszy wynik. Otrzymałam dyplom.

Kilka miesięcy po mojej wygranej odbyły się eliminacje do turnieju „dwóch ogni". Ja i moi koledzy wpisaliśmy się na listę i po szkolnych eliminacjach mieliśmy reprezentować naszą szkołę. Z samego rana, ubrani w specjalne stroje z logo szkoły na koszulkach, wyjechaliśmy autokarem do innej szkoły. Gdy dojechaliśmy, naszym oczom ukazał się zatłoczony, szkolny dziedziniec. Było masa różnych atrakcji. Znajdowały się tam stoiska z watą cukrową, zamek dmuchany, trampoliny, grill, place zabaw. Dla nas, jako reprezentantów innej szkoły, wszystko było darmowe. Goście,

rodzice, musieli zapoznać się z cennikiem, wszystkie atrakcje były bowiem płatne. Ja i moi koledzy skorzystaliśmy z tego przywileju. Świetnie się bawiliśmy i gdy przyszła pora na nasz mecz, pobiegliśmy do naszego namiotu, przyszykowaliśmy się i byliśmy gotowi do „walki". Wybiegliśmy na boisko i szybko pokonaliśmy rywali. Dostaliśmy się do drugiej rundy, później do trzeciej i tak dalej, aż do finału. Zajęliśmy drugie miejsce. Turniej trwał cały dzień i dopiero wieczorem wróciliśmy do swoich domów. Następnego dnia w szkole rozniosła się wieść o naszym osiągnięciu. Staliśmy się sławni. W trzeciej klasie zaczęłam także pisać opowiadania. To właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Ogólnie, czasy trzeciej klasy były naprawdę wspaniałe. Nigdy ich nie zapomnę.

Czwartą klasę rozpoczęłam w innej szkole. Od razu na samym starcie było trudno. Nie zostałam zaakceptowana w klasie. Trwały na mnie nagonki, w klasie tworzyły się różne grupy dzieci występujące przeciwko mnie. Z tego powodu znowu opuściłam się w nauce i sporcie. Moje wyniki były okropne. W biegach byłam ostatnia, oceny też były przeciętne. Nałożyło się w tym okresie tyle problemów, że nie dawałam sobie z nimi rady. Nie mogłam ufać nikomu. Wszyscy wystawiali mnie do wiatru. W czwartej klasie zaczęłam pisać dłuższe i mądrzejsze opowiadania. Zauważyła to moja nauczycielka języka polskiego i zapisała mnie na kółko dziennikarskie. Dzięki temu moje opowiadania regularnie ukazywały się w szkolnej gazetce. Czytelnikom bardzo spodobały się moje opowiadania pisane w formie sagi i chętnie czytali kolejne „utwory". Tym sposobem stałam się, można powiedzieć, „sławna".

Piąta klasa była rokiem zmian. Na samym początku obcięłam grzywkę, przyciemniłam i zapuściłam włosy.

Zaczęłam też inaczej się ubierać. Stałam się też pewniejsza siebie. Miałam lepsze wyniki w sporcie. Polepszyły mi się też wyniki w nauce. W pierwszym semestrze miałam najwyższą średnią ocen w klasie! W maju przebiłam klasową sprinterkę Asię. Od tej pory razem zdobywamy szczyty w sporcie. Nie rywalizujemy, lecz współpracujemy. To jest według mnie bardzo dobre. Lepiej jest przecież żyć w zgodzie z drugą osobą, niż walczyć z nią. Na koniec roku szkolnego na moim świadectwie zagościła ocena celująca z wychowania fizycznego. Zaczęłam też pisać swoje pierwsze powieści. W piątej klasie miałam też lepsze relacje z rówieśnikami. Zaczęłam spędzać z nimi więcej czasu, zostałam nawet przyjęta do jednej z paczek. Koledzy i koleżanki przestali się ze mnie naśmiewać i rozpuszczać na mój temat najróżniejsze plotki. Mimo kilku afer mam dobre wspomnienia z tej klasy. Wakacje też były naprawdę udane. Dużo się działo. Spotykałam się ze znajomymi, a gdy wyjeżdżaliśmy, często rozmawialiśmy przez telefon.

Szósta klasa zaczęła się dla mnie od samych sukcesów. Bardzo dobrze układa mi się ze znajomymi. Założyłam też parę portali społecznościowych, dzięki czemu zakolegowałam się z osobami z innych klas.

Jeśli chodzi o sport… Razem z moimi przyjaciółmi umówiliśmy się, że jak będą ursynowskie biegi przełajowe, to się spotkamy, ponieważ na pewno będę reprezentowała szkołę. Wszystko szło po mojej myśli. Wszystko wskazywało na to, że pojedziemy na biegi przełajowe. Gdy miałyśmy zaliczyć ostatni sprawdzian, pojawił się taki drobny szczegół, który zrujnował wszystko – Asia dostała straszliwej kolki. Bardzo chciałam biec dalej, ale coś we mnie pękło. Asia zwalniała tempo i krzyczała do mnie, że nie da rady, że-

bym biegła dalej, żebym wygrała, bo tylko zwycięstwo dawało mi możliwość spotkania się z moimi przyjaciółmi, za którymi tak tęskniłam. Byłam pewna, że dostanę się i będę mogła spełnić swoje marzenie, spotkam się ze znajomymi. Wtedy jednak coś mi się stało. Zwolniłam tempo. Zaczekałam na Asię.

– Asia, dawaj! Już niedaleko! – mówiłam do niej ciągnąc ją za rękaw.

– Nie dam rady. Ty biegnij, ja zwolnię. Masz jeszcze szansę, aby się dostać – powiedziała do mnie ściskając sobie brzuch.

Już chciałam biec, już widziałam moich przyjaciół, już to wszystko widziałam! Nie, nie mogłam jej zostawić. Zaczęłam biec razem z nią. Po policzku spłynęła mi łza, bo dotarło do mnie, że w ten sposób zamykam sobie drogę do spełnienia marzeń.

– Czemu płaczesz? – zapytała Asia.

– Nie płaczę. To tylko pot. – odpowiedziałam wycierając rękawem policzek. Tyle lat czekałam właśnie na to, na spotkanie z przyjaciółmi. Nie, nie mogłabym tego zrobić Asi. Nie jej. Nikogo nie mogłabym zostawić. Nie ja.

Dowiedziałam się, że moi przyjaciele rzeczywiście dostali się na biegi przełajowe. Oczekiwali, że tam będę. Byli zawiedzeni, a ja wtedy odpowiedziałam ze wzrokiem wbitym w ziemię: – Następnym razem.

Obecnie stan moich kolan znów się pogorszył. Nie chodzę, nie ćwiczę, nie biegam, nie mam zamiaru przygotowywać się do biegów przełajowych. Na lekcjach wychowania fizycznego siedzę na ławce i przyglądam się swoim byłym konkurentom. Patrzę, jak Asia zdobywa szczyty. Piszę opowiadania, przygotowuję się do konkursów. Obserwuję, jak zmienia się świat. Ogarnia mnie żal, że nie spełniłam swoich marzeń, ale też czu-

ję dumę z tego, jaka jestem. Jestem szczęśliwa, ponieważ mam nowego przyjaciela, o którym na razie ci nie powiem.

Chce mi się żyć, gdyż wiem, że jestem dla kogoś ważna, nie tylko w mojej rodzinie. Mam nadzieję, że kiedyś znowu spotkam swoich przyjaciół. Chcę działać, ponieważ chcę wycisnąć z życia wszystkie soki. Wiem, że nie muszę niczego udawać, gdyż ludzie lubią mnie taką, jaka jestem. Teraz tylko łza spływa mi po policzku, ponieważ przeżyłam już tyle rzeczy, że wiem, jakie życie potrafi być okrutne.

Popatrz, miałam ci opowiedzieć o sporcie, a mówiłam o swoim życiu. Tak, to była skrócona historia mojego życia, w którym sport zawsze odgrywał dużą rolę. Taka jest moja historia: prawdziwa, długa, ale ona jeszcze będzie płynęła dalej, tak jak moja łza po policzku.

Jakub Krajnik

Następna fala

O nie, kolejna jedynka z matmy! – powiedział Michał, gdy nauczyciel wyciągnął stos kartek. Chwilę później pisana przed dwoma dniami kartkówka trafiła w ręce chłopca.

Wiedziałem, że tak będzie, ojciec znowu nie pozwoli mi wyjść na plażę… – pomyślał strapiony.

Nagle usłyszał dzwonek oznaczający koniec lekcji. Pobiegł czym prędzej do szatni, przebrał się i wyszedł na dwór. Zobaczył kolegów grających na boisku w piłkę. Nie zamierzał do nich dołączyć. Nie był dobry w żadnym ze sportów. Kilka minut później wskoczył do autobusu stojącego na przystanku i pojechał do domu. Otwierając drzwi, miał nadzieję, że ojciec nie będzie choć raz tak surowy jak zwykle. Przechodząc po cichu do swojego pokoju, zobaczył rodzica grzebiącego jak co dzień w elektronicznych urządzeniach. Na szczęście nie zwrócił na niego uwagi. Michał rzucił plecak i usiadł przy biurku. Wyciągnął książkę do matematyki, chciał zacząć się uczyć do następnego sprawdzianu. Nagle przypomniał sobie, że w końcu jutro weekend i będzie mógł spędzić całe dwa dni na plaży. Chłopiec szybko położył się spać. Już chciał wyjść z tego porysowanego i zdewastowa-

nego bloku, aby móc oddychać pełną piersią na świeżym powietrzu.

Następnego dnia wstał wcześnie rano, zjadł śniadanie, spakował plecak, a następnie wybiegł z domu. Kilka minut później był już na plaży. Tu jak zwykle zachwycił go widok. Ponad dwudziestu zawodników schodziło na wodę – na kolejny trening windsurfingu. Michał patrzył na nich z wielkim zainteresowaniem i podziwem. Tego dnia wiał mocny wiatr, więc manewry zawodników były bardzo efektowne. Nagle jeden z windsurferów podpłynął do chłopca i powiedział:

– Chciałbyś spróbować popływać z nami, o sprzęt nie musisz się martwić, mamy kilka desek i żagli klubowych, będziesz mógł je wziąć. To co, spróbujesz?

– Nie, dziękuję bardzo, nie chcę – odpowiedział Michał i pobiegł do domu. Resztę weekendu spędził czytając książki.

W poniedziałek w szkole przywitała chłopca niespodzianka: Dzień Sportu. Różni zawodnicy i trenerzy przyjeżdżali do szkoły, aby zaprosić do uprawiania swojej dyscypliny. Ten dzień klasa Michała rozpoczynała matematyką. Jednak przed wejściem do klasy nauczyciel oznajmił, że teraz zawodnicy Gdańskiego Klubu Żeglarskiego opowiedzą o sobie i dyscyplinie sportowej, jaką uprawiają. Po wejściu do klasy chłopiec od razu rozpoznał tego, który proponował mu trening windsurfingu. Bał się, że mógłby coś o tym wspomnieć. Zawodnicy opowiadali o treningach, regatach oraz o zasadach odżywiania. Wszystkim bardzo się podobało spotkanie. Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek na przerwę. Już prawie zawodnicy wyszli z klasy, gdy jeden z nich nieoczekiwanie powiedział do Michała:

– Czy to nie ciebie spotkałem dwa dni temu na plaży? – zapytał.

– Tak, to byłem ja – odpowiedział chłopiec. Wtedy trener powiedział:

– Przyjdź jutro na trening, pokażemy ci windsurfing w praktyce.

Przez całą resztę dnia Michał myślał o tym, co powiedział trener na samym końcu lekcji. Stwierdził, że pójdzie na trening, ale nie powie o tym rodzicom. Mama i tak nie będzie tym zainteresowana, w końcu wyjechała do USA, gdzie pracuje, a ojciec z pewnością nie pozwoli mu, więc pójdzie sam.

W końcu nadszedł dzień treningu. Chłopiec po lekcjach pobiegł do klubu i stawił się u trenera. Następnie poszukano odpowiedniej dla Michała pianki, aby mógł w niej pływać, i chłopiec poszedł się przebrać. Po prawej stronie hangaru zawieszone były różnej wielkości dziwne, kolorowe czworokąty – to żagle. To właśnie je Michał obserwował podczas spacerów. Czuł, jakby były mu znajome. Chwilę później dopasowano mu odpowiedni, ze względu na jego sylwetkę i umiejętności, żagiel o powierzchni 4 m^2. Przydzielono mu również deskę klubową. Wszyscy chłopcy energicznie przystąpili do przygotowania swojego sprzętu i zejścia na wodę. Po upływie kilkunastu minut trener zwołał odprawę. Michał starał się być niewidoczny, bardzo chciał, aby nikt go nie zauważył. Żałował nawet, że przyszedł, choć ciekawość i chęć przeżycia przygody były silniejsze.

– Dzisiaj, ze względu na małą ilość wiatru zrobimy trening techniczny. Będziecie pływać po trójkącie z procedurą startową 5 minut. Potem, jeśli zdążymy, potrenujemy zwrot przez sztag i przez rufę. Za 10 minut wszyscy jesteście przy linii startu – zakończył szkoleniowiec, a po chwili dodał: – Za każdą minutę spóźnienia 10 pompek.

Po tych słowach wszyscy pobiegli do swojego sprzętu, aby jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonego miejsca. Michał zupełnie nie rozumiał tego, co mówił trener, jednak chciał już być na wodzie. Sam ze sobą, swoimi myślami, wiatrem. Na początku nowy zawodnik miał duże problemy z utrzymaniem się na desce, ale bardzo szybko zaczął sobie dobrze radzić. Zaprzyjaźnił się z nowymi kolegami z klubu, a oni polubili go i bardzo chętnie wszystko mu wyjaśniali.

Okazało się, że godzinne spacery po plaży, podczas których obserwował zawodników klubu GKŻ, tak jakby pomogły mu w nauce. Z dużym zaangażowaniem wykonywał polecenia trenera, nie zrażał się, kiedy coś mu się nie udawało. Radził sobie coraz lepiej, spędzał na treningach więcej czasu. Niekiedy wydawało mu się, że na plaży widzi sylwetkę ojca, ale to przecież niemożliwe, on jest bardzo zajęty, ma ważniejsze sprawy.

Pewnego słonecznego dnia jak zwykle przygotowywali się do treningu, wszyscy zeszli na wodę, aby nie wykonywać ćwiczeń za spóźnienie. Wiatr wiał równo i niezbyt mocno. Nagle nad grupą windsurferów pojawiła się ciemnogranatowa chmura, z której lunął bardzo mocny, zimny deszcz. Trener zaczął wołać, aby wszyscy jak najszybciej płynęli do brzegu, jednak wiatr, który był coraz silniejszy, poprzewracał żagle i skutecznie uniemożliwiał ich podniesienie. Pojawiały się motorówki, które pomagały zawodnikom wrócić, jednak kilku z nich udało się dopłynąć samemu, wśród nich był też Michał. Przed hangarem wszyscy z uznaniem patrzyli na tych, którym udało się pokonać trudne warunki pogodowe, ale też własne słabości. Przemarznięci chłopcy stali i bili brawo, a Michał szedł z opuszczoną głową. Od tego czasu postanowił jeszcze więcej czasu spędzać w klubie. Mijały miesiące, oprócz

treningów na wodzie, Michał biegał i zaczął chodzić na siłownię. Teraz pływał z żaglem wielkości 8,5 m^2. Nadal wykonywał polecenia trenera i sumiennie realizował plan treningowy. Nawet w szkole zaczął otrzymywać lepsze stopnie. W końcu został jednym z najlepszych windsurferów w Polsce. Już niedługo miały odbyć się mistrzostwa świata na Majorce, do których chłopiec przygotowywał się z wielką determinacją.

Kilka dni przed wyjazdem postanowił spakować się, przyszedł do domu dużo wcześniej niż zwykle. Podczas szukania paszportu zauważył grubą książkę obłożoną skórą, nie miała ani tytułu, ani autora. Chłopiec z wielkim zaciekawieniem ją otworzył. Były tam zdjęcia ślubne jego rodziców, był też roześmiany maluch, to chyba on sam? Przerzucił kilka kolejnych stron i zobaczył zdjęcie ojca, a przy nim deskę windsurfingową z żaglem. Michał bardzo się zdziwił, nie mógł uwierzyć. Nagle usłyszał:

– Widzę, że odnalazłeś nasze stare zdjęcia – powiedział uśmiechnięty ojciec.

– Tato! Ty trenowałeś windsurfing?

– Owszem trenowałem, chyba nawet trochę mi wychodziło.

– Widzę tu medal – dalej dopytywał Michał. – Dlaczego przestałeś pływać?

– Było to dokładnie rok po tym, jak wykonano to zdjęcie. Byliśmy na Mistrzostwach Świata w Windsurfingu na Majorce, przez 4 dni regat ciągle prowadziłem, jednak ostatniego dnia rano podczas schodzenia na wodę złamałem nogę, ostatecznie zająłem drugie miejsce. Leczenie i rehabilitacja trwały długo. Potem jeszcze rozchorowała się moja mama, a twoja babcia. Postanowiłem porzucić swoją pasję i zająć się elektroniką, chciałem kompletnie zapomnieć o wind-

surfingu, ale ty mi przypomniałeś – zamyślił się ojciec, a po chwili dodał: – Zejdźmy do piwnicy, coś ci pokażę.

Pod stertą różnych gazet i kartonów odnaleźli deskę i żagiel oraz inne rzeczy, o których tata Michała chciał zapomnieć. Wśród pamiątek z przeszłości znaleźli trapez, czyli specjalne pasy z haczykiem, którym żeglujący wpina się w uchwyt na bomie. Michał spojrzał na ojca:

– Czy mogę go wykorzystać? – zapytał.

– Oczywiście, jeśli tylko chcesz.

Jeszcze bardzo długo śmiali się i żartowali. Michał chciał, aby ta noc była jak najdłuższa. Niezauważenie minęła północ, a przecież chłopiec miał jutro wyjeżdżać. Położyli się do łóżek, jednak zasnąć nie mogli. Następnego dnia rano syna powitał uśmiechnięty ojciec, który oznajmił, że jedzie z nim na Majorkę.

Kilka dni po przyjeździe rozpoczęły się mistrzostwa świata. Od samego początku regat Michałowi nie szło tak dobrze, jakby chciał. Zajmował 5 pozycję. Zaczął obawiać się, że ma małe szanse w walce o medale. Jednak wiedział, że trzeba walczyć do końca, jeszcze wszystko może się wydarzyć. Najważniejsze było jednak to, że co wieczór razem z trenerem i ojcem podsumowywali miniony dzień. Ta obecność była dla młodego chłopca bardzo ważna.

Ostatniego dnia miał być rozegrany wyścig liczony podwójnie. Tylko w przypadku zwycięstwa mógł myśleć o medalu. Siła wiatru wynosiła około 20 węzłów. Michał uwielbiał pływać w takich warunkach. Czekając na start przypomniał sobie historię ojca. Marzył, aby jemu udało się wygrać. Właśnie tego dnia od samego startu szło mu bardzo dobrze. Miał ponad 20 sekund przewagi nad drugim zawodnikiem. Nagle na górnej boi zawiał bardzo mocny wiatr, który przewrócił

żagiel, a Michał wpadł do wody. Bardzo szybko wskoczył na deskę, chwycił linki i wyciągnął żagiel z wody. Następnie „odpadł" i od razu uzyskał dużą prędkość. Przez nieszczęśliwy upadek inni zawodnicy zaczęli go wyprzedzać. Jednak nie zamierzał się poddawać. Ustawił odpowiednio żagiel, wpiął się w linki trapezowe i zaczął gonić czołówkę. Za chwilę miał zacząć ostatnie okrążenie. Zauważył, że mógłby wiele zyskać płynąc nad przeciwnikami i zasłaniając im wiatr. Chwilę później już zajmował trzecie miejsce.

Nagle tuż przed końcem wyścigu kierunek wiatru gwałtownie się zmienił. Jeden z zawodników z Norwegii cały czas był bardzo blisko. Sytuacja była bardzo napięta. Obaj sportowcy pompowali ciałem z całych sił, aby ich deski mknęły w ślizgu jak najszybciej. Bardzo dobre przygotowanie oraz wiele wysiłku włożonego w treningi, a także doskonała koncentracja były teraz atutem polskiego zawodnika. Rywal również był dobrze przygotowany. Na szczęście zawodnik z Polski dopłynął do mety pierwszy, a tuż za nim windsurfer z Norwegii. Płynąc powoli do brzegu, Michał podziwiał piękne krajobrazy Balearów i jasną, turkusową wodę. Był bardzo zmęczony, jednak szczęśliwy. Po dotarciu do brzegu odbierał gratulacje.

Michał nie mógł się doczekać ostatecznych wyników oraz ceremonii wręczenia nagród, która rozpoczęła się kilka godzin po zakończeniu ostatniego wyścigu. Najpierw odczytano najmłodszych zwycięzców. Potem nastał czas na grupę, w której stratował Michał. Chłopiec z wielkim stresem i zdenerwowaniem oczekiwał na wyniki odczytywane przez sędziego. Nieoczekiwanie przy miejscu I usłyszał swoje nazwisko. Nie mógł w to uwierzyć! Biegł do podium skacząc z radości, wręczono mu medal i nagrody. Radości i gratulacjom nie

było końca. Z głośników zaczął rozbrzmiewać *Mazurek Dąbrowskiego*, Michał stał zamyślony, wyprostowany, z głową uniesioną wysoko, z trudem powstrzymywał łzy radości.

W oddali pośród grupy ludzi zobaczył znajomą postać, rozpoznał w niej swoją mamę, choć nie widział jej kilka miesięcy. Oboje rodzice zmierzali w jego kierunku.

– Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, synku – powiedziała mama.

– Postanowiliśmy, że razem wrócimy do domu – dodał tata.

– To wspaniale…

Jednak nie udało mu się dokończyć myśli, ponieważ w tym momencie przybiegła grupa jego kolegów z Gdańskiego Klubu Żeglarskiego, aby zgodnie z klubowym zwyczajem wrzucić zwycięzcę do wody.

Ania Niewiarowska

Sport bez granic

– Jeśli nie umiesz latać, biegnij. Jeśli nie umiesz biegać, chodź. Jeśli nie umiesz chodzić, czołgaj się. Ale bez względu na wszystko, posuwaj się naprzód – woła do ciebie z zaświatów Martin Luther King. – Siedząc bezczynnie, nie zrobisz ani kroku do przodu.

– Nie zrobię ani kroku, bo nie mogę już chodzić, a gdy patrzę za okno, to przynajmniej mogę obserwować normalne życie, które straciłam. Zresztą, co cię to może obchodzić?

– Jestem zawiedziony takim powitaniem. Utrata kończyny nie ma nic wspólnego z utratą kultury i dobrego wychowania, co najwyżej wiary w świetlaną przyszłość. Pan doktor mówił mi, że jesteś trudnym przypadkiem, ale nie wspomniał, że także takim niesympatycznym. Zacznę jeszcze raz. Mam na imię Marek, dla znajomych Markus i będę twoim prywatnym rehabilitantem, a ty moją pierwszą pacjentką. Postaraj się, bo pierwszego pacjenta każdy lekarz zapamiętuje do końca życia, więc włóż w naszą znajomość trochę serca i empatii.

Dziewczynka gwałtownie odwróciła się od okna, zdumiona tym, co właśnie usłyszała. Myślała, że to kolejny psycholog przyszedł do niej na rozmowę. Do tej

pory każdy był dla niej miły, rozumiał jej ból, pocieszał ją. A tu stał przed nią młody, uśmiechnięty chłopak z bujną czupryną, w dresie i kolorowych trampkach. Przyglądał się jej badawczo, uśmiechając się.

– Jestem Basia, beznadziejny przypadek, lepiej od razu zrezygnuj z pracy ze mną – odrzekła.

– Trudno pokonać osobę, która się nigdy nie poddaje – powiedział Marek – ale nie licz na to, że się wycofam. Zapraszam cię na spacer do tutejszego ogrodu. Aha, tym razem cię tam zawiozę na wózku, ale nie przyzwyczajaj się, robię to tylko wyjątkowo.

Zanim Basia zdążyła zastanowić się nad słowami swojego nowego lekarza, ten już posadził ją na wózek i śpiewając na cały korytarz jakąś piosenkę, wiózł ją do ogrodu. Była oszołomiona. Pierwszy raz od wielu tygodni poczuła ciepło słońca i zapach kwiatów. Teraz dopiero sobie uświadomiła, jak bardzo za tym tęskniła. Tymczasem Markus zaparkował wózek obok ławki. Usiadł naprzeciwko i patrząc na nią swoimi wielkimi zielonymi oczami powiedział:

– Basieńko droga – zaczął miło – będę twoim rehabilitantem, myślę jednak, że aby nasza praca przyniosła efekty, musisz najpierw powiedzieć mi, czego się boisz, za czym tęsknisz, czego pragniesz. Dlaczego nie chcesz znów być sobą. Opowiedz mi o sobie, gimnastyczko.

Kiedy Basia usłyszała to ostatnie słowo, serce zabiło jej mocniej, a do oczu napłynęły łzy. Gimnastyka sportowa to był cały jej świat, który się zawalił, gdy pijany kierowca wjechał w ludzi na przystanku. Wracała wtedy z treningu. Była umówiona ze swoją przyjaciółką Beatką, która miała dla niej jakieś cenne rady co do najnowszego układu na równoważni. Nie pamięta wypadku, tylko jasne światła na sali operacyjnej, a później zapłakaną twarz mamy. Rozmowa z lekarzem, któ-

ry przyszedł jej powiedzieć, że nie dało się uratować zmiażdżonej nogi i musieli ją amputować do kolana, śni jej się po nocach jako najgorszy koszmar. Później przychodzili kolejni specjaliści i każdy mówił, że będzie dobrze. Ale nie było. Po dwóch operacjach przyszedł czas na założenie protezy. Basia nie mogła na nią patrzeć, nie chciała uczyć się chodzić ani ćwiczyć. Zamknęła się w swoim bólu i nie chciała dopuścić do siebie nikogo, kto chciałby jej pomóc. Unikała kontaktu nawet z Beatą, choć bardzo za nią tęskniła. Nikomu dotąd nie mówiła, jak jest jej źle. Nikomu.

– Basiu, nie ma żadnych ograniczeń poza tymi, które sama sobie wmówisz. Przeżyłaś, więc walcz. Jesteś sportowcem, a oni nigdy się nie poddają. Opowiedz mi o tym, jak trenowałaś, co chciałaś osiągnąć, czy nadal chcesz? – zapytał Marek.

– Chciałabym cofnąć czas. Wrócić na halę sportową i trenować. Od dziecka byłam bardzo wysportowana. Gdy miałam 4 lata, zobaczyłam w telewizji relację z olimpiady letniej, na której zawodniczka ćwicząca na równoważni wykonała salto i płynnie wylądowała. To właśnie wtedy postanowiłam, że też będę kiedyś tak ćwiczyć. Tata zrobił mi w ogrodzie równoważnię, a ja całymi godzinami ćwiczyłam na niej różne figury. Szło mi na tyle dobrze, że zostałam przyjęta do klubu sportowego Sokół w wieku 5 lat, a rok później startowałam już w zawodach. Kochałam to. Każdą chwilę spędzałam na treningach i wygrywałam coraz bardziej prestiżowe zawody w kraju, a później także za granicą. Moja najlepsza przyjaciółka Beata, która jest geniuszem w dziedzinie nauk ścisłych, opracowywała mi różne techniki zwiększające możliwości wykonywania poszczególnych elementów. O dziwo, to działało. Zawsze, kiedy coś wyszło, a ja patrzyłam na nią

ze zdumieniem, mówiła mi, że to tylko prawa fizyki, które rządzą światem. Kiedyś będzie wielkim naukowcem i wniesie ogromny wkład w rozwój sportu, to pewne. Gdyby nie wypadek, za dwa lata miałabym szansę wziąć udział w olimpiadzie letniej. Gimnastyka sportowa wymaga ogromnej precyzji, zdyscyplinowania, koncentracji i pasji. Ja to wszystko miałam w sobie, dlatego tak dobrze mi szło. Kiedy wchodziłam na równoważnię, nie widziałam ani nie słyszałam nic wokół. Byłam tylko ja, belka i ogromna chęć pokonania kolejnej granicy, udowodnienie, że można zrobić jeszcze jeden krok dalej.

– Basiu, czy chciałabyś nadal być gimnastyczką? – zapytał nagle Marek. – Bo jeśli tak, to masz w sobie tyle pasji i siły, że mogłabyś tego dokonać. Nie odpowiadaj od razu. Zastanów się.

– Nie muszę się zastanawiać. Jestem tego pewna jak niczego innego na świecie. Sport dawał mi siłę, radość i satysfakcję. Zrobiłabym wszystko, aby do niego wrócić!

– A więc załatwione – odrzekł Markus. – Jutro zabieram cię w niezwykłe miejsce. Poznasz moich przyjaciół i ja chciałbym poznać twoich. Obudź się w dobrym nastroju. Będę po ciebie o 14.00.

Rehabilitant odwiózł Basię do sali, pożegnał się i wyszedł. Dziewczynka długo siedziała w milczeniu. W końcu zdecydowała się podnieść nogawkę spodni i przyjrzeć się bliżej swojej protezie. Rozpłakała się. Potrzebowała teraz kogoś bliskiego, kto by ją zrozumiał. Popatrzyła na telefon i od razu wykręciła numer do Beaty, a ona była już po kilku minutach. Dziewczyny spędziły razem wiele godzin tego popołudnia. Za zamkniętymi drzwiami szpitalnej sali odrodziła się przyjaźń i obudziła się nadzieja, że może przyjdzie kiedyś jeszcze lepszy czas.

Następnego dnia Marek przyjechał po Basię tuż po obiedzie. O dziwo, nie mogła się doczekać, aż go zobaczy. Czuła, że jest on kimś, kto naprawdę ją rozumie i chce jej pomóc. Poprosiła także przyjaciółkę, aby towarzyszyła im w tej wyprawie, ponieważ Markus chciał ją poznać.

Samochód wyjechał z centrum miasta i kierował się na południe. Marek zatrzymał się przed ogromnym i nowoczesnym gmachem. Dziewczyna zauważyła, że do budynku prowadziło kilka wejść, a przy każdym był podjazd dla wózków inwalidzkich. Pomyślała, że to jakieś nowoczesne centrum rehabilitacji. Kiedy podeszli bliżej, Basia zobaczyła nad drzwiami napis Centrum Paraolimpijskie, a gdy wjechali do holu, na głównej ścianie frontowej ujrzała ogromne hasło *Dusza w ruchu* i trzy znaki Agito w kolorach: czerwonym, niebieskim i zielonym. Basia poczuła się nieswojo. Tymczasem Markus zapytał ją wesoło:

– Gotowa na poznanie moich przyjaciół?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się automatyczne drzwi do ogromnej sali. Basia aż krzyknęła ze zdumienia. Była to bardzo nowoczesna hala sportowa, w pełni wyposażona do uprawiania różnych dyscyplin sportu. *Pierwsza klasa* – pomyślała.

– Witajcie, kochani – zawołał radośnie rehabilitant. – Przyprowadziłem wam moją pierwszą pacjentkę, a kiedyś może i przyjaciółkę, Basię. Ona bardzo potrzebuje waszej pomocy, ale i wiele może zaoferować. Basiu, poznaj moich przyjaciół i nie bądź taka spięta.

– Każdy z nas przeżył kiedyś taki moment – powiedziała rudowłosa dziewczyna i podała jej dłoń na przywitanie. – Przepraszam, że lewa, ale prawej nie posiadam, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza? – i uśmiechnęła się szeroko.

Basia trwała w bezruchu nie rozumiejąc, kim są ci ludzie i co ona tu robi. Ciszę przerwał bardzo przystojny chłopak na wózku inwalidzkim.

– Twoja obecna sytuacja zmieniła na pewno postrzeganie świata, ale nie musi wpływać na pasję do sportu, chęć rywalizacji, pokonywanie swoich słabości i wznoszenie się wciąż wyżej. Każdy z nas pewnego dnia przekroczył te drzwi. Dobrze wiemy, jak się czujesz, co teraz myślisz. Nikt jednak nie zrezygnował. Jesteśmy tutaj, dlatego że chcemy pokonać swoją niepełnosprawność, ustanawiać rekordy, zdobywać medale, pokazać innym, że nie jesteśmy gorsi. Marzeniem każdego niepełnosprawnego zawodnika jest zostać paraolimpijczykiem, ale nie dzieje się to od tak, tylko dlatego, że nie masz ręki czy jeździsz na wózku. Trzeba być najlepszym, bardzo dużo trenować, kochać to, co się robi, i mieć wielkie marzenia. One dodają skrzydeł. Jesteśmy paraolimpijczykami i to tymi z pierwszej ligi – tu chłopak przerwał, roześmiał się na głos i znacząco rozłożył ręce pokazując na resztę towarzystwa – medalistami, rekordzistami, po prostu ludźmi sukcesu, okupionego bardzo ciężką pracą, treningami, ale także radością z każdego najmniejszego nawet kroku do przodu.

– Aby do nas dołączyć, nie wystarczy chęć walki i godziny ćwiczeń – przerwała rozmówcy rudowłosa dziewczyna. – Musisz zaakceptować siebie taką, jaka teraz jesteś. Nie musisz swojej niepełnosprawności lubić, ale będziesz musiała przestać się jej wstydzić. Uwierzyć w to, że inna nie znaczy gorsza. Paraolimpijczyk jest szczególnie wrażliwy na cierpienie i ból innego zawodnika, bo sam się z nim zmaga. Rywalizuje, ale nie poniża, nie krytykuje, wspiera. Mottem ruchu paraolimpijskiego jest maksyma *Dusza w ruchu*, bo dusza

nie ma ograniczeń ani barier – jak ciało. Dusza sportowca jest jak jego umysł – wolna i ma wielkie plany. Każdy z nas chciał poczuć tę wolność, dlatego stoimy teraz przed tobą. Poznaj nasze historie i motta, jakie wybraliśmy dla siebie na te słabsze dni, aby czerpać z nich siłę.

– Mówią mi Ruda, choć mam na imię Amelia. Nie mam prawej ręki i tak to już jest od urodzenia. Trenuję rzut oszczepem i nieźle mi to wychodzi. Moim mottem są słowa kenijskiego biegacza i rekordzisty w maratonach Paula Tergata: *Zadaj sobie pytanie: Czy mogę dać z siebie więcej? Odpowiedź zwykle brzmi: Tak.* Ja zawsze odpowiadam: TAK! I poprawiam odległości rzutów na coraz to lepsze, mimo że mam tylko jedną rękę.

– Za to złotą – zaśmiał się przystojny chłopak na wózku. – Ja mam na imię Bartek, choć wszyscy mówią mi Ciacho, nie wiem doprawdy dlaczego. – Moja niepełnosprawność wynika z wrodzonego urazu kręgosłupa. Moimi nogami są koła wózka inwalidzkiego. W sporcie wybrałem piłkę nożną, jak każdy szanujący się facet, bez urazy dla reszty, rzecz jasna. W chwilach zwątpienia podnoszą mnie na duchu słowa amerykańskiej płotkarki, multimedalistki Gai Devers: *Pamiętaj, wszystko jest możliwe dla tych, którzy wierzą*. A ja zawsze wierzę.

– Jestem Karolina, ale mów mi Karo – dodała blondynka z pięknym warkoczem. – Urodziłam się zdrowa, ale jako dziecko przeszłam bardzo ciężki udar, który pozostawił liczne pamiątki po sobie. Pokonuję go jednak każdego dnia na torze naszego basenu olimpijskiego. Łatwo nie jest, ale jak powiedział mój mentor Jesse Owens, lekkoatleta z wieloma rekordami świata na koncie: *Wszyscy mamy marzenia. Aby jednak sprawić, że staną się one rzeczywistością, potrzeba bardzo dużo de-*

terminacji, poświęcenia, samodyscypliny i wysiłku. I to jest to wszystko, co towarzyszy mi każdego dnia, dlatego moje marzenia się spełniają.

– Szczęściara! Ja po swoje marzenia musiałem nieźle się nawiosłować. – Kacper to ja, choć Kacpi brzmi bardziej słodko. Nie chodzę od dziecka, tak jak nasze Ciacho, ale mam bardzo silne ręce i znakomicie wiosłuję. Codziennie zmagam się z własną słabością i bólem, ale chce być zwycięzcą, dlatego przyświeca mi myśl poety i noblisty T.S. Eliota: *Tylko ci, którzy ryzykują pójście za daleko, dowiedzą się, jak daleko można dojść*.

– Chyba dopłynąć, w twoim przypadku – odpowiedział niski głos bardzo drobnego młodzieńca, który wstał i pięknie się pokłonił. Dopiero wówczas Basia zauważyła, jaki jest niski. – Jakub – ciągnął niski głos, zupełnie niepasujący do drobnego ciała chłopaka – dla przyjaciół Kruszyna. Najlepszy strzelec wśród polskich paraolimpijczyków. Natura poskąpiła mi wzrostu, jak widzisz, za to wzrok mam sokoli. Nie jest łatwo, powiem szczerze, bo wszystko wokół jest zawsze za wysoko lub za daleko. Muszę w życiu i na sali pokonywać wciąż jakieś przeszkody, prosić o pomoc. Dlatego ja powtarzam za znakomitą biegaczką Karą Goucher: *Będzie milion powodów, dla których nie możesz. Skup się na kilku, dla których możesz*.

– Moja maksyma brzmi: *Musisz wierzyć w siebie wtedy, gdy nikt inny w ciebie nie wierzy – to czyni cię wygranym już na początku*. Jej autorką jest wybitna amerykańska tenisistka Venus Williams. Musiałam nie tylko w siebie uwierzyć, ale także udowodnić innym, że mogę dokonać rzeczy niemożliwych – głos szczupłej i bardzo ładnej dziewczyny brzmiał dość przekonująco. Nie widzę trudności, które muszę pokonać, może to i dobrze, bo pewnie obawiałabym się, czy dam radę,

A tak cała moja energia jest skupiona na biegu i głosie pełnosprawnego zawodnika, którego głos jest moimi oczami. Odbieram świat przez inne zmysły, które mam bardziej wyostrzone. Nie wiem, jak wyglądają moje medale, ale znam ich wagę, zapach, smak. Wiem, że brzmi to trochę dziwacznie, ale cóż zrobić, natura nie obdarzyła mnie wzrokiem, choć tak bardzo chciałabym chociaż raz widzieć stadion, po którym biegnę, kibiców na trybunach, te wszystkie media. Kocham bieganie. Mów mi po prostu Marysia.

– Jesteś niewidoma, jak więc możesz trenować, to niemożliwe! – zawołała Basia.

– A jednak. Sportowca nie powstrzyma żadna granica ani bariera. My, paraolimpijczycy, pokazujemy innym, że nie ma rzeczy niemożliwych w sporcie, choć na swoje sukcesy musimy pracować dłużej i ciężej niż inni. Gorzej radzimy sobie z przegraną, częściej musimy pokonywać różnego rodzaju kryzysy, ale zawsze walczymy fair play i nikt nie jest w stanie nam dorównać w determinacji i woli walki.

– To prawda – przerwał jej Marek. – Paraolimpiady pokazują potęgę i siłę sportu, udowadniają, że sport nie zna granic. Wyczyny zawodników często zaprzeczają logice, wprawiając kibiców w osłupienie. Siła, jaka od nich płynie, porusza serca i głęboko zapada w pamięć. Ich wyczyny uświadamiają ludziom zdrowym, jak trudno jest pokonać barierę niepełnosprawności i żyć z nią na co dzień. Z niezwykłej energii tych zawodników czerpię dla siebie siły witalne. Autorką mojego motta jest żona amerykańskiego prezydenta, Eleonora Roosevelt, która powiedziała kiedyś: *Przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno swoich marzeń*. Ja jestem tu po to, aby pomóc spełnić się temu pięknu u trenujących w tym miejscu zawodników.

– On nie jest niepełnosprawny – odpowiedziała Marysia. – Głos Marka to moje oczy na stadionie. Jest pełnosprawnym zawodnikiem biegnącym ze mną w parze. Na razie za mną nadąża. Może przedstawisz nam swoją przyjaciółkę, Basiu – zaproponowała Marysia.

– Z przyjemnością – odpowiedziała dziewczyna. – Beata jest moją najlepszą przyjaciółką. Znamy się od zawsze. Jest naukowym geniuszem. Rozpracowywała moje wszystkie układy pod kątem zachodzących w nich sił i zjawisk, po czym mówiła mi, jak mogę je poprawić. Mówi, że nauka może wiele ofiarować sportowcom.

– To prawda – zaczęła Beatka, jak zawsze wykładowym tonem. – Mam już kilka pomysłów, które mogłyby wam ułatwić nieco treningi. Automatyczny podnośnik hydrauliczny dla strzelca, koła o obrotach 360 stopni dla piłkarza, czujniki sensoryczne dla biegaczki, które odbijając fale dźwiękowe zadziałają jak echosonda, antypoślizgowa nakładka na siedzisko w kajaku uniemożliwi przesuwanie się kajakarza. Nad resztą muszę trochę pomyśleć w domu.

Kiedy Beata zakończyła snuć swoje naukowe plany, przyszedł czas na Basię, która opowiadała o sobie, swoich pasjach, sukcesach, wspaniałych czasach sprzed wypadku i tych trudnych po. Kiedy skończyła, zawodnicy poprosili, aby zobaczyła, jak trenują. Kiedy ostatnia osoba skończyła ćwiczyć, z rogu sali podszedł do nich starszy wysportowany mężczyzna w dresie polskiej reprezentacji paraolimpijskiej.

– Wszyscy przywitali się z nim serdecznie, ale on patrzył tylko na Basię. Markus przedstawił gościa. Był to trener polskich gimnastyczek sportowych. On zaś zwrócił się do dziewczynki:

– Jestem pod ogromnym wrażeniem twojej historii, uporu i pasji. Gdybyś chciała wrócić do gimnastyki, z przyjemnością zostanę twoim trenerem. Niestety z protezą nie możesz ćwiczyć już na równoważni, bo byłoby to dla ciebie niebezpieczne, a bez niej niemożliwe. Nie oznacza to, że nie możesz być nadal gimnastyczką. Oczywiście jest to możliwe, wymaga tylko zmiany przyrządu. Widzę, że masz długie palce i silne dłonie, to idealne warunki, aby zostać pianistką lub też gimnastyczką sportową na poręczach asymetrycznych. Ćwicząc wcześniej na równoważni miałaś bardzo dobrze opanowaną równowagę i koncentrację. Tam lądowałaś na nogi, a tu trzeba wrócić za każdym razem na poręcz, na szczęście masz zdrowe i silne dłonie. Zastanów się nad tym wszystkim, co się tu dzisiaj zdarzyło. I jeśli będziesz chciała znowu być zawodniczką, to zapraszam cię tu na salę za dwa miesiące, bo tyle potrzebujesz na rehabilitacje z Markusem, aby nauczyć się chodzić w protezie i od nowa poznać swoje ciało. Ja nie obiecuję ci sukcesów czy też medali, ale wielogodzinną, codzienną, ciężką pracę, która przyniesie ci radość z pokonywania swoich słabości. Jeśli zaś będziesz wytrwale ćwiczyć, być może przyjdzie też czas na zawody i turnieje, ale to bardzo daleka i ciężka droga. Masz jednak szanse, aby dojść nią bardzo daleko, bo masz najważniejsze dla sportowca cechy: pasję, upór i wolę walki, resztę wypełnią codzienne treningi. Nie mówię do widzenia, ale do zobaczenia, bo wierzę, że zapiszemy wspólnie nowy rozdział twojego życia – powiedział trener i wyszedł.

Dziewczynki także pożegnały się i wyszły. Basia nie była w stanie zasnąć. Całą noc toczyła walkę z samą sobą, co powinna zrobić ze swoim życiem, kim być, jak daleko zajść. Gdy Markus przyszedł rano, zastał inną

dziewczynę, silną, chętną do pracy i z wielkimi planami na przyszłość. Niezwykła energia Marka napełniała ją nadzieją, że to wszystko, o czym mówił jej trener w Centrum Paraolimpijskim, może się udać. Swój czas dzieliła między naukę, rehabilitację, czytanie wszystkiego, co tylko znalazła o swoim nowym przyrządzie do ćwiczeń, i oczywiście między Beatkę, która udzielała jej technicznych rad. To wszystko sprawiło, że równo po dwóch miesiącach Basia po raz drugi przekroczyła próg nowoczesnej hali sportowej. Ze zdziwieniem zauważyła, że trener czekał już na nią w środku, gotowy do treningu.

– Zaskoczona? – zapytał. – Ja uwierzyłem w ciebie dwa miesiące temu, teraz przyszedł czas, abyś to ty uwierzyła w siebie. Twój przyrząd jest już gotowy. Będziesz go poznawać, aż stanie się on przedłużeniem twojej ręki i będziesz czuła, że jest dla ciebie stabilnym i bezpiecznym gruntem, na którym zawsze wylądujesz. Do ćwiczeń będziesz musiała zdejmować protezę, aby jej nie uszkodzić, nie będzie ci ona zresztą potrzebna, sama zobaczysz. Czekam przy poręczach.

Z trudem Basia pokonała lęk i wstyd zdjęcia protezy, ale pomógł jej Markus, na niego zawsze mogła liczyć. Kiedy skończył się pierwszy trening, wszyscy zawodnicy na sali bili jej brawo. I tak minął dzień pierwszy. Kolejne mknęły jeszcze szybciej. Basia całkowicie zatraciła się w treningach na nowym przyrządzie, pokochała go tak jak kiedyś równoważnię. Bardzo szybko doszła do znakomitej formy. Po kilku miesiącach wzięła udział w swoich pierwszych zawodach. Trener był z niej bardzo dumny. Mówił jej nie raz, że nie wie, czego ma w sobie więcej – talentu czy determinacji. Ona jednak uśmiechała się wtedy i myślała w duchu, że wszystkiego po trochę. Wolny czas spędzała ra-

zem z nowymi przyjaciółmi, którzy byli dla niej wielkim wsparciem, no i z Beatą.

Oczywiście Basia, jak każdy sportowiec, marzyła o sukcesach, medalach, krótkich chwilach chwały, które dają siłę na bardzo długo. Wystartowała w paraolimpiadzie letniej i zakończyła ją w pierwszej dziesiątce. Trener uznał to za ogromny sukces i widział ją na podium w kolejnej. Po czym znowu życie wróciło do normy, czyli do ciężkich treningów, które kochała.

Pewnego dnia zadzwonił do niej Markus, z którym zostali wielkimi przyjaciółmi, z prośbą, aby powitała na hali jego kolejnego pacjenta, który, tak jak ona kiedyś, potrzebuje pomocy i wiary, że jego świat się nie zawalił. Zgodziła się. Był to były żużlowiec, z urazem kręgosłupa po wypadku na torze. Kiedy chłopak stanął przed nimi zdumiony, jak Basia kiedyś, ona podeszła do niego, uścisnęła mu dłoń i powiedziała:

– Witaj w świecie paraolimpijczyków. Ludzi, którzy pokonali swoją niepełnosprawność i każdego dnia udowadniają, że mają wielkie plany i marzenia, i potrafią o nie walczyć. Mam na imię Basia i znam to spojrzenie. Niedawno to mnie Markus przywiózł tutaj na tym wózku. Wówczas mój świat leżał w gruzach, ale dzięki temu miejscu i ludziom, którzy tu są, krok po kroku udało mi się go odbudować. Znalazłam w sobie siłę i odwagę do walki, zaakceptowałam siebie taką, jaka jestem. Wróciłam do tego, co dawało mi radość i siłę, do sportu, który był zawsze sensem mojego życia. Tutaj w Centrum każdy zawodnik ma swoje prywatne motto przewodnie na te słabsze chwile, które pozwala ruszyć do przodu, kiedy nie masz już siły. Autorem mojego jest starożytny filozof Platon, który napisał kiedyś słowa: *Najważniejszym i największym triumfem człowieka jest zwycięstwo nad samym sobą*. Nasza du-

sza jest w ruchu, niczym nieograniczona, jak zapewne przeczytałeś w holu. A my przezwyciężamy tutaj ograniczenia, które mają nasze ciała, pokonujemy słabości, spełniamy marzenia i żyjemy pełnią życia, w ruchu, bo ruch jest istotą sportu. A my wszyscy jesteśmy przecież sportowcami. Potęga sportu tkwi w naszej sile, bo to my właśnie udowadniamy, że sport nie zna granic. Paraolimpijczycy to niezwykli ludzie, polubisz nas. My zaś pokażemy ci, jak walczyć o swoje marzenia, i podzielimy się naszą siłą i energią. Witamy cię w naszym gronie – zakończyła i posłała chłopakowi najwspanialszy uśmiech.

Następnie przedstawiała się reszta…

Sylwia Siedlecka

Spełnione marzenie

Zawsze się zastanawiałem, a co by było gdyby…

Nigdy nie sądziłem, że jedno z moich najskrytszych marzeń się spełni. Nie miałem jednak pojęcia, że będę musiał zapłacić za to tak wielką cenę, jaką było moje zdrowie, moja pełnosprawność. Opowiem swoją historię.

* * *

Wracałem ze szkoły. Ściana wody lejąca się z ciemnoszarych chmur oraz granatowy, całkowicie przemoczony kaptur mojej bluzy skutecznie utrudniały widoczność. Ledwo dostrzegałem chodnik, po którym biegłem. Krople wody spływały po mojej twarzy, robiąc najróżniejsze szlaczki. Chciałem być już jak najprędzej w domu. Miałem dość tej chlapaniny. Złapałem dwa głębokie wdechy gęstego powietrza i wbiegłem na jezdnię. Usłyszałem trąbienie, pisk opon. Spojrzałem w bok, wprost w światła nadjeżdżającego samochodu. Poczułem uderzenie. Moje ciało nie było już moim, nie panowałem nad nim. Uniosło mnie do góry, by po chwili uderzyć mną o bruk jak niechcianą, szmacianą lalką. Objęła mnie ciemność.

Krzyk. Potrząsanie. Pytania. Ciemność. Wycie syreny. Ból. Krzyki, szloch. Mama. Ciemność. Gdzie je-

stem? Co się dzieje? O co chodzi? Jakiś męski, basowy głos mówi, że trzeba zacząć operację. Dłoń, ciepła, czuła głaszcze. Szloch, ciemność.

* * *

Nerwowe szepty i suchość w ustach – to pierwsze, co pamiętam, gdy wróciła mi przytomność. To i… ciemność.

Czułem miłe ciepło na mojej dłoni. Zacisnąłem lekko rękę. Usłyszałem, jak ktoś łapie oddech. Po chwili kobiecy głos zawołał lekarza.

– Mama – szepczę.

Uniosłem powieki, aby zobaczyć cudowną twarz mojej mamy, ale coś było nie tak. Nic nie widziałem. Mrugnąłem kilka razy, ale dalej nic. Spanikowany, chciałem się podnieś i w tej samej chwili syknąłem z bólu. Poczułem ostre rwanie w lewej ręce.

– Karol, jak się czujesz? – spiąłem się, słysząc mocny bas mężczyzny, lecz postanowiłem mu odpowiedzieć. Co innego mógłbym zrobić?

– Do… doktorze… – odchrząknąłem. – Dlaczego nic nie widzę? Czemu wszystko jest czarne?

Czułem na sobie czyjś wzrok. Z prawej strony doszedł mnie chrobot przysuwanego metalowego taboretu, a po chwili ktoś mocno ścisnął moją dłoń. Do moich uszu dobiegł delikatny głos mojej mamy.

– Synku, posłuchaj mnie – wzięła głęboki wdech. – Gdy wracałeś do domu, wpadłeś pod auto i uderzyłeś głową o chodnik. Masz uszkodzony płat ciemieniowy, inaczej mówiąc… – ścisnęła mocniej moją rękę, aby dodać mi otuchy – … straciłeś wzrok. Na szczęście jedynie wzrok…

Nie słuchałem jej dalej. Do moich oczu, które niegdyś były zielone, a teraz zasłonięte przez jakąś białą

mgiełkę, napłynęły słone łzy. Mamuś przytuliła mnie, a ja zacząłem łkać w jej ramię. Już nigdy nie zobaczę jej uśmiechniętej, pięknej twarzy, już nigdy nic nie zobaczę. Będę musiał się nauczyć z tym żyć.

– Jeszcze przez trzy dni musisz tutaj zostać na obserwacji. Jeśli wszystko będzie w porządku, będziesz mógł wrócić do domu – do moich uszu dobiegł męski głos.

Ziewnąłem, co on niestety zauważył i powiedział do mojej mamy, aby sama odpoczęła. Chyba kiwnęła głową, ponieważ poczułem, jak całuje moje czoło, a po chwili usłyszałem stukot jej obcasów, gdy się oddalała. Z moich ust znowu wydobyło się ziewnięcie, a mój tymczasowy opiekun powiedział, abym się zdrzemnął. Z wielką chęcią przystałem na jego propozycję. Ledwo zamknąłem powieki, od razu odpłynąłem do krainy snów.

Trzy dni zleciały szybko. Moją codziennością stały się wizyty u psychologa i nauka alfabetu Braille'a. Powoli oswajałem się z otoczeniem. Słuch mi się wyostrzył, było tak jakby jeden organ przejął funkcję drugiego – widziałem słuchem jak nietoperz.

Nareszcie nadszedł dzień powrotu do domu. Cieszyłem się, że nie będę musiał już całymi dniami czuć zapachu leków i starszych osób. W końcu będę mógł spać w moim miękkim łóżku oraz jeść pyszne posiłki gotowane przez moją mamę. Wielki banan zakwitł mi na ustach, a twarz przybrała rozmarzony wyraz. Usłyszałem dźwięczny śmiech rodzicielki, rozśmieszyła ją moja mina. Duma mnie rozparła, bo przez ostatnie dni słyszałem tylko jej łkania.

Gdy dojechaliśmy do domu, mamuś pomogła mi wysiąść z auta i wejść do domu. Stałem w holu, wciągając dobrze znany mi zapach pieczonych jabłek. Po chwili

z cichym westchnięciem ściągnąłem kurtkę. Odłożyłem ją na ławeczkę, która, jak dobrze pamiętałem, znajdowała się po prawej stronie od drzwi. Z butami było trudniej, ale po kilku minutach walki z nimi udało mi się je zdjąć. Rękoma macałem ściany i jakimś cudem udało mi się wejść do kuchni bez żadnych stłuczeń. Do moich uszu dobiegł odgłos, który wydaje piekarnik, gdy to, co jest w środku, już się upiecze. Powolnymi, małymi kroczkami podszedłem do przedmiotu, który wydawał te piskliwe dźwięki. Nagle usłyszałem krzyk mamy:

– Karol! Odejdź od piekarnika, poparzysz się! Usiądź przy stole, zaraz skończę.

Odsunęła mnie od urządzenia i poczochrała po włosach. Czułem, że się uśmiecha. Ona zawsze była łagodną i miłą osobą, zawsze dostrzegała w innych to, co w nich najlepsze, i nigdy nie zwracała uwagi na wygląd. Ceniłem ją za to.

Grzecznie usiadłem przy stole. Pamiętałem jeszcze wystrój tego pomieszczenia. Cała prawa strona była wypełniona blatami oraz przyrządami kucharskimi. Naprzeciwko było ogromne okno, a promienie słoneczne, które przez nie docierały, pięknie oświetlały kuchnię. Idealnie przy nim stał średniej wielkości stół, przy którym mogło się zmieścić co najmniej pięć osób. Ściany były w miłym dla oka miętowym kolorze, idealnie kontrastującym z ciemną dębową podłogą. Teraz jednak widziałem jedyne czerń. Nie było kolorów. „A może to sen?" – pomyślałem.

Nagły stukot porcelanowego talerza o drewnianą powłokę stołu oraz oszałamiający zapach szarlotki uderzający w moje nozdrza skutecznie przywróciły mnie rzeczywistości. Z uśmiechem podziękowałem za ulubione ciasto. Zebrałem się na odwagę, by zadać nurtujące mnie od rana pytanie:

– Mamo? A kiedy wrócę do szkoły?

Bałem się jej odpowiedzi. Moja klasa nie była zbytnio miła dla takich osób, jaką się stałem. Poczułem, że kładzie rękę na ramieniu i lekko je ściska.

– Jeśli wszystko będzie w porządku, to pewnie za tydzień. Nie mogę zamknąć cię w czterech ścianach. Sam o tym dobrze wiesz, synku – zabrała dłoń.

Tej odpowiedzi się bałem. Nie miałem pojęcia, jak mnie przyjmą w klasie. Bałem się. Postanowiłem jednak odsunąć od siebie pesymistyczne myśli i uśmiechnąłem się, w moim mniemaniu, promiennie. Zwlokłem się z taboretu. Poszedłem do swojego pokoju, zarabiając przy tym kilka siniaków, gdyż musiałem się wspinać po schodach, a łatwe to nie było. Położyłem się na łóżku. W głowie próbowałem odtworzyć sobie wygląd tego pomieszczenia. Wyglądał jak pokój każdego nastolatka – szare ściany pokrywały kolorowe plakaty moich idoli: Adama Kszczota, Usaina Bolta, Marcina Lewandowskiego. Poczułem pieczenie pod powiekami, pojawiły się gorące łzy, a w sercu ogromna złość: na siebie, los, przeklętą ciemność. Już na zawsze mogłem porzucić swoje marzenie o byciu mistrzem olimpijskim w bieganiu. Już nigdy nie stanę na bieżni, nie zdobędę upragnionego medalu. NIGDY! Przez całą noc płakałem w poduszkę, straciłem wiarę w siebie.

Kolejne dni były do siebie podobne – posiłki, nauka Braille'a, rehabilitacja, oswajanie mroku. Jedynym urozmaiceniem rutyny były wizyty Aleksandra, mojego jedynego przyjaciela, który zdawał się niezrażony moją niepełnosprawnością. Tak zleciał tydzień.

W końcu musiałem wrócić do szkoły. Od Olka dowiedziałem się, że tego samego dnia naszą szkołę odwiedzi kobieta – trzykrotna mistrzyni olimpijska w łucznictwie. Byłem ciekaw, jaka jest, bo wiadomo,

że ludzie inaczej zachowują się w świetle kamer, a inaczej na żywo.

Przebrałem się w jakieś ubrania przygotowane przez moją mamę, włożyłem czarne okulary, a dłoń zaopatrzyłem w białą laskę niewidomych. Powoli zszedłem na dół. Codzienne ćwiczenia przyniosły efekty w postaci bezsiniakowego zejścia po schodach. Z kuchni dochodziły nerwowe szepty.

– Cześć! – powiedziałem, a Olek i mama się ze mną przywitali. Usiadłem przy stole, a ktoś przystawił mi pod nos talerz. Po zapachu poznałem, że była to jajecznica, którą zjadłem ze smakiem. Po posiłku pożegnałem mamę i wyszedłem wraz z przyjacielem z domu. Przez całą drogę do szkoły rozmawialiśmy ze sobą i śmieliśmy się, dzięki czemu zapomniałem o tym, co miało się wydarzyć za chwilę.

Nastrój się zmienił, gdy przekroczyliśmy bramę szkoły. Czułem na sobie wzrok innych, słyszałem szepty. Oczyma duszy widziałem wytknięte w moja stronę palce i drwiące uśmiechy. Przystanąłem. Krople zimnego potu wystąpiły na czoło, serce tłukło się niespokojnie w klatce, w ustach zabrakło śliny. Chciałem uciec. Nie chciałem tych współczujących spojrzeń, to takie upokarzające.

Aleksander mocno ścisnął moje ramię i pchnął lekko do przodu.

– Odwagi. Do boju, mistrzu – wyszeptał mi do ucha.

Skierowaliśmy się w stronę sali gimnastycznej, gdzie miało się odbyć spotkanie. Usiedliśmy na ławce, a ja poczułem obcy zapach damskich perfum. To zapewne ta wielokrotna medalistka. Usłyszałem dziwne skrzypienie, nie znałem tego dźwięku. Spytałem Olka, co to, a on odparł, że olimpijka jeździ na wózku in-

walidzkim. Zatkało mnie. Niepełnosprawna olimpijka? Jak?

Pani Małgorzata Olejnik opowiedziała swoją biografię. Odpowiadała na pytania innych, moje także. Zaskoczyła mnie jej odpowiedź na pytanie: – Jak radzisz sobie z tym, że jesteś niepełnosprawna?

Odparła, że nie wstydzi się tego, niepełnosprawność jest jej integralną częścią, bez niej nie byłaby sobą, nie zdobyła medali na paraolimpiadzie.

Gdy spotkanie się skończyło i mogliśmy iść, ktoś chwycił mnie za rękę.

– Poczekaj, pomożesz mi? – pokiwałem lekko głową. Powoli poszedłem za odgłosem skrzypiącego wózka. Podawała mi jakieś przedmioty i mówiła, gdzie je położyć, jakby nie zauważyła, że nie widzę.

– Jak masz na imię? Ja jestem Małgośka.

Przełknąłem ślinę, ale jej odpowiedziałem.

– Jestem Karol – posłałem jej lekki uśmiech. Wydawała się miła.

– Widzisz, Karol, twój przyjaciel się chyba niecierpliwi.

Zdziwiłem się. Czy ona zamierza się ze mnie śmiać z powodu mojego kalectwa? Usłyszałem, jak do mnie podjeżdża.

– Mam do ciebie pytanie. Kim chcesz zostać w przyszłości?

„O co jej chodzi? Czego ode mnie chce to babsko?" – przemknęło mi przez głowę niezbyt ładne określenie pani Małgorzaty.

– Nie mam pojęcia. Kiedyś miałem marzenie, by zostać mistrzem olimpijskim w biegach, ale teraz… Pewnie go nie spełnię – zaśmiałem się nerwowo.

– Wiesz, moim zdaniem utrata wzroku nie jest przeszkodą. Swoje marzenie możesz uratować – użyła

efektownej pauzy, po czym dodała: – Moim zdaniem byłbyś świetnym paraolimpijczykiem. Może nawet byś zdobył kilkanaście medali dla Polski? Kto wie? Jesteś bardzo sprawny i zwinny. Umiesz złapać wiele rzeczy, nie wiedząc nawet, skąd lecą. Wiesz, że rzucałam ci te przedmioty, aby cię sprawdzić? Naprawdę trzymam za ciebie kciuki. Wierzę, że ci się uda. Podążaj za marzeniami.

Czułem, że mówiąc to, miała cały czas uśmiech na ustach.

– Czemu pokłada pani we mnie tyle nadziei? Przecież nic nie widzę, jedynie słyszę i czuję. Jak miałbym biegać?

– Jeśli będziesz dużo ćwiczył, wzrok nie będzie ci potrzebny. Do pomocy możesz wziąć swojego przyjaciela, on na pewno cię wesprze. A teraz żegnajcie! – usłyszałem jeszcze trzeszczenie oddalającego się wózka. Aleksander poklepał mnie po ramieniu, mówiąc:

– No, mistrzu, chyba będziesz musiał, poprawka, będziemy musieli dużo ćwiczyć.

Ćwiczyliśmy każdego dnia. Byłem coraz lepszy, silniejszy i, o paradoksie, sprawniejszy. Coraz mniej zwracałem uwagi na to, co mówią inni. Obchodzili mnie tylko bliscy, sport i nauka. Pojawiły się pierwsze sukcesy na zawodach paraolimpijskich, a potem kolejne i kolejne. Pewnego dnia przyszło powołanie do kadry narodowej, miałem oficjalnie reprezentować nasz kraj na najbliższej olimpiadzie. Nie wierzyłem, a jednak… Marzenia się spełniają!

I tak oto dotarliśmy do miejsca, od którego zacząłem swoją historię. Nie żałuję tego, co się stało. Gdyby nie ten wypadek, nigdy nie byłbym tym, kim jestem teraz. Moi bliscy są ze mnie dumni. A ja jestem dumny z siebie.

Mikołaj Szczęsny

Tajemniczy jeździec

W dziewiętnastym stuleciu, gdy jeszcze nie było mnie na świecie, mój pradziadek Jan, który uwielbiał konie, w swojej hodowli posiadał już dwa. Z opowiadań dowiedziałem się, że jeden z nich był maści białej, a drugi gniadej. Tradycja hodowli koni w mojej rodzinie zachowała się do dziś. Ja też mam klacz, którą nazwałem Kasztanka, a imię to nadał swojemu koniowi również mój dziadek. Pragnąłbym wspomnieć o pięknym geście mojego pradziadka, którym było przekazanie swoich koni na potrzeby wojska w czasie kampanii wrześniowej. Pradziadek w ogóle był bardzo ciekawym człowiekiem.

Pamiętam, że wszyscy w rodzinie opowiadali o jego fascynacji starożytnością, którą uważał za źródło wszystkich uznawanych przez niego wartości. Najbardziej intrygował mnie enigmatyczny i dziwnie wyglądający napis nad wejściem jego domu. Dziadek wytłumaczył mi kiedyś jego znaczenie. Napis brzmiał: *Kalos kai agathos* i według mojego przodka symbolizuje ideał starogreckiego wychowania młodych ludzi. Oznacza on wychowanie z jednoczesną troską o równomierny rozwój umysłowy i fizyczny. Dziadek wielokrotnie kręcił nosem, spoglądając na tę dewizę, gdyż pradziadek

zmuszał go do kształtowania umysłu i ciała, a to wymagało nieraz wielkich wyrzeczeń. Zgodnie z powyższymi słowami mój dziadek oraz tata, oprócz rozwoju intelektualnego dbali również o zachowanie odwiecznej rodzinnej tradycji, jaką było jeździectwo. Mój mentor – tata również zaszczepił we mnie chęć obcowania z końmi.

Od czterech lat trenuję jazdę konną, uczestniczę w zawodach jeździeckich, mimo wielu zajęć szkolnych i pozaszkolnych ćwiczę regularnie dwa razy w tygodniu. Potrafię pogodzić pasję z nauką. Największe zadowolenie budzi we mnie radość ze współpracy z koniem. Wiele ćwiczeń, wyrzeczeń pozwala mi na osiągnięcie wymarzonego podium na klubowych zawodach jeździeckich. Wiąże się z tym pewna niezapomniana przygoda, o której już za chwilę…

Pewnego letniego dnia, dość chłodnego, z samego rana wraz ze swoim trenerem wyruszyłem w długą podróż do Ciechocinka, w którym miały odbyć się Ogólnopolskie Zawody Jeździeckie. Jechaliśmy wolniej niż inni użytkownicy drogi, do samochodu przymocowana była bowiem przyczepka do transportu koni, a w niej moja wierna towarzyszka – Kasztanka. Z upływem czasu pogoda zaczęła się zmieniać, robiło się coraz cieplej. Poruszaliśmy się samochodem pozbawionym klimatyzacji, a większość miejsca zajmował mój sprzęt jeździecki. Mimo ograniczonego czasu zrobiliśmy kilka postojów. Na każdym z nich wyprowadzałem klacz i pozwalałem jej chwilkę pokłusować na lonży. Ruch w tak upalny dzień, zwłaszcza przed zawodami, był dla niej wskazany, gdyż konie w dobrej kondycji i dobrze odżywiane, lecz pozbawione ruchu są podatne na chorobę poświąteczną, czyli tak zwany mięśniochwat.

Gdy byliśmy coraz bliżej celu, często mijaliśmy ogromne plakaty umieszczone na ścianach wysokich budynków, które informowały o zbliżającym się turnieju w Ciechocinku. Im częściej rzucały się w oczy owe plakaty, tym silniejszy ogarniał mnie stres. Zacząłem tracić wiarę w swoje siły i umiejętności. Obawiałem się spotkania z tak dużą grupą ludzi. Nie doceniałem już tego, że jako jedyny ze swojego klubu jeździeckiego dostałem się do ostatniego, III etapu turnieju. Nachodziły mnie myśli, że mogę zostać wyśmiany przez publiczność z nieznanego mi powodu.

W pewnym momencie zobaczyłem potężny szyld stadniny, w której miały odbywać się zawody. Poczułem przeszywający mnie atak gorąca, spowodowany zaistniałą sytuacją. Po zaparkowaniu pojazdu wyprowadziłem konia z przyczepki. Trener pomógł mi zanieść wszystkie potrzebne rzeczy do szatni stadniny. Odprowadziłem Kasztankę do boksu, gdzie została osiodłana i przygotowana do jazdy. Poszedłem przebrać się w kombinezon jeździecki, zmieniłem buty na oficerki jeździeckie, założyłem kask i udałem się w stronę stajni.

Wsiadłem na konia i wraz z innymi uczestnikami stępem pojechałem na tor, który miałem pokonać. Wylosowałem czwarty w kolejności przejazd. Rożne myśli kłębiły się w mojej głowie: zapowiedź ewentualnej nagrody, przedstawienie jeźdźców, przeszkody, upał. Emocje, przejęcie, nerwy, a jednocześnie skupienie towarzyszyły mi, gdy cała publiczność patrzyła już na mnie. Wszyscy ustawiliśmy się w odpowiedniej kolejności. Uważnie przyglądałem się każdemu jeźdźcowi i obserwowałem technikę jego jazdy. Pierwszy jeździec dość słabo pokonał przeszkody, drugi – dobry, ale nie najlepszy, gdyż dżokej naruszył stabilność bel-

ki. Zdziwiło mnie to, że żaden z konserwatorów nie umocnił belki na haku. Groziło to odjęciem punktów następnemu jeźdźcowi, gdyż nawet najmniejszy podmuch był w stanie zrzucić ją z uchwytów. Z zaniepokojeniem przyglądałem się następnemu przejazdowi, tak jak mówiłem, zawodnik strącił belkę, przez to znalazł się poza podium. Wjechałem na tor, pokonałem go idealnie. Po czym udałem się do stajni odprowadzić konia. Wróciłem do loży, w której odpoczywali jeźdźcy. Obawiałem się o chłopaka, który przede mną pokonał tor, gdyż mimo pięknego przejazdu, wskutek błędu sędziów, mógł nie stanąć na podium. Już wkrótce miało się okazać, że miałem rację.

Po ogłoszeniu wyników dowiedziałem się, że rzeczywiście poprzedzający mnie zawodnik został sklasyfikowany poza podium. Nie namyślając się długo, poszedłem do sędziów. Wytłumaczyłem komisji sprawę z naruszeniem belki. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu reakcja sędziów była natychmiastowa. Chłopiec stanął na pierwszym miejscu, a ja tuż obok niego – zająłem drugie miejsce. Uśmiech pojawił się na ustach zwycięzcy, a mnie radość wypełniła serce. Owacje na stojąco ze strony widzów. Otrzymałem specjalną nagrodę za postępowanie fair play oraz drugą pozycję na podium. Byłem niezmiernie dumny.

W tamtym momencie uświadomiłem sobie, jak ważna jest uczciwość i szacunek dla przeciwnika. Po przyznaniu nagród wraz z innymi jeźdźcami udałem się na uroczysty obiad do zabytkowego dworku Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Ciechocinku. Następnie poszliśmy na długi spacer, podczas którego wymienialiśmy się naszymi wrażeniami oraz sugestiami na temat minionych zawodów. Poznałem wiele osób, z którymi łączyło mnie zamiłowanie do jeździectwa.

Spacerując parkowymi alejkami, wyobrażałem sobie, jak mogły wyglądać takie zawody kilka stuleci wcześniej. Od gospodarzy zawodów dowiedziałem się, że w 1936 roku prezydent Ignacy Mościcki był specjalnym gościem owego memoriału jeździeckiego.

Ta postać jest mi szczególnie bliska, gdyż łączy mnie z nią zamiłowanie do łowiectwa. Prezydent Mościcki słynął z organizowania wielkich łowów zarówno w Spale, jak i Ciechocinku dla głów sąsiednich państw. Podczas wędrówki zatrzymałem się pod jednym z rosnących w parku dębów. Miejsce to po zakończonych zmaganiach jeździeckich było dla mnie chwilą odosobnienia. Zamyślony spocząłem pod drzewem. Z daleka słyszałem głosy innych chłopców. W myślach wspominałem przodków, a szczególnie mojego pradziadka, który zapoczątkował w mojej rodzinie miłość do tych pięknych istot, jakimi są konie.

W pewnym momencie podszedł do mnie nieznajomy chłopak. Przedstawił się i usiadł tuż obok mnie. Nastała chwila krótkiej ciszy, którą przerwałem pytaniem, czy jest on tym jeźdźcem, który zadebiutował w dzisiejszych zawodach. Odpowiedź była twierdząca. Robert – bo takie nosił imię, oznajmił mi, że szukał mnie po całym parku, aby móc ze mną porozmawiać. Uśmiechnąłem się, gdyż powiedział, iż tak naprawdę to mnie zawdzięcza dzisiejsze podium. Robert podał mi rękę jako gest wdzięczności za moje zachowanie. Opowiedział mi krótko historię swojego życia.

Dowiedziałem się, że mieszka w Spale, a jego pasją, prócz jeździectwa, jest też łowiectwo. Długo gawędziliśmy na temat naszych pasji, opowiadaliśmy o swoich koniach oraz myśliwskich przygodach. Podczas gdy kończyłem swoją opowieść, Robert wyznał mi, iż trofeum w tym turnieju, było jego przysłowiowym „być

albo nie być", losy jego kariery jeździeckiej zależały właśnie od tego osiągnięcia. Opowiedział mi o ciężkim złamaniu, którego doświadczył, to właśnie ono przeszkodziło mu w kontynuowaniu jeździeckiej kariery. Zrobiło mi się go szkoda. Wydawał się być sympatycznym, ale ambitnym i oddanym człowiekiem. Czułem radość, a jednocześnie ulgę z racji, iż przyczyniłem się do jego sukcesu.

Na zakończenie naszego spotkania przyszli do nas rodzice chłopca, którzy tak jak on podziękowali mi za odwagę i uczciwość. Byłem naprawdę z siebie dumny. Robert podał mi swój numer telefonu oraz adres zamieszkania, a jego rodzice zaprosili mnie na leśny rekonesans do Spały. Nie ukrywam, wzruszyłem się zaistniałą sytuacją. Niezmiernie cieszyłem się, że będę mógł choć trochę poznać historię spalskiej puszczy. Marzyłem o spotkaniu oko w oko z pięknym jeleniem o okazałym porożu.

Nie mogłem w to uwierzyć, jak pasja potrafi łączyć ludzi. Ja wraz z Robertem jesteśmy tego prawdziwym przykładem. Do dziś trwa nasza przyjaźń, a gdy tylko znajdujemy wolny czas, staramy się siebie odwiedzać, a wolne chwile spędzać w siodle.

Tata Roberta zaprosił mnie do Spały w październiku, bo właśnie wtedy odbywa się okres godowy jeleni, zwany rykowiskiem. Pan Robert obiecał nam, że do lasu udamy się konno i wraz z tymi zwierzętami przeżyjemy niezapomniane chwile w kniei.

Taka właśnie przygoda, jedna z najwspanialszych w moim krótkim życiu, przydarzyła mi się jakiś czas temu. Pozostanie na zawsze w mojej pamięci, bo jazda konna stanowi dla mnie zbawienie od problemów życia codziennego, a wszystkie chwile spędzone z tym zwierzęciem, są dla mnie bezcenne. Trudno opisać mi,

co czuję, gdy mogę wraz z koniem poruszać się w rytm harmonii jego ciała.

Tak jak wyżej wspomniałem, wspólna pasja łączy ludzi. Zgodnie z moją rodzinną tradycją ja również będę pielęgnował wartości, które były mottem moich przodków. Zwrot *kalos kai agathos* pojawił się w mojej rodzinie w XIX stuleciu, również wtedy mój pradziadek dał się uwieść urokowi cudownych zwierząt, jakimi są konie. Będę pielęgnował ten gen, który otrzymałem w spadku od moich antenatów.

Amelia Wota

Skok w marzenia

– Amelka! Chodź tutaj!

Z niechęcią otworzyłam jedno oko; drugie jakoś odmawiało posłuszeństwa. Ujrzałam pochylonego nad sobą Kamila Stocha. Teraz już obydwoma oczyma nieprzytomnie rozejrzałam się po pokoju. Nic nadzwyczajnego. Żółte ściany, biały sufit, meble. Na biurku stały wczoraj zakupione kwiaty, moje ulubione – goździki. Cudem udało mi się pokonać zmęczenie; wstałam, na chwiejnych nogach podeszłam do szafy, wyjęłam ubrania, założyłam je, choć myślami wciąż byłam w Narnii… wiedziałam, że to był tylko sen… ale wydawał się taki realistyczny…

– Amelka! Chyba cię wołałam! – krzyknęła zniecierpliwiona mama.

Ups! Zapomniałam o mamie. Mój wzrok z lubością spoczął na plakacie Kamila. „Ach…. – westchnęłam – za niedługo też będę tak jak on, wybitną sportsmenką… Mam nadzieję, oczywiście". Skończyłam rozmyślania zwykłym „zobaczymy" i zeszłam na dół, mama czekała. Ciekawe, o co jej chodzi? Na moje pytanie znalazłam odpowiedź już po kilku sekundach.

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!!…

Mam imieniny! Gdzie ja byłam, że o tym zapomniałam?! A, no tak – w Narnii.

– Otwórz prezent! – ponaglał mnie tata, który baczenie mnie obserwował, odkąd się pojawiłam.

Ja chyba śnię! PREZENT!

Łapczywie rzuciłam się na kolorowe wąskie pudełko. Co to może być? Rozerwałam papier pakowy, przecięłam taśmę i… zamarłam z zachwytu.

– DZIĘKUJĘ! – krzyknęłam.

Zawiesiłam się rodzicom na szyjach, wciąż nie wierząc w swoje szczęście. Na dnie opakowania leżały piękne, seledynowo-czarne, smukłe narty. Nie do wiary!!

– Mamo, tato, kiedy mogę je wypróbować?

– Hmmm… – odparła mama – według moich obliczeń to za 3 godziny.

– Jak to?

– Czas na drugi prezent – od dziś jesteś członkiem zespołu SMMN – Stowarzyszenia Mistrzów Młodzików Nart.

Nie. To nie było możliwe. A jednak… marzenia się spełniają…

* * *

Stałam w niezbyt głębokim, puszystym śniegu, trzymając narty, a uśmiech nie znikał mi z twarzy. Niecierpliwie czekałam na trenera. Zaraz miała się odbyć moja pierwsza lekcja jazdy na nartach. Jeszcze 5 godzin temu nie spodziewałam się, że będzie to najwspanialszy dzień w moim życiu. Teraz to po prostu czułam.

– To chyba on! – pisnęła moja mama.

Sekundę później dał się słyszeć przyjemny głos bardzo wysokiego mężczyzny:

– Witam! Nazywam się Dawid. Od dziś będę twoim trenerem. Mam przyjemność spędzić ten sezon z…

– Z Amelką.

Zalała mnie fala gorąca. Jejku!!! To takie niesamowite!

– Świetnie. Rodziców proszę o oddalenie się na trybuny, a ciebie zapraszam za mną.

Wykonaliśmy posłusznie polecenia pana Dawida, który okazał się przemiłym trenerem. Na początku była rozgrzewka, aby podczas ćwiczeń nie naciągnąć lub nie naderwać mięśni. Okazało się, że należę do grupy początkującej, w której każdy z 10 uczniów dopiero uczy się jeździć na nartach, nie ma mowy o skokach. Później, w grupie średnio zaawansowanej, rozpoczyna się już skakanie ze skoczni. Ja, jak to zwykle bywa na pierwszych lekcjach, dowiedziałam się o zasadach regulaminu, którego trzeba przestrzegać. Dzisiaj rozmawiałam z trenerem na temat prawidłowej postawy podczas jazdy na nartach, miałam również lekcje „na sucho", to znaczy bez nart, w powietrzu ćwiczyłam ruchy, które będę wykonywać w trakcie prawdziwej jazdy. Parę minut przed lekcją bałam się, że od razu będę musiała „wsiąść" na narty (a jeszcze nawet nie umiałam dobrze na nich stać, a co dopiero jeździć), więc te próby bardzo mnie ucieszyły.

Gdy wróciłam do domu, była już godzina 18:00, a ja zmęczona i szczęśliwa potrzebowałam odpoczynku.

* * *

Czas płynął i okazało się, co wcześniej wydawało mi się wręcz nierealistyczne, że już przez miesiąc trenuję 2 razy w tygodniu. Umiem już dobrze, jak na początek, jeździć na nartach. Na treningach ćwiczę jazdę slalomem, mijając wszelkie negatywne uwagi pana

Dawida jak slalomowe tyczki, bo odbierają mi one siłę i zapał. Natomiast pochwały dodają mi skrzydeł. Teraz, kiedy tylko zakładam narty, czuję się jak w… siódmym niebie, nie mówiąc już o samej jeździe, która jest niebem ósmym. Mam nadzieję, że uda mi się kiedykolwiek skakać jak Stoch. Jestem jego wielką fanką. Jeżeli coś mi przeszkodzi w zrealizowaniu tego marzenia, to przysięgam sobie, że się nie załamię i będę próbować dalej.

* * *

5 lat później…

Powietrze lizało mi twarz. Oczy mi „wysychały" mimo moich seledynowych gogli. Jednak to nie miało wtedy znaczenia. Ja… skoczyłam! Leciałam! Naprawdę! Odważyłam się, potrafiłam! Byłam niesamowicie z siebie dumna! Lądowanie… Moje nogi wraz z nartami dotknęły śniegu.

– I jak było? – zapytał trener podbiegając do mnie.

– Ja… brak mi słów, żeby to opisać! Było… cudownie!

A jednak… dałam radę… Skakanie na skoczni… Ach!… To jest przeżycie!

Ten dzień minął mi bardzo szybko i zanim zdążyłam się obejrzeć – już leżałam w łóżku. Leżałam, ale myśli nadal frunęły… Ponad skocznią… W marzenia…

Następnego dnia, gdy tylko weszłam do szatni, żeby się przebrać w strój na trening, zauważyłam pana Dawida i (zgodnie z zasadami wszelkiej grzeczności) powiedziałam:

– Dzień dob…

– Nie ma czasu – dowiedziałam się w odpowiedzi. – Mam dla ciebie niespodziankę – tu wyraźnie ściszył głos – jedziemy.

Wziął mnie delikatnie za rękaw kurtki i wyprowadził z budynku. Zaskoczona – nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. O co mu chodzi? 5 minut później już jechaliśmy samochodem, milcząc. Niepokój chciał się obudzić w moim sercu, ale szybko go uciszyłam.

– Proszę pana… dokąd jedziemy?

– Niespodzianka.

– Uff… – odetchnęłam z ulgą, ponieważ pan Dawid odsłonił zęby w uśmiechu.

Podróż nie trwała długo – raptem 15 minut. Klub SMMN mieścił się bowiem w Zakopanem.

– Wysiadamy – powiedział pan Dawid.

Przeszliśmy do restauracyjki. Trener zapukał do jakichś lekko odrapanych drzwi i w mgnieniu oka otworzył mu je niski mężczyzna przy kości. W milczeniu zaprowadził nas do sąsiednich drzwi, otworzył je, przepuścił nas przodem i zniknął z pola widzenia. Moim oczom ukazał się człowiek przeciętnego wzrostu. Uśmiechał się. „Kto to jest?" – zadałam sobie pytanie w myślach, które zaczęły się kłębić od nadmiaru wrażeń. Ten pan ubrany był w luźną koszulkę i w sprane dżinsy. „Kto to…??" Pytałam nieustannie w myślach… I nagle mnie olśniło.

– Ka… Pan Kamil Stoch?

– Tak, Amelko, to ja – o masz… znał moje imię!!!

Przeprowadziliśmy krótką rozmowę na temat ukochanego sportu, o upadkach i wznowieniach jego kariery oraz o rywalach pana Kamila.

– Jestem pana wielką fanką. Ale chyba nigdy nie będę skakała tak dobrze jak pan…– odparłam z lekkim smutkiem.

– Amelko! Nie można się poddawać! Jeżeli stracisz wiarę w samą siebie, wiedz, że na pewno niczego w ży-

ciu nie osiągniesz. Myśl pozytywnie. Ja przecież nie od razu skakałem mistrzowsko. Na początku kariery nie byłem wcale „medalowy". Zająłem 49 miejsce. Podziałało to na mnie motywująco – na kolejnych zawodach byłem na podium. Poćwiczysz, włożysz w treningi wysiłek i… będziesz skakała na poziomie olimpijskim – tu miło się do mnie uśmiechnął. 49 miejsce pokazało mi, że jest się gdzie wspinać. „No tak, zdecydowanie ma rację" – przyznałam w myślach.

– Dziękuję za mocne słowa. Podniósł mnie pan na duchu – odpowiedziałam uśmiechem.

Po rozmowie dostałam nawet jego autograf! *Kamil Stoch – dla Amelki* – tak brzmiały słowa napisane przez mistrza. Podziękowałam za poświęcony czas i wyszłam razem z panem Dawidem z restauracji.

– DZIĘKUJĘ PANU!!!

– Och… Nie musisz. Chciałem ci zrobić przyjemność.

– Jak to się stało, że spotkanie było możliwe?

– Pan Kamil to mój dawny przyjaciel. Kiedy tylko dowiedziałem się, że przyjechał do domu rodzinnego, tu, do Zakopanego, od razu wykonałem do niego telefon. Powiedziałem mu, że jest twoim idolem, a Kamil wyraził zgodę na spotkanie i rozmowę.

Zegar w mojej komórce wskazywał już 19:00, więc trener odwiózł mnie do domu. Byłam przeszczęśliwa! Jeszcze do mnie nie dotarło to, co się przed chwilą wydarzyło. Po raz kolejny podziękowałam trenerowi, pożegnałam się z nim i weszłam do domu. Rodzice zaskoczeni wysłuchali mojej opowieści i wysłali mnie do pokoju, pewni, że jestem wyczerpana.

Tej nocy leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć. Cały czas myślałam o dzisiejszym dniu. Lecz nagle ni stąd, ni z owąd zaświtała mi w głowie myśl o mojej

najlepszej przyjaciółce z klasy – Natalii, która ciężko zachorowała i musiała zaprzestać treningów jej ukochanego sportu. Pamiętałam jak ten sport uwielbia, że nie może bez niego żyć. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co naprawdę czuje, patrząc na płatki śniegu i słuchając moich opowieści z treningów. Chciałam wyciągnąć pomocną dłoń lub chociaż okazać jakiś miły gest, ponieważ dopiero teraz zrozumiałam, co to znaczy KOCHAĆ sport. Gdybym była na jej miejscu, też oczekiwałabym wsparcia. Chciałabym umieć ulżyć Natalce w cierpieniu… Po prostu… ja… czułam, że MUSZĘ jej pomóc.

Mamy wspólne zainteresowania… przez moją głowę przelatywało mnóstwo pomysłów. Mamy tyle samo lat… Mamy marzenia… Tak! Marzenia!

Wiedziałam już, jak pomóc.

Następnego dnia o świcie udałam się na ćwiczenia. Było dosyć ciemno i chłodno. Jednak w moim sercu obudziła się i jaśniała iskierka miłości oraz dobroci. Miałam pewien plan i trzymałam kciuki za jego powodzenie. Działałam sama – nikt nie wiedział o moich zamiarach. Gdy tylko spotkałam pana Dawida, podeszłam do niego i bez owijania w bawełnę powiedziałam:

– Dzień dobry. Proszę pana, mam do pana ogromną prośbę. Moja przyjaciółka cierpi na poważną chorobę nowotworową. Chciałabym jej pomóc. Pomyślałam, że warto by było przeprowadzić zbiórkę pieniędzy dla niej. Czy byłaby taka możliwość, aby każda osoba z mojej grupy poinformowała o tej akcji w swojej szkole? Wczoraj przygotowałam puszki na pieniądze z jej zdjęciem, każdemu chętnemu je podaruję. Jeżeli pan dałby mi pozwolenie, jest szansa, że jej stan zdrowia będzie mógł ulec poprawie dzięki zastosowaniu nowo-

czesnego leczenia, a ja będę panu wdzięczna do końca życia. A może… pan Kamil… – zaczęłam nieśmiało – a może nawet cała reprezentacja Polski w skokach… zechciałaby zostać kimś… w rodzaju sponsora?

– Amelko… chyba nawet wiem, o kim mówisz. Do naszego klubu w ubiegłym roku uczęszczała pewna dziewczynka imieniem Natalia…

– Tak! Tak! To o niej myślę.

– Bardzo mi jej brakuje; była świetną uczennicą. A ty masz wielkie serce. Na twoje życzenie – na dzisiejszej lekcji ogłoszę zbiórkę.

– Nie wiem, jak panu dziękować!

– A co do sponsorów… – zamarłam, słuchając w napięciu – to dobry pomysł… ale nie, nie będziemy zajmować ich naszymi sprawami. Przygotowują się do zawodów… może innym razem…

„O nie! A miałam taką nadzieję… A może warto spróbować zadzwonić? Nie, nie poddam się".

– Ale…

– Jak chcesz, to zadzwoń. Już podaję numer telefonu – odparł trener – ale marne szanse. Są zajęci zawodami. Ja nie zadzwonię.

– Dobrze… – powiedziałam – spróbuję.

Pan Dawid odrobinę osłabił mój entuzjazm… Przypomniały mi się słowa pana Kamila: – Nigdy się nie poddawaj, nigdy.

– Proszę. Kliknij zieloną słuchawkę i… powodzenia – podał mi swój telefon.

Wykonałam polecenie i czekałam w trwodze. Pik… pik… „No odbierz, proszę…" pik… Uśmiechnęłam się. Udało się.

– Halo?

– Przepraszamy. Wybrany numer w tej chwili nie odpowiada. Prosimy spróbować później. Sorry, the

number… – rozłączyłam się. Mina mi zrzedła. No cóż, próbuję znowu. Nadal brak rezultatu.

No to… do trzech razy sztuka.

Pik… pik…

– Halo? Słucham – odezwał się głos w słuchawce. (Och, wreszcie!)

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panem Kamilem? Kamilem Stochem?

– Tak, proszę. A… Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Z Amelką. Tą od pana Dawida Szczurka.

– Ooo! To ty! A więc słucham.

– Jeżeli mogę o coś poprosić… – wzięłam głęboki oddech – szukamy sponsora dla mojej koleżanki… Natalii. Bardzo ciężko zachorowała. Potrzebujemy wsparcia. Chciałabym prosić pana o pomoc.

– Bardzo chętnie. Słyszałem o wielu dzieciach, trudno mi było się zdecydować, któremu pomóc… Spadłaś mi z nieba. Bardzo chętnie. Szczegóły uzgodnimy może… jutro? Na urodzinach Dawida. Zgoda?

– Jak najbardziej. Jestem panu wdzięczna do końca życia. DZIĘKUJĘ! – po policzku spłynęła mi łza – nie mogłam opanować wzruszenia.

Tego dnia na treningu czułam się jak anioł, wiedziałam, że to się nazywa dobry uczynek. Cieszę się, że stać mnie na to, byłam z siebie dumna.

Tego dnia postanowiłam, że będę pomagać każdemu, kto tego potrzebuje oraz że zmienię się na lepsze. Od tego dnia…

Tydzień później…

– Poproszę jeszcze „Super Expres". Ile płacę?

– Razem będzie 12 zł i 35 groszy.

– Dziękuję, do widzenia.

Wyszłam z kiosku niosąc gazetę; jak co dzień. Zaciekawiona stroną tytułową już w drodze zaczęłam ją przeglądać.

– Hmmm… Co my tu mamy? – mruknęłam do siebie pod nosem. – „Koło Fortuny"… Chylińska, „Stoch pomaga", „Wróble – zagrożone"… ZARAZ?! Stoch? Kamil Stoch?

Zaskoczona przewróciłam stronę. Mój wzrok zatrzymał się na zdjęciu wesołej dziewczynki… „Czy ja ją znam?" – zapytałam sama siebie w myślach. – Natalka?!! – wykrzyknęłam strasząc gruchające stadko gołębi.

Uśmiechała się do mnie przyjaciółka… ta, której pomogłam. Ale ona nie była sama. Obok Natalki przycupnął… Stoch. Idąc z otwartą ze zdziwienia buzią, środkiem osiedlowego chodnika, zaczęłam czytać artykuł i wywiad z panam Kamilem. Wspominał o mnie!

11-letnia Amelka mnie zmotywowała. Tak, to dzięki niej zdecydowałem się pomóc Natalii. Uwielbiam nieść dobro innym. Dla potrzebującej przeznaczyłem kwotę, która umożliwiła leczenie.

Zaczytana potknęłam się o wystającą kostkę chodnika… Gołębie trzepotem skrzydeł przypomniały mi, gdzie jestem… Stłuczone kolano? To nie miało wtedy dla mnie znaczenia. UDAŁO MI SIĘ!

Przypominam sobie słowa mojego taty: – Jak chcesz, to potrafisz.

Teraz zakreśliłam je w pamięci na złoto, NA ZAWSZE!

LAUREACI

Uczniowie

gimnazjów

ALEKSANDRA BABIUK

JULIA BARSKA

IGA GÓRECKA

KACPER GRACZYK

AGNIESZKA KULESZ

JULIA JANKOWSKA

ALEKSANDRA MAJCHERSKA

DARIA WARCHAŁ

JULIA WINIEWSKA

ALEKSANDRA BABIUK

Przeglądając opisy zeszłorocznych laureatów, postanowiłam, że zacznę jak wszyscy. Urodziłam się 25 października 2003 roku w Zabrzu. Obecnie mieszkam w malutkiej wiosce na Śląsku, o której istnieniu pewnie nie wiecie, więc nie widzę sensu wspominania jej nazwy. Jestem kochającym się w rysunku, recytacji i literaturze „książkoholikiem", który (teraz zapewne zawiodę Wasze oczekiwania) wcale nie ma aż tak wiele wspólnego ze sportem. Lubię aktywność fizyczną, ale jedyna dziedzina sportowa, w której jestem naprawdę dobra, to szachy. Jednak nie kręcił mnie pomysł napisania noweli z kulminacyjnym momentem, w którym przeciwnik dokonuje roszady. Jeżeli jesteście ciekawi mojego charakteru, skrycie wam powiem, że ja i moja bohaterka Kaja mamy ze sobą wiele wspólnego.

JULIA BARSKA

Urodziłam się 5 marca 2002 roku we Wrocławiu. Mój tata, Aleksander, jest żołnierzem w Pierw-

szym Brzeskim Pułku Saperów im. Tadeusza Kościuszki, a mama, Małgorzata, pracuje za granicą. Mam o rok młodszą siostrę, Aleksandrę. W latach 2009–2015 uczyłam się w Publicznej Szkole Podstawowej nr 3 im. Jana Kochanowskiego w Brzegu. Brałam wtedy udział w licznych zawodach sportowych i zajęciach pozalekcyjnych. Szkołę ukończyłam z wyróżnieniem. Od roku 2015 uczęszczam do Publicznego Gimnazjum nr 3 im. Orląt Lwowskich w Brzegu, które reprezentowałam w licznych konkursach literackich i językowych. Interesuję się siatkówką, popkulturą japońską oraz czytaniem. W wolnym czasie najczęściej piszę opowiadania lub słucham muzyki, z której to właśnie często czerpię inspirację. W przyszłości chciałabym zostać bibliotekarką, a moim największym marzeniem jest wydać książkę…

Uczennica gimnazjalnej klasy III B Publicznej Szkoły Podstawowej nr 1 im. Stefana Żeromskiego w Brzegu.

IGA GÓRECKA

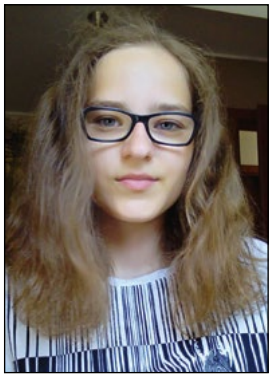

Mam na imię Iga, 14 lat temu urodziłam się w Sieradzu, w którym mieszkam do dzisiaj. Jestem uczennicą II klasy gimnazjum Szkoły Podstawowej Gminy Sieradz im. Jana Pawła II. Mam wiele pasji. Przeważająca ich część ma związek ze sztuką, choć równie mocno uwielbiam czytać i wymyślać własne historie. Interesuję się książkami o tematyce fantastycznej, jednak inne rodzaje literatury nie są mi obce. Mam nadzieję, że w przyszłości zostanę pisarką. Chcę nauczyć się wielu języków i poznać świat z jak najpiękniejszej strony.

KACPER GRACZYK

Urodziłem się 21 sierpnia 2003 roku w Aleksandrowie Kujawskim. Mieszkam w Bądkowie w województwie kujawsko-pomorskim. Uczęszczam do II klasy Publicznego Gimnazjum im. W. S. Reymonta w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Bądkowie. Interesuję się językiem polskim, angielskim oraz informatyką.

Po szkole lubię sobie pograć na komputerze, przeczytać dobrą książkę lub wybrać się na bliższe lub dal-

sze wyprawy rowerowe, najlepiej w towarzystwie moich rodziców.

Marzę o dalekich podróżach, szczególnie interesują mnie Stany Zjednoczone i Japonia.

AGNIESZKA KULESZ

Jestem 15-letnią dziewczyną z obsesją na punkcie Marvela. Uczęszczam do Zespołu Oświatowo-Wychowawczego w Strzale. Mieszkam w małej, ale uroczej miejscowości Chodów – razem z kochającymi rodzicami i młodszą siostrą. Uwielbiam muzykę, a w szczególności grę na fortepianie. Lubię też pisać, malować, po prostu tworzyć… W przyszłości chciałabym zostać znanym architektem. Większość wolnego czasu spędzam na czytaniu książek, oglądaniu filmów, rozwijaniu „moich talentów" i spotkaniach z przyjaciółmi. Nałogowo śpiewam piosenki Queen, denerwując przy tym wszystkich dookoła. Znajomi sądzą, że powinnam „gadać" mniej i zdecydowanie więcej się uśmiechać… ale przyjaciele wiedzą, że ja śmieję się wewnątrz…

JULIA JANKOWSKA

Mam na imię Julia. Urodziłam się 11 maja 2002 roku. Mieszkam we Wrocławiu na osiedlu Kuźniki. Tu chodziłam do szkoły podstawowej, tu chodzę do gimnazjum (które obecnie jest częścią mojej byłej podstawówki). Tu poznałam moją wieloletnią przyjaciółkę, którą bardzo kocham i cenię.

Jestem marzycielką. Ale marzycielką energiczną, energetyczną, która szybko przechodzi od słów do czynów. Mam mnóstwo pomysłów na życie. Wciąż szukam dla siebie inspiracji. Lubię pisać. Uwielbiam tańczyć. To ostatnie hobby odkryłam niedawno, we wrześniu 2017 roku. Pokochałam modern jazz, bo pozwala mi wyrazić siebie. Pokochałam też niesamowitą atmosferę, którą tworzą w grupie inne tańczące dziewczyny i trenerka.

Na moje życie wpływ miała poważna choroba – złośliwy nowotwór kości strzałkowej. Przeszłam kilka operacji, leczenie. Straciłam włosy (które już odrosły). Mam krótszą nogę. Wyróżniam się wyglądem, ale jestem zwykłą, normalną nastolatką. Wiele osób mówi, że jestem niezwykła – doroślejsza niż rówieśnicy (choć nadal zwariowana jak oni), waleczna, śmiała i radosna. Jak się wygra walkę o życie, to przecież nie można tego życia przespać i zmarnować.

ALEKSANDRA MAJCHERSKA

Urodziłam się 18 lutego 2002 roku. Mieszkam w Lublinie razem z moimi rodzicami i dwiema młodszymi siostrami. Jestem uczennicą klasy III gimnazjum w Szkole Podstawowej nr 39 im. Szarych Szeregów z oddziałami gimnazjalnymi. Obecnie zastanawiam się nad wyborem liceum i kierunkiem dalszej edukacji. Mam wiele planów na przyszłość i wciąż pojawiają się nowe. Swój wolny czas poświęcam czytaniu książek. Moje zainteresowania to również teatr, sport i zdrowy styl życia. Bardzo lubię podróżować, poznawać nowych ludzi i ich kultury. Moją największą pasją jest jednak pisanie. Fascynuje mnie możliwość kierowania losami bohaterów, analizowanie ich uczuć i kreowania rzeczywistości zbudowanej słowami. Z moją pasją łączy się udział w konkursach literackich, dzięki którym mogę się dzielić swoimi pomysłami z innymi. Jestem marzycielką i zdarza mi się bujać w obłokach. Mam głowę pełną marzeń i pomysłów na przyszłość. Kilka z nich już się spełniło, więc może spełnią się kolejne. Wierzę, że niemożliwe nie istnieje…

DARIA WARCHAŁ

Jestem uczennicą III klasy gimnazjum w Publicznej Szkole Podstawowej nr 1 im. Stefana Żeromskiego w Brzegu. Odkąd pamiętam, interesowałam się nauka-

mi humanistycznymi. Lubię tworzyć, biorę udział w licznych konkursach literackich oraz plastycznych, w których osiągam sukcesy, zajmując wysokie miejsca.

W pierwszej klasie szkoły podstawowej wstąpiłam do Związku Harcerstwa Polskiego i od tamtej pory jest to moja największa pasja. Pełnię funkcję przybocznej w gromadzie zuchowej i nie wyobrażam sobie swojego życia bez cotygodniowych spotkań w harcerskim gronie. Za najlepszy sposób wyrażania siebie uważam pisanie i w wolnych chwilach oddaję się tej przyjemności, kreując nową rzeczywistość i bohaterów, którym daję nowe życie. Największą inspirację czerpię ze świata codziennego. Lubię dostrzegać w zwyczajnych rzeczach i zdarzeniach coś, czego inni nie zauważają, i wykorzystywać to do tworzenia niezapomnianych historii.

Niezwykłą przyjemność daje mi czytanie. To właśnie dzięki temu, że od dzieciństwa towarzyszy mi literatura, pisanie własnych tekstów sprawia mi taką radość. Mój ulubiony gatunek literacki to literatura obyczajowa; fascynuje mnie to, jak pisarze w tak prosty sposób potrafią wzbudzić w czytelniku tysiące sprzecznych emocji. Moim małym marzeniem jest w napisanie i wydanie w przyszłości pełnoformatowej własnej książki. Stworzyłam już wiele opowiadań, ale z niecierpliwością czekam na dzień, w którym spod mojego pióra wyjdzie historia, o której śmiało będę mogła powiedzieć: „to moje dzieło". Z dumą postawię ją wtedy na regale wśród innych książek.

JULIA WINIEWSKA

Mam 16 lat i uczęszczam do III klasy gimnazjum Szkoły Podstawowej nr 1 im. Władysława Jagiełły w Pasłęku. Urodziłam się 11 maja 2002 roku w Dąbrowie Górniczej, ale losy moich rodziców przywiodły mnie na drugi koniec Polski, do małego miasteczka na północy – Pasłęka.

Uważam, że człowiek z pasjami to człowiek interesujący. Dlatego staram się być jak najbardziej interesująca. Tańczę od 6. roku życia i nie wyobrażam sobie przestać. W czytaniu mam równie długi staż i cieszę się, że znajduję się w tym niewielkim odsetku ludzi, którzy to robią. Ponadto piszę, pływam, jeżdżę na snowboardzie i nurkuję. Mimo życia w ciągłym biegu znajduję czas zarówno na naukę, jak i dla przyjaciół. Staram się być nietuzinkowa i żyć oryginalnie. Interesuję się psychologią i planuję z tym związać swoją przyszłość (oczywiście również z pisaniem).

Ktoś kiedyś powiedział, że „tworzyć – znaczy zabijać śmierć", dlatego życzę sobie i wszystkim laureatom, abyśmy byli „wspaniałymi zabójcami śmierci"!

Aleksandra Babiuk

Kaju, nie poddawaj się

Nie wiem, jak się przedstawić. Przedstawianie się kojarzone jest automatycznie z wchodzeniem w nowe relacje z ludźmi. Ja natomiast nie rozumiem, a nawet tak naprawdę nigdy nie chciałam rozumieć tego gatunku. Mnie też nikt nigdy nie rozumiał, a wyrażenie „szkolny przyjaciel" było dla mnie zwykłym epitetem. Wystarczyło mi zrozumienie i miłość taty. Dziewczyny, które mijałam na szkolnym korytarzu, rozmawiały głównie o kosmetykach, których nie używam; o chłopakach, dla których jestem niewidoczna; o butach, których mam tylko jedną sportową parę, lub o innych dziewczynach, z którymi i tak zawsze się spotykały, by obgadać z kolei swoje wspomniane wyżej „koleżanki".

Natomiast z tatą dialog wyglądał zupełnie inaczej. Nawet gdy zaczynaliśmy rozmowę o czymś w miarę normalnym (np. o rządzie), to przerzucaliśmy się w trakcie trwania interakcji na zjawiska nadprzyrodzone (np. reptylianów), a kończyliśmy podsumowaniem, że mrówki to obca generacja przybyła na Ziemię miliony lat temu na asteroidzie, która szykuje się do podbicia naszej okrutnej planety.

Ale taty już nie ma. Po jego wypadku zostało mi tylko życie chwilą wspomnień i regularne wędrówki

do lodówki po coś, co na chwilę pozwalało mi zagryźć przytłaczające myśli. I tak w ciągu dwóch miesięcy przytyłam 10 kilo, zagłębiając się w osobistym procesie resocjalizacji i rozpychaniu żołądka, do momentu… w którym poznałam Natana.

Cześć, jestem Kaja. Poznajcie moją historię.

* * *

Po kolejnym minionym dniu spędzonym w tym bezsensownym ośrodku faworyzującym uczniów o perfekcyjnych wynikach na testach dotarłam zmęczona do domu. Chciałam odruchowo zawiadomić mamę o mojej obecności standardowym donośnym słowem: – Wróciłam! – jednak usłyszałam jej głos. Nikt nas nie odwiedzał z wyjątkiem babci i opieki społecznej, więc nietrudno było się domyślić, że rozmawia przez telefon. Nie chciałam jej przeszkadzać. Zsunęłam tylko plecak na ziemię, zdjęłam czarne adidasy, które dostałam pół roku temu od taty na swoje piętnaste urodziny, i spokojnym krokiem podeszłam do salonowych, lekko uchylonych drzwi, kładąc na klamce rękę. Chęć popchnięcia ich momentalnie zanikła po usłyszeniu pierwszych słów mamy, nieświadomej, że stoję kilka kroków od niej.

– Nie mam już do niej siły, mamo – zdążyłam wywnioskować, że rozmawia z babcią.– Opuściła się w nauce, mając w głębokim poważaniu testy gimnazjalne. Nie słucha się mnie. Nie wychodzi z domu. Roztyła się – poczułam, jak do oczu zaczęły napływać mi łzy. – Po śmierci Dawida stała się niezabezpieczonym polem minowym negatywnych emocji…

Nie wytrzymałam. Otworzyłam z hukiem drzwi, ukazując mojemu, już niestety jedynemu rodzicowi, swoją pyzatą, zapłakaną twarz. Mama odwróciła gło-

wę w moją stronę, otworzyła usta i załamanym głosem powiedziała do telefonu: – Potem oddzwonię.

Po nieznośnej ciszy znów odezwała się, wyciągając do mnie dłoń, co zupełnie zignorowałam.

– Kaju…

Nie pozwoliłam jej dojść do słowa. Odwróciłam się na pięcie i stanowczo pomaszerowałam do swojego pokoju, by zaraz rzucić się na łóżko i zanurzyć we własnych łzach. Dawno nie płakałam. Długo odpychałam wszelkie uczucia, pragnąc stać się czymś na wzór niewzruszonego, otyłego humanoida, jednak teraz musiałam je wyrzucić z siebie w postaci uwalniającej się z rogówek wody z dodatkiem soli defensyny. Jeszcze bardziej absurdalne było to, że po płaczu poczułam się lepiej. Jednak do końca dnia unikałam kontaktu z mamą. Wyszłam tylko w nocy. Żeby coś zjeść.

Nazajutrz rankiem dalej z niezwykłym powodzeniem unikałam swojej rodzicielki. Zastanawiałam się, co mam ze sobą począć. Miałam lepszy nastrój niż wczoraj, co nie oznaczało, że był dobry. Nie chciałam iść do szkoły, ale zarazem dla uszanowania mojego ego wolałam odpuścić sobie symulowanie choroby i wylegiwanie się w domowym łóżku, by nie narazić się (Broń Boże) na ewentualną rozmowę z mamą.

Tak więc wyszłam z domu i szłam przed siebie w przeciwnym kierunku do przystanku autobusowego, nie patrząc nawet na drogę, którą się kieruję. Zdałam się tylko na mojego autopilota ukrytego w podświadomości. Po kilkunastu minutach marszu przyłapałam się na tym, że mój instynkt orientacyjny zaprowadził mnie w kierunku dróżki leśnej, którą spacerowaliśmy razem z tatą, gdy ten miał wolną chwilę.

W pierwszym momencie stanęłam jak wryta, wpatrując się w lasek rozpościerający się przede mną. Wie-

działam, że jak tam wejdę, napadną mnie wspomnienia naszych wspólnych wieczornych przechadzek. Chyba tego chciałam. Dałam się pochłonąć wspomnieniom. I chyba trwało to długo.

Nie zastanawiałam się, która jest godzina. Siedziałam oparta o drzewo, a czas gdzieś obok mnie przemykał. Potem prawdopodobnie nawet zasnęłam. Na pewno zasnęłam, bo obudziły mnie krople deszczu. Zerwałam się na równe nogi i spojrzałam w niebo, na którym malowała się pierwsza błyskawica, a po niej nastąpił grzmot. Już miałam wracać, ale zaraz po głośnym atmosferycznym zawiadomieniu o nadchodzącej burzy usłyszałam dziwny dźwięk, jakby psie skomlenie. Niepewnie potruchtałam w stronę hałasu. Zobaczyłam coś, co napełniło moje serce żalem, złością i współczuciem. Był tam przerażony czarny szczeniak przywiązany do drzewa. Popatrzył na mnie niesamowicie smutnymi oczyma. Rozbrzmiał kolejny grzmot. Bez namysłu odwiązałam psiaka i wzięłam go na ręce. Uciekałam, jak najszybciej potrafiłam, w stronę domu, nie zważając na kolkę i moją jakże fatalną wtedy kondycję.

Wparowałam całkowicie przemoknięta do naszego małego mieszkania. Nie zdążyłam jeszcze otrzeć mokrej od potu i deszczu twarzy, gdy poczułam otulające mnie ramiona mamy i usłyszałam słowo, na którym zakończyła się nasza ostatnia rozmowa, lecz tym razem jej ton wyrażał ulgę i szczęście.

– Kaju… – jeszcze mocniej mnie przytuliła. Potem przypomniała sobie, że jestem niewdzięczną córką i powinnam zebrać słowny łomot. – Gdzieś ty byłaś, dziecko? Sąsiedzi cię szukają, już miałam wzywać policję. Czy ty wiesz, która jest godzina?

Nie odzywałam się. Tylko na nią patrzyłam. Ale szczerze mówiąc, chyba także się cieszyłam jej wido-

kiem i było mi trochę głupio. Do konwersacji postanowił się wtrącić napotkany w lesie szczeniak, który niepewnie szczeknął, jakby pragnąc zwrócić na siebie uwagę. Udało mu się.

– Co to jest?

– Mamo, czy mogę go zatrzymać? Zawsze chciałam mieć zwierzaka, proszę. Poprawię się…

Mama spoglądała to na zwierzaka, to na mnie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – położyłam rękę na sercu, cały czas podtrzymując mojego (przypuszczalnie) nowego pupila.

– A więc zgoda.

Po najedzeniu się i przebraniu dokładnie umyłam psa, by zobaczyć, czy nie ma żadnych ran. Dopiero wtedy dostrzegłam na jego czarnym brzuchu kontrastowe znamię w kształcie litery N.

– Natan – wyszeptałam. – Nazwę cię Natan.

Następnego sobotniego ranka obudziłam się w całkiem dobrym humorze i z psem na swoich nogach, który zobaczywszy, że już nie śpię, zsunął się z moich łydek i niezdarnie podreptał wzdłuż łóżka, by mnie polizać. Uśmiechnęłam się.

– Kaju! Śniadanie! – pies pobiegł za głosem mojej mamy, a ja razem z nim. Weszłam do kuchni. Wzdrygnęłam się. Na stole nie było makaronu ani kanapki z czekoladą, tylko jakaś zielenina w misce z kromką razowego chleba.

– Obiecałaś poprawę – powiedziała moja rodzicielka. Westchnęłam i zasiadłam do posiłku. W sumie do całkiem dobrego posiłku. Miałam tak jadać codziennie. Po śniadaniu Natan upomniał się o spacer. Nienawidziłam spacerów bez taty. Nienawidziłam ruchu. Znów spojrzałam na mamę.

– No co? To twój pies.

No tak. Nawarzyłam sobie piwa, to teraz muszę je wypić. Przewiązałam obrożę tej czarnej kulki optymizmu z maślanymi oczkami sznurem i zmusiłam się do otworzenia drzwi. Nie miałam szczególnego problemu z rozwiązaniem dylematu, gdzie pójść, bo ja i mój nowy kolega automatycznie i zgodnie wybraliśmy kierunek – las.

Po kilkunastu krokach Natan wyszarpał mi się z poluźnionego sznurka i w mgnieniu oka zniknął pośród drzew.

– Natan, do nogi! – zawołałam odruchowo, myśląc, że to pomoże. Szkoda, że szczeniak myślał inaczej.

Po raz kolejny niezadowolona z przymusu wysiłku fizycznego puściłam się za nim w pogoń, walcząc początkowo ze swoim nieregularnym oddechem. Nie zatrzymywałam się aż do momentu, w którym ujrzałam Natana szczęśliwie i wyzywająco merdającego ogonem, patrzącego przy tym na mnie tak, jakby chciał zapytać: „I co? Masz już dość?". Miałam dość, ale nie miałam mu za złe, że uciekł. Uświadomił mi, że umiem biegać (jeśli oczywiście chcę). A nawet całkiem mi się to spodobało. Potem usatysfakcjonowana terrorem zgotowanym mojej tkance tłuszczowej, próbowałam nauczyć (z powodzeniem) mojego nowego trenera prostych sztuczek typu aport.

I tak mijały nam dni i tygodnie. Chodziłam z większym zapałem do szkoły z powodu motywacji, którą były wyścigi z Natanem. Polubiłam te biegi prawie tak mocno jak spacery z tatą. Zauważyłam, że kiedy biegam, czuję coś, co chyba nazywają szczęściem. I to większym niż to, które miałam w lodówce. Z tygodnia na tydzień treningi wychodziły nam coraz lepiej, mój pies rósł razem z więzią, która nas połączyła, a moja waga malała. Po dwóch miesiącach od pierwszego spo-

tkania z Natanem weszłam na wagę. Liczby w kilku sekundach błyskawicznie się zmieniały, aż zatrzymały się przy cyfrze, której już dawno ten sprzęt do odmierzania kilogramów nie widział. Nie mogłam uwierzyć. Schudłam osiem kilo. Ucieszyłam się. Nie, nie byłam jeszcze wtedy szczęśliwa, ale się ucieszyłam.

Z każdym utraconym kilogramem czułam na sobie dziwne spojrzenia osób z mojego szkolnego otoczenia. Z czasem nawet zaczęli podchodzić do mnie koledzy z klasy. Nie chciałam ich. Natan był przy mnie niezależnie od cyferki na wadze.

Była też Monika – szkolna gwiazdka, którą zabierano na wszystkie możliwe sportowe zawody (prócz szachów oczywiście). Z niejasnych powodów darzyła mnie pogłębiającą się antypatią. Nasłuchałam się od niej wielu niemiłych słów, w okresie kiedy tak bardzo cierpiałam i potrzebowałam ludzkiego ciepła. O ironio, obie zamieszkujemy Pruszków, więc unikanie jej ponadprzeciętnie wysokiego ego było niezwykle trudne. Do tej pory ustępowałam jej z drogi, zachowując się jak biedna, szara myszka – ta myszka, co pod miotłą siedzi.

Pewnego dnia, mniej więcej w połowie maja, rutynowo pobiegliśmy z moim psem naszą ukochaną trasą. Dobiegając do lasu, zobaczyłam smukłą sylwetkę dziewczyny stojącej na środku dróżki. Podbiegłam do niej. Wszystko jasne.

– Hej, Moniko – mruknęłam i próbowałam ją bezpiecznie ominąć, jednak pociągnęła mnie za tył materiałowej koszulki (już wtedy w szczęśliwym rozmiarze S) i spowodowała tym mój upadek. Natan zaczął na nią szczekać.

– Weź ode mnie tego pyskatego kundla! – warknęła.

– O co ci chodzi? – podniosłam się z ziemi.

– Nawet nie myśl, że uda ci się wygrać zawody. Jeszcze niedawno byłaś wielorybem.

– Zawody?

– Myślisz, że co? Że się nie domyśliłam? Nie uda ci się wygrać olimpiady, biegam od kilku lat.

Była wyraźnie zdenerwowana. Szczerze powiedziawszy, to nawet nie miałam zamiaru brać udziału w olimpiadzie. Jednak widząc zarozumiałą minę Moniki, obrałam sobie tego dnia nowy cel.

– Zrobię to, co będę chciała. Nie masz nade mną żadnej kontroli – uniosłam dumnie podbródek. Chwilę jeszcze patrzyłam na zdezorientowaną twarz mojej nowej przeciwniczki, a potem zabrałam się do biegu. Zostały mi dwa miesiące do igrzysk. Zwiększyłam intensywność treningów.

Tym sposobem mijały kolejne dni i kolejne tygodnie. Pracowałam nad swoją kondycją i patrzyłam, jak mój wierny szczeniak zamieniał się w prawdziwego psa. Dałam sobie radę z testami gimnazjalnymi. Ba, nawet byłam lepsza od Moniki. Pewnego letniego wieczoru, gdy na trawniku razem z Natanem oglądaliśmy gwiazdy, pomyślałam sobie, że jest aniołem stróżem, którego zesłał mi tata. Pomyślałam sobie także, że go kocham. Tak, szczerze go kocham. Często słyszałam, jak dziewczyny mówiły sobie fałszywie „kocham cię po przyjacielsku". Śmiałam się z nich. W sumie to nadal się śmieję, bo nie doświadczyły takiej szczerej miłości, jaką ja dostrzegałam, patrząc w te brązowe pocieszne oczy.

W końcu nadszedł kulminacyjny dzień igrzysk olimpijskich dla młodzieży w Warszawie. Moja mama uważała mój udział w nich za absurdalny. Nie dziwiło mnie to, biorąc pod uwagę moje nie tak dawne zachowanie. A ja wiedziałam, że muszę spróbować. Muszę to wygrać dla taty i dla… chyba siebie samej.

Ustawiłyśmy się z przeciwniczkami na starcie.

– Do biegu! – usłyszałam rozbrzmiewający głos organizatora turnieju. – Gotowi! – przyjęłam pozycję. – Start!

Już nie było odwrotu. Ruszyłam średnim tempem w przeciwieństwie do Moniki, która od razu pobiegła sprintem. Trasa miała 10 kilometrów, nie chciałam na samym początku nadwerężać mięśni. Nogi mnie lekko niosły, nie czułam szczególnej adrenaliny, na którą się przygotowywałam. Jeszcze nie w tamtym momencie. Byłam zadowolona, że w ogóle biegnę. Że udało mi się schudnąć. Że wyrwałam się ze stanu wegetacji i zaczęłam żyć. Tysiące ludzi patrzyło się na nas zza barierek oddzielających trasę od reszty Warszawy. Przebiegłam już 7 kilometrów. Przyśpieszyłam tempo, tak by dogonić Monikę. Spotkałyśmy się na 9 kilometrze. Zmierzyła mnie lodowatym wzrokiem. Uśmiechnęłam się. 500 metrów do końca trasy. Prowadziłyśmy. Łeb w łeb biegłyśmy, starając się nawzajem bezskutecznie prześcignąć. Nagle Monika się do mnie zbliżyła i nadepnęła mi na sznurówkę, która się rozwiązała. Nie miałam czasu na zatrzymanie się. Stawiałam szerzej kroki, modląc się, by się nie przewrócić. Prześcignęła mnie o jakieś 50 metrów. Dokładnie taka sama odległość dzieliła ją do mety. Mnie dwa razy większa. „Nie dam rady" – pomyślałam. I wtem zobaczyłam coś, co dodało mi skrzydeł. Wśród kilkutysięcznego tłumu nieznajomych zza barierek dostrzegłam przy samym końcu włochatą czarną główkę.

– Natan! – krzyknęłam i patrząc się cały czas na skaczącego psa, przekroczyłam granice swoich możliwości. Przysięgam, że nie wiem, jak to się stało, ale znalazłam się znów na równi z Moniką. Jeszcze 10 metrów. Dam radę. Słyszałam swojego przyjaciela. Prze-

ścignęłam Monikę. Dwa metry do mety. Potknęłam się. Czarne plamy migały mi przed oczyma. Dzieliło mnie kilka centymetrów. Niezdarnie przeturlałam się na drugi bok. W tej chwili usłyszałam głośne okrzyki i oklaski.

Nie potrafiłam się podnieść. Poczułam wilgotny język Natana na moim policzku. Zaczęły mi cieknąć łzy z przemęczenia, bólu kostki i dumy. I w tamtej chwili byłam pewna. Tak. To jest szczęście.

Julia Barska

Cel

Rodzę się w jej głowie, kiedy jest zaledwie w przedszkolu. Siedzi na kanapie i ogląda telewizję. W odróżnieniu od innych dzieci nie ciekawią jej bajki, lecz programy sportowe. Właśnie włączona jest powtórka z Igrzysk Olimpijskich, a konkretniej biegi na 400 m kobiet. Ruszają zaraz po wystrzale. Jedna z nich jest na samym końcu, nikt nie spodziewa się, że pod sam koniec zdoła przebudzić swoją wolę walki, wraz z determinacją, i wyprzedzić inne zawodniczki. Dziewczynka z fascynacją patrzy, jak kobieta zyskuje pierwsze miejsce w tej kategorii. Wtedy pojawiam się ja – Cel. Mam na imię Zwycięstwo W Biegach Na Igrzyskach Olimpijskich.

Nigdy nie jestem sam. Od początku mojego istnienia są ze mną inni: Marzenia, Postanowienia, Myśli. Co jakiś czas jedno z nich odchodzi, by zostać zastąpione przez inne. Czasami pojawiają się Negatywni. Nazywam tak tych, którzy mogą nam zagrozić. Nie są na tyle silni aż do pewnego dnia, gdy zaczyna dziać się coś niepokojącego.

W głowie dziewczynki powstaje najsilniejszy Negatywny, z jakim do tej pory miałem styczność. Jest to Strach o imieniu Strata Przyjaciółki. Nawiązuję kon-

takt z Myślami, a one opowiadają mi przyczynę narodzin tego Strachu.

Gdy dziewczynka trafia do liceum, poznaje swoją rywalkę, Amelię. Obie dziewczyny są bardzo dobre w bieganiu, dlatego walczą o pierwsze miejsce we wszystkich biegach organizowanych na terenie ich szkoły. Przez ich ciągłą chęć rywalizacji na początku nie darzą się pozytywnymi emocjami. Jednak z czasem, gdy mija pierwszy, potem drugi rok liceum, ich walki są już codziennością. Można by powiedzieć, że nawiązała się między nimi więź, której żadna nie chce zerwać. Wtedy w dziewczynce powstaje Myśl: „Co, jeśli wygram wyścigi, a Amelia przestanie mnie lubić?". Amelia bowiem nienawidzi przegrywać. Za każdym razem jest zła, że nie zwycięża, i obraża się. Co będzie, gdy dziewczynka pokona ją na oficjalnych zawodach? Nic dziwnego, że Myśl wkrótce przeradza się w Strach.

Strach ten zagraża nam wszystkim. Momentami rośnie tak bardzo, że przysłania mnie i moich towarzyszy. Nigdy jednak nie udaje mu się całkowicie nas zasłonić. Cały czas z nim walczę, ponieważ gdyby mnie zakrył, zniknąłbym, a dziewczynka musiałaby żyć bez Celu.

Nie mogę na to pozwolić.

Niestety jestem zbyt słaby, by pokonać Strach całkowicie. Dziewczynka musi mi pomóc. Problem w tym, iż ona z nim nie walczy. Czasem próbuje mnie wzmocnić, ale kończy się to tylko chwilowym zagłuszeniem Strachu. Koniec końców Negatywny zdobywa przewagę, więc często przytłacza mnie tak bardzo, że prawie znikam. Mimo wszystko nie poddaję się. Nie opuszczę dziewczynki.

Z tą myślą walczę dalej.

Jednak prawdziwe starcie dopiero mnie czeka. Igrzyska są coraz bliżej. Przez kilka najbliższych miesięcy

próbuję zachęcić dziewczynkę do podejmowania walki ze Strachem. Najlepiej by było, żeby pokonała go przed igrzyskami. Podsuwam jej więc propozycje ćwiczeń do zawodów, obejrzenia jej ulubionej części igrzysk, które ma nagrane na laptopie. Nie zawsze to działa. Nieraz wywołuje nawet efekt odwrotny do zamierzonego.

Pewnego dnia dziewczynka zostaje w domu z powodu choroby. Łączę się wtedy z Myślami, żeby zachęcić ją do obejrzenia jej ulubionego biegu. Dziewczynka ulega namowom swoich Myśli i włącza ten fragment. Ogląda go w całości, razem z momentem, gdy uradowana zwyciężczyni wpada w ramiona swoich przyjaciół.

Wtedy pojawia się Negatywny – Smutek, a dziewczynka zaczyna płakać. Pierwszy raz jestem w takiej sytuacji. Odłączam się od Myśli, by rozpocząć kolejną walkę o przetrwanie z Negatywnymi. To moja ostatnia próba nakłonienia dziewczynki do pokonania Strachu. Nie chcę więcej doprowadzać jej do płaczu.

Czas do igrzysk minął bardzo szybko. W tym momencie dziewczynka stoi na bieżni i przygotowuje się do startu. Minęło tyle czasu, a Strach wciąż tutaj jest. Więc teraz mamy ostatnią szansę. Ten wyścig rozstrzygnie wszystko.

Dźwięk wystrzału odbija się echem w głowie dziewczynki i od razu go rozpoznaję. Ruszyły. W tym samym momencie Strach rzuca się na mnie z zatrważającą mocą. Jest silny jak nigdy. Ten potężny atak z zaskoczenia prawie całkowicie pozbawia mnie istnienia. Ja jednak nie mam zamiaru się poddać, więc zaraz przeprowadzam kontratak. Strach chwilowo ulega, ale od razu zaczyna napierać. Przez kilka sekund trwa wyrównana walka. Do momentu, gdy Negatywny nagle robi się silniejszy. Ze wszystkich sił próbuję go wyprzeć, ale nie mam szans. Dlatego wołam o pomoc.

Krzyczę ze wszystkich sił, wzywając do starcia resztę Marzeń, Postanowień i Myśli.

Nikt nie przybywa.

Nie dam rady wygrać, zniknę, przepadnę na zawsze. To koniec.

Strach, pochłaniając mnie kawałek po kawałeczku, rośnie w siłę. Jestem na granicy unicestwienia.

Wtedy przybywa ratunek. Wszyscy moi towarzysze łączą się ze mną. Razem stawiamy czoło Strachowi. W momencie gdy jestem połączony z Myślami, wiem, co robi dziewczynka. Właśnie wyprzedza swoją przyjaciółkę. Ich walka jest prawie tak samo wyrównana jak nasza. Nagle przez okrzyki tłumu przedzierają się czyjeś głosy:

– Dasz radę, Sandra!

– Wierzymy w ciebie!

– Nie daj się!

Nagle do walki przeciwko Strachowi staje jeszcze jedno Uczucie. Jest bardzo ciepłe i przyjemne. Daje nam ogromną przewagę nad naszym przeciwnikiem.

Wspólnymi siłami pokonujemy Strach. Znika raz na zawsze.

Kiedy powracamy do swoich osobnych form, umysł dziewczynki jest przepełniony radością, która rozjaśnia wszystko wokół. Wtedy wiem już, czym jest to Uczucie, dzięki któremu wygraliśmy.

To Miłość. Ma na imię Rodzina.

Przybyła, by zająć moje miejsce. Znikam. Nic mnie nie atakuje, po prostu rozpływam się w nicość. Dziewczynka wygrała. Dlatego odchodzę. Nic mnie już tutaj nie trzyma.

Nie martwi mnie los dziewczynki, ponieważ Miłość od teraz będzie jej pilnować.

Niech dobrze się nią zaopiekuje.

Iga Górecka

Trudne początki – z dziennika najszybszej kobiety w kraju

Szkoła / Dom. Środa, 29 marca 2017 r.

Dwie minuty, tik-tak, tik-tak. Patrzę na zegar wiszący w rogu klasy. Tik-tak, tik-tak. Czyżby chodził w zwolnionym tempie? Jedna minuta, tik-tak, wskazówki coraz bardziej zbliżają się do wskazania błogiej godziny. Tik-tak, tik-tak. W tle słychać nauczyciela mówiącego znów o tym samym. Nie rozumiem, co mówi. Tik-tak, wreszcie koniec męczarni! Piękny dźwięk rozchodzi się po klasie, zwiastując wolność dla obywateli małego kraju, w którym panuje dyktatura. Zanim jeszcze nauczyciel, nasz dyktator, zdąży nam zadać pracę domową, zrywam się z miejsca i wybiegam z klasy, ignorując jego nawoływania, bym natychmiast wróciła, bo jeszcze nie skończył lekcji. Wybiegam ze szkoły, nie zmieniając nawet butów. Przyspieszam i kieruję się w stronę domu, zanim inni mali obywatele również zdążą uciec z naszego małego państwa, otaczając mnie rozmowami.

Szczerze mówiąc, boli mnie, kiedy widzę swoich rówieśników rozmawiających ze sobą i śmiejących się z niemal wszystkiego, co zostało wypowiedzia-

ne na głos. Zazdrość pochłania wtedy całą moją duszę, a wcale mi się to nie podoba. Jednak najbardziej przeszkadzają mi uwagi rzucane w moją stroną, kiedy przechodzę obok. W małym kraju każdy o każdym wie wszystko, więc nietrudno im rzucić we mnie jakimś suchym faktem na temat mojego beznadziejnego życia i drwić z biedoty w nim panującej, która trzyma się uparcie zarówno jego materialnej części, jak i duchowej.

Docieram w końcu do domu i otwieram drzwi. Moim oczom ukazuje się skromny przedpokój, stojąca w nim jedna półka na buty (pusta) i wieszak, na którym wisi kurtka mojej mamy. Ja również zawieszam na nim swoją, a buty i czapkę kładę na półce. Wchodzę boso do salonu, gdyż ja i mama nie miałyśmy jeszcze okazji kupić jakichś ciepłych kapci. Większość naszych pieniędzy idzie na leczenie mamy, więc ledwo starcza nam na płacenie rachunków, a nawet na jedzenie. Mama nie pracuje. Choroba jej na to nie pozwala, ja zaś jestem jeszcze na to zbyt młoda, chociaż, kiedy są wakacje, udaje mi się zatrudnić do pracy w polu. W roku szkolnym jest to jednak niemożliwe. Co miesiąc dostajemy trochę pieniędzy od wujka, więc udaje nam się jakoś wyżyć, ale mimo wszystko żyje nam się ciężko. – Irmina? – z kuchni dobiega mnie głos mamy. – Wróciłaś już? Jak tam w szkole?

– Tak jak zawsze, mamo – odpowiadam. – Ciężko jest się skupić na lekcjach, kiedy cały czas martwię się, że coś ci się może stać podczas mojej nieobecności. Zresztą i tak mam zbyt dużo zaległości, aby rozumieć cokolwiek, co mówią do mnie nauczyciele. Powinnam być tu z tobą i się tobą opiekować.

– Nie! – zaprzecza stanowczo mama. – Nie wybaczę sobie, jeśli zmarnujesz przeze mnie swoją jedyną

szansę na normalne życie. Powinnaś zacząć chodzić na jakieś korepetycje. Właściwie pomyślałam sobie, że mogłabyś się również zapisać na jakieś zajęcia dodatkowe. Skoro nie idzie ci nauka, to może zapiszesz się na jakieś artystyczne albo sportowe?

– Nie ma mowy! – zaprzeczam, chyba trochę za głośno. – I tak już większość dnia nie ma mnie w domu, nie mogę pozwolić, byś siedziała przez cały czas sama, kiedy ja będę się „świetnie" bawić – ostatnie słowa wypowiadam sarkastycznym tonem.

– Obawiałam się, że to powiesz – mówi smutno mama. – Dlatego już zadzwoniłam do szkoły, żeby przypilnowali, byś się na jakieś zapisała. Wyraziłam również zgodę na korepetycje z matematyki oraz języków. Jeśli nie będziesz na nie chodzić, będzie to traktowane jako wagary.

Patrzę na nią wstrząśnięta. Zazwyczaj łagodna twarz mamy przybiera teraz poważny wyraz. Jej kruczoczarne włosy i ciemne oczy sprawiają, że wydaje się niezwykle stanowcza i wiem, że cokolwiek teraz powiem, nie zmieni to jej zdania, więc nawet nie próbuję się z nią spierać. Nie chcę jej denerwować.

– Jestem trochę zmęczona – dodaje mama. – Proszę, zostaw mnie teraz samą. Myślę, że powinnaś odrobić lekcje i przygotować się na jutrzejszy dzień. Dobranoc.

Odwraca się do mnie plecami i wraca do swojego pokoju. Idę w jej ślady i, kiedy tylko zostaję sama, rzucam się na swoje łóżko i pogrążam w myślach.

Szkoła. Czwartek, 30 marca 2017 r.

Po ostatniej lekcji, tak jak mi wskazano, idę na korepetycje z matematyki. Nic ciekawego. Nawet jeśli pani tłumaczy mi wszystko od początku, mój umysł jest

zmęczony i niezdolny do przyswajania jakichkolwiek informacji. Kiedy po zajęciach zamierzam już wyjść z małego państwa, słyszę, że ktoś woła moje imię. Odwracam się i widzę biegnącą w moją stronę dziewczynę. Jest ubrana w granatową spódnicę i białą koszulę, na której widnieje krawat. Wygląda bardzo elegancko. Podbiega w końcu do mnie.

– Cześć. Jesteś Irmina, prawda? – pyta, a ja niepewnie kiwam głową. – Jestem przewodniczącą szkoły. Aleksandra – przedstawia się i podaję mi rękę. Piękne imię, myślę. Aleksandra oznacza broniąca słabszych. Pasuje do niej, skoro jest przewodniczącą.

– Zostałam powiadomiona, że twoja mama poleciła, by zapisać cię na jakieś zajęcia dodatkowe – widzi, jak moja twarz pochmurnieje, więc szybko dodaje. – Wiem, że sytuacja w twoim domu jest ciężka. Słyszałam, że twoja mama choruje na nowotwór krwi. Nie jest ci łatwo, ale zaufaj mi. Będzie lepiej. To znaczy, nie mogę ci obiecać tego, że stan zdrowia twojej mamy się polepszy, ale kiedy zaczniesz w końcu się czymś interesować i znajdziesz jakiś cel, do którego będziesz dążyć, twoje samopoczucie znacznie się poprawi. – Tak jak mówiłam, obywatelka kraju wie o mnie naprawdę dużo. – No i tak sobie pomyślałam – kontynuuje – że najlepiej będzie cię zapisać do klubu biegaczy. Po pierwsze brakuje im członków, a po drugie, trudno nie zauważyć, że jesteś trochę ospała i ciężko ci się na czymś skupić. Sport jest na to doskonałym lekarstwem! – uśmiecha się do mnie.

– Skąd wiesz, że mam problemy ze skupieniem? – pytam się. – No… nie wiem, czy wiesz, ale od roku chodzimy do tej samej klasy – odpowiada, a widząc moją minę wybucha śmiechem.

– Tak czy inaczej, zajęcia są dwa razy w tygodniu – mówi dalej. – Ja również na nie uczęszczam, więc nie

musisz się przejmować, że nie będziesz nikogo znać – znów się uśmiecha. Co z nią jest nie tak, zastanawiam się. – Aj! – wykrzykuje nagle – muszę się już z tobą pożegnać, bo spóźnię się na zebranie samorządu! Miło było cię poznać, do jutra! – krzyczy do mnie, biegnąc z powrotem korytarzem. Dziwna dziewczyna, myślę. Ach, a więc to już jutro. No cóż, chyba jednak będę musiała się tam wybrać.

Stadion szkolny. Piątek, 31 marca 2017 r.

Po ostatniej lekcji biegnę przez korytarze małego kraju i przeciskam się między denerwującymi się na mnie obywatelami. Przebrana w strój sportowy wbiegam na boisko szkolne, gdzie czeka już na mnie grupka pięciu dziewczyn. Jakim cudem były w stanie dotrzeć na miejsce tak szybko? W tłumie zauważam Aleksandrę, która z uśmiechem na ustach macha do mnie na powitanie. Czuję się dziwnie. Chyba żadna z rówieśniczek nigdy się jeszcze ze mną nie przywitała, przynajmniej nie z własnej woli. Wtem słyszę gwizd z lewej strony. Wydaje go z siebie szczupła dziewczyna o długich blond włosach związanych w kitkę.

– Zbiórka – mówi, kiedy wszyscy już ucichli. – Jest dzisiaj z nami nowy członek klubu – mówiąc to, patrzy na mnie. – Chodź tu do mnie! – mówi takim głosem, że aż mam ciarki. Ostatecznie staję obok niej, a ona kontynuuje. – To Irmina. Powiadomiono mnie, że jest tutaj z nami z przymusu. Jeszcze tego nie wie, ale jest wielką miłośniczką biegania, a my postaramy się ją w tym uświadomić. – Dziewczyny kiwają głowami na zgodę. – A teraz dziewczęta, poznajcie się. Macie na to pięć minut. Potem zaczynamy ćwiczenia.

Wszystkie dziewczyny ruszają w moją stronę, a ja jestem tak przerażona, że mam ochotę zacząć uciekać.

Zanim jednak się na to decyduję, obywatelki już mnie otoczyły. Oprócz Aleksandry i przerażającej kapitanki są jeszcze trzy dziewczyny. Jedna ma krótkie blond włosy w ciemne pasemka, jest pomalowana i przedstawia mi się jako Ada. Druga ma kruczoczarne włosy i piwne oczy, jak ja i moja mama, ale ze zdziwieniem stwierdzam, że wcale nie jest wysportowana, jest wręcz otyła. Ma miły uśmiech i nazywa się Julia. Trzecia dziewczyna jest niska i ma długie, sięgające do pasa, blond włosy. Zauważam, że jest niezwykle nieśmiała, ale i tak podaje mi swoje imię. To Adela. Na koniec pytam jeszcze, jak się nazywa przerażająca kapitanka, na co wszystkie reagują śmiechem tłumacząc, że kiedy się ją już bliżej pozna, wcale nie jest taka straszna. Tak czy inaczej dowiaduję się, że ma na imię Helena. Dziewczyny są również na tyle miłe, aby wytłumaczyć, jak wyglądają zajęcia. Na początku kapitanka ma mnie przetestować, to znaczy sprawdzić moją kondycję i ustalić mój program treningów. Jestem niezwykle zdziwiona, że każdej z nas Helena poświęca tak dużo czasu. Następnie co zajęcia będziemy ten program realizować i z każdym tygodniem zwiększać intensywność treningów. Ku mojemu przerażeniu dowiaduję się, że za dwa miesiące na naszym boisku organizowane są eliminacje do olimpiady sportowej, w których biorą udział uczniowie wszystkich szkół z naszego regionu. Mamy się do niej przygotować jak najlepiej. Naszą rozmowę znów przerywa dźwięk gwizdka.

– Rozgrzewka! – Helena wydaje polecenie i wszystkie zaczynamy się rozgrzewać poprzez bieganie oraz rozciąganie się.

– Irmina – zwraca się do mnie. – Chodź, musimy cię przetestować. Najpierw przebiegniesz jeden raz wokół stadionu najszybciej jak potrafisz – tłuma-

czy mi. – Zmierzę twój czas i zanotuję go. Następnie dam ci kilka minut odpoczynku i będziesz biegać do końca zajęć w swoim tempie. Masz zrobić jak najwięcej okrążeń. Później również je zliczę. Na podstawie tych dwóch informacji przygotuję twój grafik treningów. Za półtora miesiąca zrobimy ci kolejne testy, aby ustalić, jak duży nastąpił progres. Kiedy będę miała już wszystkie wyniki, na ich podstawie ustalę, w jakiej kolejności będziemy biegać na zawodach. Kiwam powoli głową trochę przytłoczona tymi informacjami. Przerażająca obywatelka każe mi się ustawić na linii. Startuję. Biegnę, ile sił w nogach. Na początku idzie mi chyba całkiem znośnie, ale po chwili zaczynam się coraz bardziej męczyć. Biegnę dalej, chociaż pod koniec moja prędkość zmniejsza się o połowę. Kaszląc i ciężko oddychając, przebiegam przez linię, z której startowałam. Jestem tak zmęczona, że padam na trawę i próbuję złapać oddech. Nagle słyszę gwizd i widzę biegnącą w moją stronę kapitankę.

– Nie jest tak źle, jak się spodziewałam, ale dobrze też nie jest – mówi. – Wstawaj. Nie możesz siedzieć ani leżeć. Idź się przejść, aby twój oddech mógł spokojnie wrócić do normy – odbiega.

Robię, co każe. Po chwili „odpoczynku" zaczynam biegać okrążenia. Jest to dla mnie trochę łatwiejsze, gdyż nie muszę się śpieszyć. Mimo to pod koniec zajęć ledwo stoję na nogach. Helena w pośpiechu powiadamia mnie, że przebiegłam osiem okrążeń. Mówi, że to naprawdę dobry wynik jak na początkującą. Nie za bardzo mnie to obchodzi. Jestem tu w końcu tylko dlatego, że mama mi tak kazała. Nie rozumiem, dlaczego chciała, abym chodziła na te zajęcia. W końcu dzięki temu, że zacznę uprawiać jakiś sport, moje życie nie stanie się nagle łatwiejsze. Moje myśli przerywa nic

innego jak dźwięk gwizdka i wszystkie dziewczyny ruszają do szatni. Wlokę się znudzona za nimi.

Klasa / Stadion szkolny. Poniedziałek, 29 maja 2017 r.

W tym tygodniu wyjątkowo mamy więcej treningów. To dlatego, że już jutro są zawody i musimy trenować jeszcze ciężej. Siedzę z Adelą w pierwszej ławce i obie nie możemy się doczekać dzisiejszego treningu.

– Irmino – dochodzi mnie głos nauczyciela. – Może oświecisz swoją klasę i powiesz, w którym roku Kongres kontynentalny uchwalił Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki?

– W 1776 roku oczywiście – odpowiadam bez zająknięcia, a nauczyciel zadowolony wraca krytykować resztę klasy za to, że nikt nie znał tak ważnej daty.

Odkąd chodzę na zajęcia sportowe, moje oceny znacznie się polepszyły. Mój umysł podczas nauki wydaje się czysty, a pochłanianie wiedzy nie tylko idzie mi z łatwością, ale i sprawia przyjemność. Wtem rozlega się dzwonek, który zwiastuje dla obywateli małego kraju koniec lekcji, a dla mnie oznacza początek zajęć sportowych. Nauczyciel dyktuje nam pracę domową, którą starannie zapisuję w swoim zeszycie. Razem z Adelą wychodzimy z klasy i biegniemy na stadion. Wszystkie dziewczyny, oprócz Aleksandry, która jest na zebraniu przewodniczących klas, przybiegają równocześnie na miejsce zbiórki. Helena już na nas czeka.

– Słuchajcie! – mówi do nas. – Jak pewnie zdążyłyście już zauważyć, jutro są zawody. Musimy dać z siebie sto procent, aby zdobyć miejsce na podium. Wtedy i tylko wtedy uda nam się przejść do kolejnego etapu. Ustaliłam już kolejność, w jakiej będziecie biegły. Pierwsza pobiegnie Adela, druga Julia, trzecia Irmina, a ostatnia pobiegnie Ada. Ja nie będę biec w tych

zawodach, tak samo jak Aleksandra, ale obie jesteśmy gotowe zastąpić którąkolwiek z was, jakby coś się stało. No a teraz rozgrzewka i ćwiczymy do ostatniego tchu!

Zawody. Wtorek, 30 maja 2017 r.

Na stadionie jest wyjątkowo głośno. Reprezentacje wszystkich szkół z regionu zebrały się dziś, aby kibicować swoim przedstawicielom w sztafecie. Razem z dziewczynami czekamy, aż sędzia da nam znać, że mamy się ustawić się na miejscach. Wszystkie jesteśmy niesamowicie zdenerwowane. Rozglądam się niepewnie. Obywatele innych małych państw niesamowicie mnie stresują. Szczególnie ich przedstawicielki, które wyglądają na niesamowicie wysportowane. Każda szkoła ma inny kolor strojów. My mamy błękitne. Najbardziej przerażają mnie dziewczyny w zielonych strojach. Z zamyślenia jak zwykle wyrywa mnie gwizdek, ale tym razem gwiżdże sędzia. Jest to znak, że mamy się ustawić na miejscach. Stajemy na różnych odcinkach bieżni na szkolnym stadionie w kolejności, jaką podała nam wcześniej kapitanka. Obok ustawiają się dziewczyny z innych szkół. Rozlega się gwizdek. Z miejsca, w którym się znajduję, widzę, jak startuje Adela. Kiedy podaje pałeczkę Julii, ta wyciąga rękę tak, jak nas uczyła Helena, żeby być gotową do przejęcia pałeczki. Julia podbiega do mnie sapiąc. Ma lepszą kondycję ode mnie. W przeciągu tych dwóch miesięcy schudła o połowę i stała się bardzo energiczna. Wyciągam pałeczkę z jej ręki i biegnę dalej najszybciej jak potrafię. Nie zwracam uwagi na dziewczyny z innych szkół, ale zauważam, że zielone są przede mną. Biegnąc, czuję się świetnie, wiatr szarpie moje włosy. W końcu docieram do Ady i podaję jej pałeczkę, którą szybko wyrywa z mojej dłoni. Ada jest z nas wszystkich najszybsza,

dlatego biegnie ostatnia. Czuję ogromne zmęczenie i równie wielkie szczęście. Obok zauważam kwitnącą wiśnię i przyglądam się jej delikatnym różowym kwiatom. Czy tu zawsze było tak pięknie? Zastanawiam się, rozglądając po kwiecistym stadionie. Nagle podbiega do mnie mój wychowawca. Mówi, że moja mama zasłabła i jest teraz w szpitalu. Kiedy zrywam się z miejsca, szybko dodaje, że usprawiedliwi moją nieobecność podczas ogłaszania wyników. W tym momencie nie za bardzo mnie to obchodzi. Ignorując zmęczenie, biegnę co tchu w stronę szpitala.

Siedzę przy łóżku szpitalnym mamy. Kiedy się budzi i mnie widzi, uśmiecha się. Zaczyna mi tłumaczyć, że nic jej nie jest i że powinnam być teraz na zawodach. Uciszam ją i zmieniamy temat. Ustalamy, że podczas jej nieobecności w domu będę mieszkać z Aleksandrą i jej wujkiem Mironem, którego zdążyłam już poznać. Kiedy zasypia, wychodzę z sali, aby się czegoś napić. Ze zdziwieniem zauważam, że w holu czekają na mnie przyjaciółki. Uśmiecham się do nich, aby dać im znać, że wszystko w porządku. Oddychają z ulgą i podchodzą do mnie. Zauważam na ich szyjach srebrne medale i szeroko otwieram oczy. Śmieją się i zakładają mi mój medal na szyję. Nagle odczuwam niezwykłe szczęście i dumę z siebie. Uświadamiam sobie, że się myliłam. Sport zmienił całe moje życie. Pierwszy raz w życiu czuję się taka silna. Patrzę na medal, ale to nie on jest przyczyną największego szczęścia. Odwracam się do przyjaciółek i uśmiecham się.

– Na co czekacie? – pytam. – Musimy iść ćwiczyć do kolejnego etapu zawodów!

Śmieją się, a ja razem z nimi, ponieważ zyskałam najcenniejszą rzecz na świecie, coś, czego do dziś mi brakowało. Nadzieję na lepsze jutro.

Kacper Graczyk

By nie odeszli w niepamięć

Michał wrócił ze szkoły rozkojarzony. Pani Maria z niepokojem patrzyła na syna. Pomyślała, że może znowu ktoś mu wyrządził krzywdę.

– W szkole wszystko w porządku? – spytała niepewnie.

– Mamo, przecież wiesz – odparł ze zniecierpliwieniem – nikt mi już dawno nie dokucza, nie wyśmiewa, wręcz przeciwnie, koledzy mi pomagają. Nie o to chodzi. Dzisiaj na języku polskim toczyliśmy gorącą dyskusję na temat ostatnich Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pjongczangu. Chłopaki z klasy wkurzyli mnie. Dla nich liczy się tylko zwycięstwo lub miejsce na podium. Krytykowali wielu naszych zawodników, wydziwiali, marudzili. Słuchając ich, nie wytrzymałem. Stwierdziłem, że żadni z nich kibice. Cieszą się zwycięstwami, krytykują porażki, nie widzą walki. Nie rozumieją, że najważniejsze jest zwycięstwo nad sobą, swoimi słabościami, lękiem przed kolejną porażką…

Pani Maria wiedziała, że Michał mówi też i o sobie. Urodził się z karłowatością diastroficzną… Przeszedł wiele operacji, przeżył wiele bólu, lecz efekty były niewielkie. Tylko ona widziała, jak wiele wysiłku kosztowała go rehabilitacja, jak się cieszył, że może, choć na

palcach stóp, chodzić. Mimo wszystko nie poddawał się, choć nie jest i nigdy nie będzie samodzielny. Sam nie może nawet otworzyć drzwi… Robią to za niego koledzy, noszą jego plecak, pomagają mu się ubrać. Michał nie chciał jednak mieć lekcji w domu. Uparł się, że będzie „chodzić" do szkoły. Uwielbia sport. Był i jest wiernym kibicem swych kolegów. Nawet w niepogodę obserwuje wszystkie ich mecze i rozgrywki, siedząc na swym wózku.

– Mój Boże – pomyślała przygnębiona – taki piękny umysł zamknięty w drobnym, zniekształconym ciałku. Nagle z zamyślenia wyrwał ją zniecierpliwiony głos syna…

– Mamo, słuchasz? Wychowawczyni w trakcie naszej dyskusji stwierdziła, że każdy z nas może przedstawić po jednej postaci wielkiego polskiego olimpijczyka. Teraz myślę… A cóż to znaczy wielki? Na czym polega wielkość? Muszę zacząć pisać. Jest tylu zasłużonych sportowców, mistrzów, bohaterów, ale ja chcę przedstawić… postać mniej znaną kolegom. Nie wiem tylko, jak to zrobić, by zrozumieli mój wybór. Zaraz po obiedzie biorę się do pracy.

Trzy godziny później pani Maria zajrzała do pokoju syna. Na biurku leżało wiele zapisanych, lecz skreślonych kartek, ale Michał się uśmiechał. Czytał swoje zapiski z zadowoleniem.

– Mamo! – krzyknął z entuzjazmem. – Myślę, że udało mi się ująć swe myśli i jutro mogę przedstawić swego bohatera.

Następnego dnia Michał nie mógł się doczekać polskiego. Gdy zaczęła się lekcja, uważnie słuchał propozycji kolegów. Tak jak się spodziewał, przedstawiali krótkie wiadomości o wielkich mistrzach polskiego sportu, eksponując ich osiągnięcia, medale, rekordy…

– Zapomnieli w tym wszystkim wspomnieć o samych sportowcach, ich zmaganiach – pomyślał zawiedziony.

Kiedy przyszła kolej na niego, spojrzał na polonistkę, później na kolegów, po czym stwierdził:

– Ja chciałbym przedstawić swego olimpijczyka trochę inaczej. Przygotowałem opowiadanie o nim. Mam nadzieję, że w ten sposób przybliżę wam jego postać – po czym pewnym głosem zaczął czytać.

* * *

Przez okna baraku przebijało słońce. Wstawał piękny czerwcowy dzień. Bronek ciężko oddychał. Walczył o każdy łyk powietrza, chociaż miał świadomość, że tym razem walkę swą przegra. Wiedział, iż śmierć zbliża się nieubłaganie. W oddali słychać było kolegów przebywających tak jak on w baraku szpitalnym w Auschwitz:

– Jezu, to nie może tak być. Zbliża się dzień, w którym będziemy wolni, a Bronek…

– Gdyby chciał skorzystać z szansy na życie, nie znalazłby się tutaj.

– Chłopaki, co wy mówicie? Przecież on nigdy nie dał się złamać. Gdyby to zrobił, nie byłby tym, kim jest, i nie byłby tu, gdzie jest.

– No właśnie, ale chciałbym, żeby nasz wirtuoz nart mógł cieszyć się z nami nadchodzącą wolnością, a nie… Przecież tyle już przetrwał. On, człowiek gór, śmigający przez śnieg i wiatr, wylatujący niczym ptak z Krokwi w Zakopanem, tyle lat zamknięty, otoczony drutami…

Bronek próbował strząsnąć płynącą po policzku łzę… Oczyma wyobraźni przeniósł się do swych ukochanych Tatr. Całe jego życie związanie było przecież

z górami. Od dziecka jeździł na nartach. Biegom, skokom, zjazdom poświęcał się całym sobą. W konkurencjach narciarskich zdobył 24 tytuły mistrza Polski. W zawodach międzynarodowych… mógłby ktoś powiedzieć, że miał pecha. Bronek jednak tak nie uważał. We wszystkie swe starty wkładał przecież serce i walkę. Reprezentował swój kraj, a to już wielka nagroda. Pamiętał, jak cieszył się ze zwycięstwa w otwartym biegu zjazdowym na Hali Gąsienicowej w 1929 r. Zdobył wtedy tytuł, choć nieoficjalny, mistrza świata. Bił też rekordy długości skoków…W 1931 r. wraz ze Staszkiem Marusarzem wziął udział w konkursie we włoskim Ponte di Legno na skoczni Tramplino Littorio. Zajął w nim drugie miejsce. Już po jego zakończeniu organizatorzy zaproponowali najlepszym zawodnikom próbę bicia rekordu świata. Ponieważ skocznia była źle przygotowana, zgłosili się tylko on i Staszek. Bronek nie bał się miękkiego zeskoku i zaryzykował. Uzyskał 79,5 m, choć zaliczył upadek. Później potłuczony, lecz szczęśliwy trzymał w ręku puchar z napisem „recordo mondiale"…

– Miałem też szczęście – pomyślał – brać udział w trzech igrzyskach olimpijskich… w Sankt Moritz, Lake Placid, Garmisch-Partenkirchen. W moich dyscyplinach – w kombinacji norweskiej, skokach, biegu na 18 km, w kombinacji alpejskiej walczyłem z różnym powodzeniem, ale przecież próbowałem dać z siebie wszystko. Nikt i nic nie było ważniejsze od przygotowań i prób. Czy miałem pecha, że nie zdobyłem medalu olimpijskiego? Nie… To nie ja kalkulowałem, że mogę go zdobyć. Ja tylko starałem się wystąpić jak najlepiej mogłem i chyba to mi się udało. Miałem jeszcze tyle planów… Tak bardzo tęsknię za swymi wspinaczkami górskimi, zjazdami z Zawratowej Turni, Koziego

Wierchu, Żółtej Turni… Ach, poczuć świst wiatru… i mknąć z orzełkiem w koronie na ramieniu… móc trenować młodszych, jak przed wojną…

– Przecież mogłeś i w czasie wojny – szeptała jakaś głęboko ukryta myśl.

– Ale za jaką cenę?

– Za cenę życia, za cenę życia – nie ustępowała.

– A cóż to by było za życie?

Bronek dobrze pamiętał początek wojny. Nie mógł wtedy czekać bezczynnie. Był kurierem na trasie Zakopane–Budapeszt. Przeprowadzał zagrożonych aresztowaniami, a później koledzy chcieli przeprowadzić i jego na „bezpieczną stronę". Nie chciał się jednak na to zgodzić.

– Moje miejsce było zawsze w kraju, w Tatrach. Jak mógłbym uciec? Podjąłem mimo wszystko słuszną decyzję… Aresztowany przez gestapo, przesłuchiwany, nie dałem się złamać. Nie przyjąłem propozycji trenowania niemieckich narciarzy. 14 czerwca 1940 roku znalazłem się w pierwszym transporcie więźniów do obozu w Auschwitz. Otrzymałem numer 349. Tu też starałem się walczyć. Moje spotkanie z Witoldem Pileckim… praca w ruchu oporu… znowu propozycje Niemców, by trenować ich żołnierzy… Jakże mógłbym je przyjąć. To tak, jakbym zaprzedał duszę diabłu. Uwielbiam życie, ale nie mógłbym żyć za cenę zdrady własnych ideałów.

Pobyt w obozie to mój najdłuższy bieg, w którym wytrzymałem głód, bicie, zniewagi, ciężką pracę, ale będąc już blisko mety, nie przekroczę jej, choć, tak jak na igrzyskach, dawałem z siebie wszystko.

Nagle serce Bronka zaczęło bić coraz szybciej. Za oknem usłyszał wesołą, skoczną muzykę cygańską. W jej rytmie przesuwały mu się obrazy powitania zimy

w obozie, gdy klęcząc na świeżym śniegu, nabierał go w dłonie i płakał. Później ostatnia migawka wspomnień… Znów był wolny i tańczył na nartach walca na tle swych ukochanych Tatr. Serce zwalniało i zamarło.

W baraku szpitalnym zaległa cisza. Jeden z więźniów poinformował grających na placu obozowym o śmierci Bronka. Cyganie na chwilę umilkli, po czym zagrali marsz żałobny Chopina. 5 czerwca 1944 roku odszedł wielki polski narciarz, olimpijczyk, taternik, ratownik górski, trener, pilot, rzeźbiarz, malarz. Miał 36 lat.

* * *

Michał skończył czytać swe opowiadanie, po czym spojrzał na swych kolegów i spytał:

– Wiecie, kim był mój bohater?

W klasie panowała cisza… Tylko Wojtek, klasowy prymus, krzyknął: – Tak, wiem, to Bronisław Czech… nasz pierwszy narciarz o międzynarodowej sławie.

– To prawda – zauważył Michał – choć nie dlatego chciałem go wam przedstawić. Po prostu zaimponował mi i pomyślałem, że dobrze przypomnieć o nim w roku Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pjongczangu. Pamiętacie naszą wczorajszą dyskusję? Bronek nie zdobył żadnego medalu olimpijskiego, a jednak był wielki. W czasie wakacji uprosiłem rodziców, byśmy pojechali do Oświęcimia i Zakopanego. Wiecie dobrze, jakie mam problemy zdrowotne w czasie podróży, a mimo to wytrzymałem… Nie mogłem inaczej. Musiałem tam być. Stojąc nad symbolicznym grobem Czecha w Zakopanem, pomyślałem sobie, że w czasie wojny nasi olimpijczycy ginęli na polach wrześniowych bitew, w gettach, w Powstaniu Warszawskim, umierali w obozach, byli rozstrzeliwani w Palmirach… Nie-

którzy z nich są znani do dziś, ale o wielu z nich zapomniano. Wczoraj, pisząc opowiadanie o Bronisławie Czechu, pomyślałem sobie, że muszę coś zrobić, aby przypomnieć naszego pierwszego wielkiego narciarza… i innych niezłomnych olimpijczyków. Nie wiem, czy się zgodzicie, ale mam pewną propozycję. Chciałbym, żebyśmy w tym roku, szczególnym dla nas, przygotowali o nich… może słownik biograficzny, by nie odeszli w niepamięć i…

Michał nie dokończył swej wypowiedzi, gdyż w klasie, właśnie w tej chwili, rozległy się ogłuszające brawa. Wzruszona polonistka podeszła do niego i powiedziała:

– Dziękuję ci za pomysł godny mistrza…

Agnieszka Kulesz

Prawdziwe zwycięstwo

Jak często najpierw coś robisz, a dopiero później myślisz? Jesteś pewien swego, widzisz jasne, anielskie światło, słyszysz: „Tak! – to jest to!", a potem ta magiczna iskra przemienia się w demoniczny pył, krzycząc: „Nabrałeś się". Ludzie dookoła ci mówią: „Nie martw się, każdy popełnia błędy", ale skąd mogą wiedzieć, co czujesz, to ty ponosisz konsekwencje i powoli staczasz się na dno z każdą kolejną złą decyzją, a oni tylko rzucają puste słowa wsparcia, które trafiają w ciebie jak rozpędzone groty strzał. Myśli „wszystko będzie dobrze" nie zszywają rozerwanej rany, a jedynie poszerzają ją, jakby twoje serce było potraktowane tępym plastykowym nożem do grillowanej kiełbaski, który jest tak samo bezużyteczny jak słowa pocieszenia w krytycznych chwilach. Dobre czyny są tak łatwo zapominane, a te złe długo się rozpamiętuje. Pamiętasz o nich, leżąc wieczorem w łóżku i otulając się myślami z serii „a co by było, gdyby…". Decyzje, których żałujemy, ciągną się za nami jak dym po spalonych wartościach, bardzo trudny do zlikwidowania, bo cuchnie jak pogorzelisko. Towarzyszą nam one w każdej chwili zwątpienia. Może to właśnie kara, jaką musimy ponieść za wyrządzone krzywdy. Czy już zawsze miałem

czuć ten smród, chyba nie mogłem tak żyć…, ale nie umiałem pokonać siebie samego…

Zaczynając naukę w nowej szkole, wiedziałem, że nie będzie łatwo. To już nie pierwszy raz, zawsze wygląda to tak samo. Zmieniasz dotychczasowe otoczenie, nie widzisz znajomych twarzy, jedni traktują cię jak powietrze, bo w końcu jesteś tym „nowym", nic nie znaczysz, drudzy oglądają jak egzotyczne zwierzę. Uwierz mi na słowo, głupiejesz w zastraszającym tempie, zrobisz wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zawsze miałem potrzebę bycia częścią, ważną częścią społeczności… chyba każdy z nas chce być traktowany podmiotowo, a nie przedmiotowo.

Kiedy tak stoisz na uboczu, z czasem zaczynasz dostrzegać pewne relacje, odkrywasz panujące zasady. Widzisz, że w szkole utworzyły się tzw. „grupki". Najczęściej – tak jak w mojej szkole – najpopularniejsi są sportowcy. Wszyscy odnoszą się do nich z szacunkiem, bo coś robią naprawdę dobrze, puchary na szkolnych korytarzach są dowodem ich pracy i zwieńczeniem wysiłku. Nawet nauczyciele przymykają oko na braki spowodowane nieobecnością w szkole, bo przecież reprezentują całe środowisko. Poczułem, że to jest dla mnie szansa, zapragnąłem wreszcie być zauważony, a szczęśliwym trafem, albo i nie, zbliżały się szkolne eliminacje do zawodów lekkoatletycznych. Bóg chciał, że biegałem naprawdę nieźle, w starej placówce należałem do szkolnej reprezentacji. No, właśnie – w starej, tutaj mogłem mieć znacznie większą konkurencję. Bardzo chciałem wyjść z cienia, a jeszcze bardziej bałem się eliminacji i przegranej. Wyobrażasz sobie te plotki? „Słyszałeś, że ten wysoki z drugiej, myślał, że może się równać ze szkolnymi biegaczami, niezłe nie? Myślał, że może być lepszy. Żałosne". Byłbym nie

tyle niezauważany, co wyśmiewany na każdym kroku. Ciągle myślałem: „Jak być szybszym, lepszym, silniejszym?" i w głowie pojawiła się banalna, skrajnie głupia odpowiedź, ale wiem to dopiero teraz… Chęć zdobycia nowych kolegów pchała mnie tam, słyszałem „zrób to". Czy chcesz wiedzieć, jak łatwe dla osoby w moim wieku jest znalezienie informacji o tym, jak szybko poprawić swoją kondycję i poprawić masę mięśniową, biorąc pod uwagę dostęp do Internetu?

Chcesz wiedzieć, jak szybko znalazłem odpowiednie osoby – i nie mam tu na myśli dietetyków czy trenerów personalnych. Właśnie. W przeciągu godziny udało mi się umówić spotkanie z jednym z lokalnych dilerów. Tak naprawdę wygraną miałem już zapewnioną. Proszę, postaraj się mnie zrozumieć, wtedy wydawało się to świetną alternatywą – musisz trochę potrenować, ale odżywiasz się jak chcesz, jedynie dwie tabletki na dobę, a potem zyskujesz mięśnie, wytrzymałość, trzeba było tylko pstryknąć palcem… To takie proste, a w zamian za to miejsce w reprezentacji, należałbym do najpopularniejszej grupy sportowców. Pokusa była wielka…To jak spełnienie największych marzeń.

Nie myśl tak. Powiem ci jak było, bo skutki były okropne: częste zawroty głowy, nudności, nie mogłem spać w nocy, a czasem bałem się, po prostu stałem na środku pokoju i bałem się drgnąć, widziałem to, co podpowiadał mi mózg. Jednak czego się nie robi, by zaistnieć, zyskać uznanie… Zapewniam cię, można pokonać strach i własne wątpliwości.

Nadszedł dzień eliminacji do drużyny, a ja jakby nigdy nic stanąłem na linii startu, pewny swego, byłem na wygranej pozycji. Rozglądałem się dumny po hali, na trybunach rozwrzeszczane nastolatki kibicujące faworytom, szkolny trener z gwizdkiem, rozmawia-

jący przez telefon, zawodnicy rozgrzewający się przed decydującym o ich dalszej karierze sportowej biegiem. Nauczyciel wychowania fizycznego poprosił nas o ustawienie się na pozycjach. W zawodach chodziło tylko o wyłowienie talentów, osób, które reprezentowałyby naszą szkołę w dalszych starciach, ale ja traktowałem je jak coś o wiele, wiele większego, mogącego zupełnie odmienić moje życie.

Słysząc gwizdek, wystartowałem, dając z siebie wszystko. Czułem, jakby nogami ruszał za mnie zupełnie ktoś inny, oddychał, kierował moim ciałem, moja pozostawała jedynie świadomość, która i tak powoli poczynała zanikać. Byłem biegnącą zabawką, w której silne zostały jedynie środki zażyte rano. Pewnie nawet nie muszę ci mówić, kto wygrał, bo jak normalny nastolatek może równać się z takim wspomaganym przez doping. Dystans przebiegłem jako pierwszy, więc od razu miałem zapewnione miejsce w szkolnej reprezentacji. Od tego momentu byłem częścią drużyny… ale siebie znałem coraz mniej. Nie chciałem już wsłuchiwać się we własne myśli, one były nieznośnie okrutne, zagłuszałem je zabawą w nowym towarzystwie. Jednak jak natręt gdzieś z tyłu głowy pojawiała się myśl, że postępuję nie fair, że wyniszczam swój organizm, że prawdziwy sukces jest wynikiem ciężkich treningów, a nie skutkiem zażycia wspomagaczy. Ale to on liczył się ostatecznie.

Teraz pewnie myślisz o mnie jak o rozkapryszonym nastolatku, który nie wie, czym są prawdziwe problemy… Pewnie masz rację, ale w tamtym momencie chciałem być kimś w oczach kolegów, choć dla siebie stawałem się coraz bardziej zerem…

No cóż, życie toczyło się dalej. Coraz częściej chodziłem rozdrażniony i zirytowany, nie potrafiłem się

skupić. Raz prawie naskoczyłem na swojego brata. Nie potrzebowałem snu, a raczej nie mogłem spać, po prostu gapiłem się w sufit do świtu. Uważałem to za normalne, w końcu odczuwałem ciągły stres przed zawodami. Chociaż w głębi duszy znałem prawdę, której już sam pewnie się domyślasz. Sprawa z dopingiem wcale nie należała do łatwych, a z czasem zacząłem się przyłapywać na oczekiwaniu na kolejną dawkę tabletek. Aż w końcu zacząłem bać się samego siebie. Nie poznawałem już własnego odbicia w lustrze, widziałem kogoś, kto coraz mniej mnie przypominał, z każdym dniem było mnie mniej. Przepraszam, że nie potrafiłem przestać, ja naprawdę tego żałuję, ale wiedziałem, że nie chcę, nie mogę zawieść. Aż pewnego dnia zadziwiłem sam siebie…

Kolejne zawody międzyszkolne, trener i koledzy znowu liczyli na mnie. To nic nadzwyczajnego, przyszedłem, pobiegłem (a raczej nie ja, a mój organizm na sterydach), znowu się udało. Zająłem trzecie miejsce, a więc tym razem było o włos… i mogłem wrócić z niczym… Mnie to już nie cieszyło, przestało być ważne, czy zajmę pierwsze czy trzecie miejsce, byleby wrócić z pucharem, aby cała szkoła wiedziała, że nie jestem byle kim. Stojąc na podium, nie czułem nic. Odetchnąłem z ulgą, że to już koniec. Ruszyłem w kierunku szatni. Po drodze zaczepił mnie jeden z zawodników. Miał zaczerwienione oczy, a kości policzkowe mu drgały, jakby zaraz miał się rozpłakać. Widać było, że jest poruszony, tylko szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia czym. Nie przypominałem sobie, aby stał razem ze mną na podium. Chłopak powiedział:

– Wybacz, że przeszkadzam, pewnie jesteś zmęczony… Doskonale to rozumiem. Nie mam zamiaru zawracać ci głowy, ale po prostu musiałem, chcia-

łem ci pogratulować. Nie przejmuj się, że nie wygrałeś, następnym razem ich przegonisz, uwierz mi, masz ogromny potencjał. Kiedy biegłeś, wydawało mi się, że dosłownie lecisz, jakbyś miał przyczepione skrzydła do butów, to było niesamowite. Widziałem cię już na zawodach, a dzisiaj jestem tu ostatni raz…

– Ostatni? Kończysz z bieganiem? – zapytałem. Może mi nie uwierzysz, ale mój głos brzmiał jak szum starego radia.

– Niestety, ale ja chyba… nie nadaję się. Trener postawił mi ultimatum: albo wejdę na podium, albo koniec. Ostatnio nie szło mi za dobrze. Chciałem udowodnić, że jestem dobry, ale mimo ciężkich treningów, niestety, nie udało się. Czwarte miejsce to jednak nie to samo co trzecie, racja? Wiesz, wydawało mi się, że naprawdę jestem w doskonałej formie. Bieganie to moja pasja, naprawdę sprawiało mi ogromną przyjemność. Zawsze czułem, że robię to, co kocham…

Wtedy po prostu coś we mnie pękło. Poczucie winy wywiercało we mnie dziurę ogromnej wielkości, a wyznanie chłopaka złamało mi serce. Nie słyszałem, co mówił dalej, po prostu rzuciłem się w stronę szatni, złapałem plecak i wybiegłem. Pewnie teraz myślisz, że uciekłem jak najgorszy tchórz, który nie umie ponieść konsekwencji swoich czynów. Nie. Pierwszy raz od dłuższego czasu zachowałem się fair play. Z torbą sportową w ręku pobiegłem do sędziego i wyrzuciłem z siebie to, co od dawna nie pozwalało mi normalnie żyć. Przez chwilę popatrzył na mnie z pogardą wymalowaną na twarzy, ale czego oczekiwałem? Uznania? Uznania za to, że przyznałem się do zażywania dopalaczy? Uznania za oszustwo?

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zostałem zdyskwalifikowany. Ciągle mam przed oczy-

ma smutny wzrok mojego trenera. Zawiodłem na całej linii. Wiedziałem, że czeka mnie trudna walka o przywrócenie dobrego imienia, ale czułem wielką ulgę, zwyciężyłem siebie samego, swoją małość…

Czy żałuję, że się przyznałem? Nie da się żałować czegoś, z czego jest się dumnym. Bo pomimo tego, że czekała mnie trudna walka o odzyskanie szacunku innych, sam w tym momencie odzyskałem szacunek do siebie. Czułem, że mimo wszystko odniosłem zwycięstwo, prawdziwe zwycięstwo, bo w sporcie liczy się też postawa, uczciwość. Trzecie miejsce dostał chłopak, który na nie naprawdę zasłużył swoją ciężką pracą i mam nadzieję, że spełnia swoje marzenia. To był ten moment, w którym zrozumiałem słowa, które powtarzał mój dziadek, że do sukcesu nie ma windy, trzeba iść po schodach… Ty też pamiętaj o tym…

Julia Jankowska

Chcę być…

Marzenia? Tak, miałam marzenia. Jak każde dziecko. Jak każdy. Kiedyś chciałam zostać księżniczką. Koronę zrobił mi dziadek. Babcia uszyła suknię balową. Mama… Cóż, tłuczek do ziemniaków owinięty folią aluminiową świetnie sprawdził się jako berło. Dzięki, mamo. Moja rodzina pozwoliła mi poczuć się księżniczką. W tamtej chwili nią byłam.

Kim jeszcze chciałam być? Pomysłów miałam wiele. Dwa zapisały się w mojej pamięci szczególnie. Podziwiałam tancerki, baletnice, takie współczesne księżniczki. Marzyłam, by zostać jedną z nich. Móc tańczyć. Kłaniać się. Słuchać oklasków. Sama chętnie oklaskiwałam dziadka, który strzelał z łuku, z wiatrówki. Czy celnie? W dziesiątkę? Chyba tak. Nie pamiętam. Dla mnie był mistrzem. Podobnie jak ciocia. Moja chrzestna. Ona biegała. Nie tylko po zakupy. Nie tylko z psem na dwór. Ona biegała maratony. Zarażała energią, siłą, wytrwałością. Była niepokonana. Nie dlatego, że zawsze stała na podium. Ale dlatego, że nigdy nie przegrała ze sobą. Kuzyn uprawiał wspinaczkę. Zawsze szedł, zawsze piął się w górę. Dosłownie. I w przenośni.

Pomysł drugi kojarzę doskonale. Ale nie przypomnę sobie, kiedy po mojej głowie zaczęła krążyć wła-

śnie ta myśl – o zostaniu sportowcem. Wiem tylko tyle, że byłam ambitna. Chciałam być dobra w tym, co robię. Chciałam być najlepsza. Dziadek uczył mnie strzelać z łuku, kuzyn prowadził na place zabaw i ścianki. Było świetnie. Zabawnie. A jednak mój wybór padł na bieganie. Lubiłam biegać. W jakiś sposób byłam wtedy jak ciocia, która nigdy się nie poddawała. Ale też jak dziadek uparcie zmierzający do celu. I kuzyn mierzący wysoko. I byłam jak tancerka – księżniczka, którą się ogląda z zachwytem i niedowierzaniem… Teraz, po latach, wiem, że z zachwytem i niedowierzaniem patrzyli na mnie mama, tata, wujek, kuzyni, dziadkowie. I pielęgniarki. I lekarze. Patrzyli tak w szpitalu, po operacji, po usunięciu prawie całej kości strzałkowej. Patrzyli, bo… ja biegałam. Niezgrabnie, niezdarnie, nieporadnie. Ale biegałam. Korytarze szpitalne są długie.

Wypadałoby wyjaśnić operację, szpital i korytarzowego biegacza. Był taki moment w moim życiu, w którym otaczało mnie mnóstwo rurek, lekarstw, kroplówek. Mocno trzymało mnie łóżko, do którego czułam się wręcz przyklejona. Ogólnie czułam się źle. Leki, zabiegi, operacje. Nie miałam swobody ruchu. Mojego biegania! Mogłabym teraz płakać, narzekać. Ale nie mam prawa, nie powinnam i nie chcę. Moja rodzina znowu stanęła na wysokości zadania. Trochę pokrętnie, dziwacznie, ale cudownie. Dostałam latawiec. Tak, wiem, muszę wytłumaczyć. Latawiec to dobry start, niezły początek. Wznosił się całkiem wysoko, był wolny, swobodny. A teraz najważniejsze… Patrzyłam przez okno, jak tata biega z nim po niewielkiej polanie przed szpitalem. Czułam się, jakbym to ja tam była. Jakbym to ja biegała, robiła to, czego tak pragnęłam.

Tata biegał z latawcem, a miłe pielęgniarki wydłużały rurki kroplówek, więc wolność widziałam przez

okno, no i łóżko mogłam na chwilę opuścić. Ale prawdziwą swobodą był dla mnie dom. Sprawiało mi przyjemność planowanie, co zrobię w czasie przepustki do domu. Lista była długa. Spotkać się z przyjaciółmi, pogłaskać miękkie futro kota, zagrać z babcią w grę planszową, wybrać się z kuzynem na ściankę wspinaczkową, plac zabaw chociaż, posłuchać o sukcesach cioci, o kolejnych kilometrach… Tak, lista była długa. Wszystko jednak się kończyło na wzięciu gorącej kąpieli we własnej łazience i położeniu się we własnym wygodnym łóżku z pachnącą pościelą, we własnym maleńkim pokoju. Cóż innego można było zrobić między 22 w nocy a 6 rano?

Myśl o powrocie do szpitala była nieznośna. Tu czas płynął strasznie wolno. Tu nuda przenikała przez ściany, wylewała się drzwiami i oknami. Tu moją radością był czas spędzony z mamą na grach, zabawach, rozmowach. Mama tak pięknie opowiadała baśnie. Zwłaszcza tę o Roszpunce, która chciała poczuć wiatr we włosach… Ja też chciałam. Przecież kiedyś czułam. Musiałam spróbować. Któregoś dnia pobiegłam. Niezgrabnie, niezdarnie, nieporadnie. Wiatru nie poczułam. Powody były dwa. Szpitalny korytarz i bieganie, które nie było bieganiem. Nieważne! Nieważne… Starałam się.

Powrót do normalności nie należał do łatwych. Pójście do galerii na zwykłe zakupy spożywcze było dla mnie jednocześnie czymś niezwykłym i strasznym. Chyba się bałam. Na pewno się bałam. Czego? Reakcji ludzi, spojrzeń – tych ukradkowych i tych długich, przeszywających. Wstydziłam się samej siebie. Zakładałam czapki, kapelusze, chustki. Pewnego upalnego dnia powiedziałam do mamy: – Zdejmę czapkę. – Powiedziałam to spontanicznie, głośno i stanowczo. Na

tyle stanowczo, że o nic nie zapytała. Skinęła tylko głową. Świat stanął. Czas nie wiedział, czy pędzić do przodu czy zastygnąć na kilka chwil. Samochody zwolniły. Słońce… Nie, ono nadal grzało niemiłosiernie. Wiatr musnął moje… Włosów nie miałam, więc wiatr musiał się zadowolić muśnięciem mojej okrągłej, spoconej, łysej głowy. Ludzie patrzyli albo nie patrzyli. Jakie to ma znaczenie? Ja czułam mój wiatr we włosach. Było jak przed chorobą. Pokonałam strach, wstyd. Pokonałam siebie. A jestem trudnym przeciwnikiem.

Nie zostanę księżniczką. Choć dla moich bliskich nią jestem. Byłam i będę. Wiem to. Nigdy nie będę biegać. To też wiem, bo operacje były poważne. Musiały takie być. Nowotwór kości strzałkowej to nie igraszka. Mam krótszą nogę. Zatem i baletnicą nie zostanę. Nie szkodzi. U mnie wszystko w porządku. Jestem córką, wnuczką, siostrą. Jestem koleżanką, przyjaciółką, uczennicą. Jestem marzycielką. Wciąż jestem. I walczę o siebie i o swoje miejsce na świecie. Dziadek, ciocia i kuzyn mogą być ze mnie dumni. Mogą mnie oklaskiwać. Przecież jestem ambitna. Dążę do celu, mierzę wysoko, pokonuję maraton życia.

Muszę się czymś pochwalić. Nie zrezygnowałam ze sportu. W pewnym sensie… Tańczę. Wybrałam jazz nowoczesny. Nie od razu dobrze mi szło. Mimo wielu potknięć i nieudanych prób nie poddałam się. Chcę być sobą. I chcę być. I wiem, że będę.

Aleksandra Majcherska

Niemożliwe nie istnieje

Wydarzyło się to na początku maja. Dokładnie pamiętam ten dzień. Był pochmurny i deszczowy. Miałam wrażenie, że ta plucha nigdy się nie skończy. Deszcz padał chyba cały czas. Jechałam z tatą na trening. Od dziewięciu lat trenowałam łyżwiarstwo figurowe. Zaczęłam już nawet odnosić sukcesy, moja kariera sportowa nabierała rozpędu. Trener, patrząc na moje popisy, kiwał z uznaniem głową i był wyraźnie zadowolony. Teraz szykowałam się do poważnych zawodów. Tego dnia byłam zmęczona i niewyspana, w nocy śniły mi się jakieś bzdury, dręczyły mnie jakieś dziwne przeczucia.

Nagle… samochód wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Z perspektywy czasu całe to zdarzenie można zamknąć w jednym krótkim zdaniu, ale ono zmieniło całe moje życie. Usłyszałam tylko straszny huk, a potem już nic nie pamiętałam. Obudziłam się w szpitalu, stały nad mną mama i siostra, bardzo bolała mnie głowa.

– Tosiu, ciiiiii, wszystko jest dobrze, odpoczywaj – mówiła mama.

– Co się stało? Gdzie jest tata? – zapytałam zachrypniętym głosem.

– Spokojnie, tacie nic się nie stało, ma tylko złamaną rękę – mówiła mama.

Głowa coraz bardziej mnie bolała, niepokoił mnie fakt, że nie mogę się ruszyć. Na szyi miałam kołnierz ortopedyczny, który krępował moje ruchy. Wokół mnie słyszałam tylko „pik, pik, pik" i to mnie irytowało. W mojej obolałej głowie kłębiły się pytania: Dlaczego? Jak to? Co się stało?

– Mamo, powiedz mi, co mi jest, że tak strasznie boli mnie głowa, i co się stało? – zapytałam, już trochę tym zdenerwowana.

– Mieliście z tatą wypadek, tata złamał rękę, a ty… – mama na chwilę urwała i powiedziała przez łzy.

– No, powiedz wreszcie, nie jestem już dzieckiem!!!

– Złamałaś kręgosłup – powiedziała mama bardzo cicho.

– Co, jak to? Ale kiedy będę mogła wyjść na lód? Wiesz przecież, że przygotowuję się do mistrzostw Europy – wyrzuciłam z siebie, jakby nie dochodziło do mnie, że mogę w ogóle nie wrócić do sportu.

– Kochanie, na razie odpoczywaj – mówiła zapłakana mama.

– Nie, nie to niemożliwe, to na pewno pomyłka – mówiłam. Naszą dyskusję przerwał lekarz, który podszedł do mojego łóżka, wyłączył to pikające coś i wziął moją rękę.

– Dzień dobry. Nazywam się Artur Jakubowski i jestem twoim lekarzem prowadzącym – powiedział stanowczym głosem.

– Dzień dobry?! Bywały lepsze… Jestem Tośka Nowakowska i przygotowuję się do ważnych zawodów, może mi pan powiedzieć, kiedy będę mogła wrócić na lód? – mówiłam jak z automatu na jednym wdechu, co było trochę trudne, bo miałam obolałe żebra.

– No więc, Tosiu, złamałaś kręgosłup w odcinku szyjnym, na szczęście nie doszło do przerwania rdzenia kręgowego – lekarz mówił tak, jakby nie do końca zrozumiał moje pytanie.

– Czy będę mogła wrócić na lód? – pytałam coraz bardziej natarczywie.

– Na odpowiedź jeszcze za wcześnie, ale moim zdaniem… – nie dokończył, ale jego mina mówiła sama za siebie. Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Moja mama pobiegła za nim.

– Panie doktorze, co pan o tym myśli? Co z nią będzie?

Lekarz zatrzymał się, spojrzał w moją stronę i półgłosem powiedział:

– Proszę pani, nie chcę dawać pani córce złudnej nadziei. Myślę, że chodzić nauczy się od nowa, ale powrót do sportu… to raczej niemożliwe…

Lekarz myślał, że mówi na tyle cicho, że go nie usłyszę, ale owszem, każde słowo dotarło do mnie bardziej, niż bym tego chciała. Coś we mnie pękło…

Rozpłakałam się. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Cały czas tkwiło mi w głowie zdanie, które wypowiedział lekarz: „To raczej niemożliwe".

* * *

Załamałam się, nie chciałam nic jeść, z nikim rozmawiać, a już na pewno nie z lekarzem, który postawił mi taką pesymistyczną diagnozę. Jeździłam na łyżwach od piątego roku życia i zawsze to uwielbiałam. Rok temu razem z Wojtkiem, moim tanecznym partnerem, zdobyliśmy mistrzostwo Polski. Pamiętam, jak bardzo się wtedy cieszyliśmy, bo zatańczyliśmy dość trudny układ. Moim największym marzeniem wciąż pozostawał medal na igrzyskach olimpijskich. No

właśnie… Uświadomiłam sobie, to marzenie staje się NIEMOŻLIWE. To słowo ciążyło mi w głowie i mówiłam je nawet przez sen.

Po kilku tygodniach mój stan nieco sie poprawił, ale ciągłe leżenie doprowadzało mnie do szału. Przyszedł do mnie lekarz. Nie lubiłam go za to, że mówiąc o moim powrocie do zdrowia użył tego przeklętego słowa „niemożliwe".

– Dzień dobry. Jak się dziś czujesz? – spytał jak zawsze.

– Dobrze – prychnęłam.

– Myślę, że za parę dni możemy myśleć o wypisie – mówił nie reagując na ton mojej wypowiedzi.

– I co potem? – spytałam z nadzieją, że będzie miał mi do powiedzenia coś bardziej optymistycznego niż ostatnio.

– Długa rehabilitacja i mam nadzieję, że będziesz chodzić – burknął dopisując coś w notatkach.

No jasne, ten jak zwykle potrafi pocieszyć. Oczekiwałam słów otuchy, obietnicy powrotu do pełnej sprawności, a tu… Moje rozmyślania przerwał Wojtek, który wszedł do sali z dużą czekoladą w ręku.

– Dobrze, to ja was zostawiam – powiedział lekarz, po czym wyszedł.

– Cześć – rzucił Wojtek i pocałował mnie w czoło, tak po przyjacielsku.

– Hej – powiedziałam trochę niechętnie, chociaż nie ukrywałam, że ucieszyła mnie wizyta Wojtka.

– Jak się czujesz? – spytał.

– A jak myślisz?! Jestem załamana – powiedziałam ze smutkiem.– Będziesz musiał znaleźć sobie nową partnerkę.

– Tośka, co ty wygadujesz?! Nie możesz się poddać! Musisz walczyć – wziął moją rękę i lekko ją uścisnął.

– Wojtek, jak ja mam się nie poddawać, mój powrót na lód jest zupełnie niemożliwy!!!

Byłam wściekła na siebie, że użyłam tego słowa.

– Znam cię już dość długo i bardzo dobrze wiem, że jesteś dziewczyną, dla której słowo „niemożliwe" nie istnieje. Pamiętasz, gdy nasz trener powiedział, że niemożliwe jest, żebyśmy się nauczyli tego trudnego podnoszenia, w czasie jaki został do zawodów?! Zrobiłaś wszystko, trenowaliśmy całymi dniami, pojechaliśmy na zawody z trudniejszym układem i odnieśliśmy sukces! Teraz będzie tak samo, uwierz mi. Pomogę ci, możemy zacząć od lekkiej gimnastyki i baletu. Tylko musisz uwierzyć!!! – mówił to z taką pewnością w głosie, że łzy same zaczęły napływać mi do oczu.

– Spróbuję… Masz rację i wiesz, dam z siebie wszystko, żeby tylko wrócić na lód. Wiem, że mi pomożesz – mówiłam przez łzy.

Taniec na lodzie opiera się na ogromnym zaufaniu do partnera. Ja ufałam Wojtkowi i teraz uwierzyłam też w jego słowa. Wiedziałam, że pomoże mi stanąć na nogi.

* * *

Po wyjściu ze szpitala od razu rozpoczęłam rehabilitację. Było ciężko, ale po ostatniej rozmowie z Wojtkiem wierzyłam, że mi się uda. Wojtek czasami przychodził zobaczyć, jak sobie radzę. Miałam lepsze, czasem gorsze momenty, a wtedy chciało mi się płakać. Rozpoczęłam walkę z najtrudniejszym przeciwnikiem – z samą sobą. Łyżwiarstwo trenowałam na tyle długo, żeby poznać ból, zmęczenie i kontuzje. Gdy ból pojawiał się teraz, traciłam nadzieję. Miałam to szczęście, że byli wokół mnie ludzie, którzy bardzo mnie wspierali – moi rodzice i Wojtek. W trudnych chwilach mó-

wiłam sobie: „Nieważne, że trudne, ważne, że możliwe". Po trzech miesiącach ćwiczeń stanęłam na nogi, było to coś niesamowitego, cieszyłam się tak samo jak wtedy, kiedy zdobyłam mistrzostwo Polski. Mama popłakała się ze szczęścia, a ja naprawdę uwierzyłam, że dam radę zatańczyć jeszcze na lodzie… Podczas wizyty kontrolnej lekarz nie ukrywał zdziwienia i kiwał głową z uznaniem, zupełnie jak mój trener. Po sześciu miesiącach od wypadku nie potrzebowałam już kul do chodzenia.

– Hej – Wojtek wpadł do sali moich ćwiczeń.

– Cześć!

– Mam dla ciebie superwiadomość. Rozmawiałem ostatnio z trenerem i powiedział mi, że może moglibyśmy pojechać w maju na turniej do Wrocławia – mówił rozemocjonowany Wojtek.

– Wojtek, żarty sobie robisz?! Ledwo nauczyłam się chodzić, a ty mi każesz tańczyć?! Dopiero zaczęłam podstawy gimnastyki i baletu, a do maja zostało zaledwie pięć miesięcy!

– Tylko nie mów, że to niemożliwe. Pomyślałem, że powinnaś mieć jakiś cel. Realny cel – mówił z ciągłym uśmiechem na twarzy.

– No dobra, może to i jest dobry pomysł, ale przecież ja jeszcze nie weszłam na lód, nawet nie wiem, czy potrafię jeździć na łyżwach – w moim głosie było coraz więcej emocji i serce waliło jak oszalałe.

– Tego się nie zapomina. Muszę lecieć, ale za tydzień o tej godzinie spotykamy się na lodowisku. Trzymaj się. Pa – pocałował mnie w czoło i wybiegł.

Tydzień później spotkaliśmy się na lodowisku. Wojtek pomógł mi nałożyć łyżwy. Cały czas trzymał mnie mocno za rękę. Ufałam mu i wiedziałam, że mnie nie puści. Kiedy poczułam, że wchodzę na taflę lodu,

wiedziałam, że to jest ten moment. Użycie przez mojego lekarza słowa „niemożliwe" było kluczowe w walce o TEN moment. Wojtek miał rację – tego się nie zapomina. Po kilku minutach byłam już gotowa, żeby puścić rękę Wojtka. Czułam, że żyję, zaledwie pół roku po wypadku stanęłam na lodzie.

* * *

Zaczęłam intensywne przygotowania do turnieju. Trzy razy w tygodniu treningi na lodowisku, trzy razy w tygodniu gimnastyka i balet na sali. Byłam pełna nadziei, że się uda, ale mama nie kryła obaw. Nie była przekonana, czy tak intensywny wysiłek mi nie zaszkodzi. W połowie marca mieliśmy już opanowany układ. Zawody miały się odbyć w maju, czyli równo rok od feralnego wypadku. Nadszedł czas na to, aby udowodnić sobie i innym, że niemożliwe nie istnieje. Dzień przed zawodami byliśmy już we Wrocławiu. Tęskniłam za takim trybem życia. Kiedy nadszedł moment, że stałam na lodzie i usłyszałam muzykę, poczułam jednocześnie wzruszenie i radość. Wiedziałam, że patrzą na mnie tysiące ludzi. Kochałam to uczucie. Zatańczyłam najlepiej, jak potrafiłam. Kiedy skończyliśmy i zeszliśmy z płyty lodowiska, Wojtek szepnął mi na ucho:

– Było pięknie. Jestem z ciebie dumny, odniosłaś sukces bez względu na werdykt sędziów.

Po nas zatańczyło jeszcze kilka par. Kiedy zaczęli ogłaszać wyniki, byłam bardzo podekscytowana, bo wiedziałam, że poszło nam naprawdę nieźle. Głos spikera rozbrzmiewał donośnie. Trzecie miejsce Iga Kowalska i Michał Czarnecki, drugie miejsce Antonina Nowakowska i Wojtek Malinowski. To drugie miejsce smakowało jak zwycięstwo. Traktowałam ten turniej jako cel do powrotu do łyżwiarstwa figurowego.

To drugie miejsce tylko umocniło we mnie wiarę, że jestem w stanie zdobyć medal na igrzyskach olimpijskich. Kiedy stanęłam na podium, a na mojej szyi zawisł srebrny medal, rozpłakałam się jak dziecko… Znów mogłam marzyć o igrzyskach olimpijskich…

* * *

Od wypadku minęły już 3 lata, a ja nadal tańczę na lodzie i startuję w zawodach. Kiedy trenowaliśmy z Wojtkiem na sali elementy do naszego układu, przyszedł do nas trener i powiedział, że ma dla nas wiadomość.

– Chciałbym, żebyście pojechali na igrzyska – powiedział ze spokojem.

Popatrzyłam na Wojtka, a on na mnie. Usiadłam tam, gdzie stałam, a Wojtek zaczął skakać ze szczęścia. To, co powiedział trener, wyzwoliło w nas takie emocje, że przegadaliśmy na sali wiele godzin. Mieliśmy tyle energii, że próbowaliśmy nowe i coraz to trudniejsze figury…

Półtora roku później na naszych szyjach zawisł medal olimpijski. To było jak piękny sen. Spełniłam jedno z największych i najskrytszych marzeń, a przede wszystkim udowodniłam, że niemożliwe nie istnieje. To nie koniec moich marzeń i pasji. Kolejnym jest to, żeby moją historię opisać w książce i żeby ci, którzy po wypadkach tracą nadzieję, mogli ją na nowo odzyskać.

Daria Warchał

Pistacja na mecie

Gdy upadek powtórzył się dwunasty raz z rzędu, stwierdziłam wreszcie, że mam dość. – Nie dam rady – powiedziałam z irytacją w głosie – nikt nie jest w stanie go zastąpić – podniosłam się obolała z piasku i ruszyłam w kierunku furtki.

– Oxer to nasz najlepszy ogier! Nie jestem w stanie zaoferować ci już lepszego konia, Megan. Musisz zacząć ćwiczyć, bo do finałów zostało niewiele czasu, a ty wciąż nie znalazłaś sobie nowego konia – krzyknęła za mną trenerka, ale ja niewzruszona poszłam dalej przed siebie. – Wiem, że jest ci trudno po stracie Devona – na dźwięk tego imienia gwałtownie się zatrzymałam. – Ale musisz żyć dalej i trenować, bo tylko zmarnujesz swój talent.

Wróciłam do miejsca, gdzie stała trenerka i widziałam, że w jej oczach pojawia się nadzieja. W głębi serca wiedziałam, że ma rację. Od wypadku z Devonem minęło już sześć tygodni, a ja nie potrafiłam utrzymać się w siodle dłużej niż minutę. Nie miałam szans na pierwszą dziesiątkę w zbliżającym się finale, a co dopiero żeby myśleć o podium.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. To co, próbujemy jeszcze raz? Jestem pewna, że Oxer w końcu się do ciebie przekona.

– Odprowadzę go do stajni – tymi słowami zgasiłam w trenerce ostatni płomień nadziei.

Weszłam do stajni i zaprowadziłam Oxera do jego boksu. Rozejrzałam się dookoła. Polakierowane drewno lśniło w promieniach popołudniowego słońca, a słoma trzeszczała pod podeszwami moich butów. Pamiętam, jak kiedyś często chowałam się za belkami siana i sprawdzałam czujność Devona. Niestety nie dawał się nabrać na tę sztuczkę i wpatrywał się w moją kryjówkę, dopóki się nie ujawniłam. Ogarnęło mnie przygnębienie. Po Devonie został mi już tylko pusty boks i kilka ulotnych wspomnień.

Jego boks znajdował się na samym końcu stajni, a że była ona największa w całej stadninie, dotarcie tam zajmowało dłuższą chwilę. Mimo to postanowiłam jeszcze raz zobaczyć miejsce, gdzie nie tak dawno temu spędzałam wiele godzin. Gdy byłam już zaledwie 10 metrów od mojego celu, ujrzałam widok, który wprawił mnie w osłupienie. Jednak już po chwili ten stan minął i zastąpiła go potworna złość.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – krzyknęłam, patrząc prosto w oczy obcemu, kasztanowemu koniowi.

Kto śmiał wprowadzić go do boksu Devona?!

– Ach widzę, że poznałaś naszą nową klacz – dobiegł mnie znajomy głos. Odwróciłam się w stronę Alexa, tak przy tym gwałtownie machając rękami, że strąciłam mu z nosa okulary. Byłam wściekła, chciałam wykrzyczeć mu wszystko, co od tak dawna mnie męczyło, ale on uciszył mnie gestem dłoni i podniósł swoje okulary.

– Czego się spodziewałaś? Boks Devona nie mógł stać wiecznie pusty, prędzej czy później musieli zastąpić go nowym koniem.

– Żaden zwykły koń nie jest w stanie go zastąpić.

– Może i masz rację, ale skąd pewność, że Pistacja jest zwyczajną klaczą? – zapytał i przyłożył do furtki od boksu małą metalową tabliczkę, której wcześniej nie zauważyłam.

– Żartujesz sobie? Pistacja? Jaki idiota wymyślił to imię?

– Wiesz co, Megan, twoje imię też nie należy do najpiękniejszych, a jakoś nie obrażam twoich rodziców, którzy ci to imię nadali.

Przez chwilę nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam to, co do mnie powiedział.

Od kiedy Alex jest taki sarkastyczny?

– Wiesz co, nie…

– Czy mogłabyś podać młotek? – przerwał mi w połowie zdania, a jego głos jednoznacznie wskazywał, że nie zamierza czekać na moją zgodę. Albo podam mu młotek, albo dostanę tą tabliczką po głowie. Na szczęście skrzynka z narzędziami stała niedaleko, więc podałam mu młotek, zanim zdążył przymierzyć się do rzutu.

– Gotowe – powiedział i odsunął się od furtki, do której przybił tabliczkę ze świeżo wygrawerowanym złotym napisem „Pistacja". Przewróciłam oczami i ruszyłam w stronę wyjścia ze stajni; skoro już nawet boks po Devonie mi nie pozostał, to nie miałam czego tam dłużej szukać.

– Wiesz, że użalając się nad sobą, nie wygrasz finałów? – powiedział Alex, gdy byłam już jedną nogą na zewnątrz.

– Tak jakbyś ty mógł coś o tym wiedzieć. Nigdy nie jeździłeś konno, jesteś tu tylko konserwatorem sprzętu – rzuciłam przez ramię i wyszłam na dwór.

Droga do domu minęła mi zadziwiająco szybko. Gdy tylko weszłam do swojego pokoju, rzuciłam tor-

bę z rzeczami na podłogę i położyłam się na miękkim łóżku. Cały czas po głowie chodziły mi słowa Alexa. Naprawdę nigdy nie zdarzyło mu się być takim opryskliwym dla kogokolwiek ze znajomych, a już na pewno nie dla mnie. Sięgnęłam do torby po telefon, ale zamiast niego natrafiłam na coś metalowego i zimnego. Zdziwiona wyjęłam przedmiot z torby i gdy tylko zobaczyłam, co takiego trzymam, poczułam, jak cała sztywnieję. Mała metalowa tabliczka ze złotym grawerunkiem „Devon" leżała na mojej dłoni jak gdyby nigdy nic. Była już lekko podniszczona, ostatnie litery imienia wytarły się, tak że widoczne było już niemal tylko „Dev". Wiedziałam, że jest prawdziwa, przez całe to zamieszanie z Pistacją nawet nie zauważyłam, że tabliczka z jego imieniem zniknęła. Jak dawno została zdjęta? Naprawdę byłam tak zajęta kłótnią z Alexem, że nie zwróciłam uwagi na tak istotną rzecz? Przecież to oczywiste, nie mógłby tam powiesić nowej tabliczki bez wcześniejszego usunięcia starej. Obróciłam ją między palcami i poczułam, że z tyłu jest coś przyklejone. To była mała, niebieska karteczka samoprzylepna, na której widniały starannie wypisane atramentem trzy słowa: „Walcz dla niego". Nie pamiętam dokładnie, co potem zrobiłam, ale wiem, że nigdy w życiu jeszcze tak szybko nie biegłam.

– Gdzie jest Alex? – zapytałam jakąś dziewczynę, gdy wbiegłam na teren stadniny.

Niestety jej wskazówki nie okazały się specjalnie przydatne, bo to, że godzinę temu wychodził z głównej stajni, wiedziałam także ja. Rozglądałam się w poszukiwaniu przyjaciela i gdy zobaczyłam, jak zbliża się w moją stronę, zrozumiałam, dlaczego nie mogłam go znaleźć. Stało się tak, bo był w miejscu i robił coś, czego nigdy bym u niego nie podejrzewała, dlatego przez

myśl mi nie przeszło, żeby go tam szukać. Alex jechał na śnieżnobiałej klaczy z taką łatwością, jakby robił to od zawsze. Obok prowadził posłuszną Pistację, która była ubrana w pełny sprzęt, gotowa do jazdy.

– Wiedziałem, że wrócisz – powiedział – a teraz lepiej szybko się przebierz, bo musimy nadrobić twoje stracone sześć tygodni użalania się nad sobą – wskazał na moją torbę.

– Od kiedy ty w ogóle jeździsz? Myślisz, że jak raz wsiadłeś na konia i nie spadłeś, to możesz mnie uczyć? – mruknęłam poirytowana jego zuchwalstwem. – Gdzie są trenerzy?

– Wszyscy mają cię dość, moja droga Megan. W sumie to się im nie dziwię, jesteś naprawdę nieznośna. Pośpiesz się, bo zaraz chętnie dołączę do listy tych, którzy zrezygnowali z pracy z tobą – po tych słowach oddalił się, a ja z zażenowaniem ruszyłam do szatni.

Muszę przyznać, że Alex nie jest najgorszym nauczycielem, chociaż bardzo łatwo się denerwuje. Już po pierwszych trzydziestu sekundach współpracy zaczęliśmy się kłócić.

Gdy wróciłam na padok przebrana, zrozumiałam, dlaczego przyprowadził ze sobą Pistację ale od razu oznajmiłam, że nie mam zamiaru zostać zapamiętana jako „światowej sławy ujeżdżacz Pistacji". Pistacjowe to mogą być lody, a nie koń. Oczywiście Alex strzelił mi piętnastominutowy monolog o tym, że on też nie chce zostać zapamiętany jako „nauczyciel Megan, światowej sławy ujeżdżaczki Pistacji", ale mimo to jest tu i jeszcze nie próbował mnie zrzucić z siodła. Chociaż odniosłam wrażenie, że coraz częściej ma na to ochotę.

Skończyliśmy trening kilka minut przed zamknięciem stadniny, więc musieliśmy z zawrotną prędkością

uwinąć się z odkładaniem sprzętu. Byłam naprawdę wykończona; gdy człowiek nie trenuje przez sześć tygodni, niewątpliwie może wyjść z wprawy.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytał, kiedy mieliśmy się rozstać przy przystanku autobusowym.

Zaczynało się ściemniać, ale godzina była jeszcze wczesna, więc zgodziłam się i pozwoliłam Alexowi zaprowadzić się do jego ulubionej kawiarni. Nie był to zbyt wielki lokal, ale z pewnością miał swój unikalny klimat. Wszędzie stały stare dekoracje, przez co w pierwszym odczuciu chciałam zapytać, dlaczego zabrał mnie do antykwariatu, ale wielka tablica z menu przekonała mnie, że to jednak właściwe miejsce. Zamówiliśmy dwie filiżanki cytrynowej herbaty i kawałek szarlotki, po czym zajęliśmy miejsce przy stoliku pod oknem.

– Muszę ci powiedzieć, że całkiem nieźle ci dzisiaj poszło – powiedział i wsypał do swojej filiżanki łyżeczkę cukru. – Spodziewałem się totalnej łamagi, a okazało się, że to tylko przeciętna nieudolność.

Zrobiłam urażoną minę, ale po chwili głośno się roześmiałam.

– No wiesz co, myślę, że zasługuję co najmniej na tytuł nieporadnego zawodowca.

– A tak całkiem poważnie, Megan, to myślę, że zrobiłaś dzisiaj coś naprawdę świetnego.

– Nie przesadzaj, przejechałam zaledwie kilkaset metrów – zapach szarlotki kusił mnie coraz bardziej, ale nie spuściłam wzroku z Alexa. Uśmiechał się w jakiś dziwny sposób, którego nie byłam w stanie zrozumieć, i po chwili zaczęło mnie to już irytować. Mimo to cierpliwie czekałam, aż wreszcie coś powie.

– Myślę, że osiągnęłaś dzisiaj swój mały sukces – zaczął i popatrzył na mnie, jakby wyjaśnienie było zu-

pełnie oczywiste i powinnam się go od razu domyślić.
– O czym ty… – zaczęłam, ale umilkłam, gdy zdałam sobie sprawę, co ma na myśli. Przed oczami stanął mi obraz dzisiejszych wydarzeń.

* * *

Wsiadłam na grzbiet Pistacji, a moje ręce kurczowo trzymały wodze. Drżały mi dłonie, ale nie chciałam tego pokazać przed Alexem, nie dam mu kolejnego powodu do wyśmiewania się ze mnie. Mimo to czułam, jak znowu powoli ogarnia mnie strach, więc tylko stałam w miejscu i czekałam na nieunikniony kolejny upadek. Miałam cichą nadzieję, że stanie się to raczej prędzej niż później, a on wreszcie zrozumie, że jego starania i tak na nic się nie zdadzą w moim przypadku. Z zamyślenia wyrwał mnie głos przyjaciela:

– Zobaczyłaś Johnny'ego Deppa, że tak się wpatrujesz w to miejsce?

– Co? Mówiłeś coś? – zapytałam zdezorientowana i odwróciłam wzrok w jego stronę.

– Pytałem, czy… zresztą to nieważne, zaczynajmy wreszcie – powiedział i odjechał kilka metrów w bok.

– A teraz, drogie dziecko, złap za wodze i powoli rusz do przodu. Myślę, że jesteś w stanie to zrobić, tylko nie myśl o spadaniu – powiedział i mrugnął do mnie, śmiejąc się przy tym w nienaturalny dla niego sposób.

Spróbowałam ruszyć, ale nie przesunęłyśmy się nawet o centymetr.

– Widzisz? Chyba jednak nie dam rady – odparłam z rezygnacją.

– Jak to, przecież świetnie ci idzie.

– No chyba sobie żartujesz. Nawet częściowo się do ciebie nie przybliżyłam, chyba teraz sam widzisz, jak

wygląda moja sytuacja. Nie poradziłam sobie z żadnym innym koniem, więc nie rozumiem, dlaczego myślisz, że Pistacja dokona jakiegoś cudu?

– Megan…

– Jestem ci niezwykle wdzięczna za okazaną mi pomoc, jednakże…

– Megan…

– Muszę cię zasmucić, moja kariera zakończyła się w dniu tamtego wypadku *i już nigdy*…

– Megan! Przestań tyle gadać i popatrz wreszcie, co się dzieje dookoła ciebie!

I właśnie wtedy zaliczyłam upadek numer 13.

* * *

Powróciłam myślami do kawiarni, gdy Alex zaczął machać mi metalową łyżeczka przed nosem, jakby chciał mnie wyprowadzić z transu.

Nie wiedziałam, dlaczego jest ze mnie taki dumny, skoro jedyne, co udało mi się osiągnąć, to kolejny punkt na mojej liście nieudanych prób powrotu do jazdy.

– Jesteś za bardzo skupiona na tym jednym upadku, a nie widzisz najważniejszego.

– Jakim cudem nie zauważyłam wtedy, że jadę? – zapytałam.

– No nie mam pojęcia, może dlatego, że byłaś zbyt zajęta gadaniem? Używasz zdecydowanie zbyt wielu orzeczeń w jednym zdaniu. Na następnym treningu spróbuj ograniczyć się do zwykłego: „Tak jest, najwspanialszy trenerze Alexie" albo przynajmniej: „Och Alex, jaki jesteś cudowny".

– Choćbyś mi nożem groził, nigdy tego nie powiem – roześmiałam się i zabrałam się wreszcie za mój przepyszny kawałek szarlotki, który niestety zdążył już wystygnąć.

– Poza tym za każdym razem, jak się do mnie zbliżałaś, ja się oddalałem, żeby zmusić cię do ciągłej jazdy – powiedział jakby od niechcenia i zasłonił się filiżanką herbaty.

– Żartujesz?!

– Czy teraz zasługuję na miano cudownego trenera?

– Nie schlebiaj sobie, jesteś co najwyżej przeciętny – rzuciłam i dopiłam herbatę.

Po powrocie do domu marzyłam tylko o tym, żeby wreszcie położyć się do łóżka i nie musieć z niego już nigdy więcej wychodzić.

Cały czas myślałam o tym, co się dzisiaj stało, więc natłok wrażeń i tak nie pozwoliłby mi zasnąć. Nie mogłam wyjść z podziwu dla Alexa i tego, że jako pierwszy od tak dawna zmusił mnie do utrzymania się w siodle dłużej niż przez minutę.

Sięgnęłam do torby po telefon, ale zamiast niego natrafiłam na mały papierowy rulonik, którego z pewnością tam nie wkładałam. Zawiniątko było niewiele większe od mojej dłoni, ale przewiązane śliczną niebieską tasiemką. Rozwinęłam je, a moim oczom ukazał się niewielki, lecz uroczy szkic, który przedstawiał mnie i Pistację przekraczającą linię mety na torze. Pod spodem znajdował się napis, charakter pisma upewnił mnie, że to mój nowy wspaniały nauczyciel jest autorem wiadomości. Smukłe litery niebieskiego atramentu mówiły:

To nie wiara czyni cuda, lecz ludzie, którzy nie stracili wiary. A ja z pewnością jej nie straciłem. Pytanie brzmi, czy ty jeszcze ją masz?

Może to głupie, ale w tamtym momencie naprawdę myślałam, że mogę zrobić wszystko. I chociaż wiedziałam, że przede mną jeszcze długa droga, to po raz

pierwszy od bardzo dawna czułam, że może być już tylko lepiej.

Nim sen odebrał mi ostatki świadomości, zobaczyłam, jak światło księżyca odbija się od czegoś metalowego na moim biurku i kieruje promień na szkic, który dostałam od Alexa.

Rano okazało się, że to małe metalowe „coś" to tabliczka z napisem „Devon".

Julia Winiewska

Bieg do życia

MAMA
2017

Siedziałam na twardym, żółtym siedzeniu i czekałam. Nie mogłam przestać wpatrywać się w bieżnię. Bujałam się na siedzeniu w przód i w tył, trzymając się kurczowo jego brzegów. To zadziwiające, widziałam go już tyle razy, tyle razy mu kibicowałam, a mimo to za każdym razem czułam tak samo wielki stres. Najchętniej stanęłabym za niego na starcie. Przeżyłabym całe życie za niego, gdybym tylko mogła. Najgorsze, co może być, to patrzenie na cierpienie swojego dziecka. Kiedyś patrzyłam na to zbyt dużo i zbyt często.

Teraz widziałam już tylko skupienie na jego twarzy, kiedy sędzia kazał ustawić się zawodnikom na miejscach.

Zaraz pobiegnie, robiąc to, co potrafi najlepiej w życiu, a ja znowu poczuję się z niego dumna. Będzie biegł tak samo, jak biegł przez życie. Z przeszkodami, z trudem i wysiłkiem. Ale dobiegnie do mety.

Moje serce na chwilę się zatrzymuje, kiedy słyszę słowa sędziego: DO BIEGU, GOTOWI, START.

23.07.2000
GOTOWI

Od zawsze biegał. Odkąd tylko sięgam pamięcią, wyprzedzał wszystkich swoich kolegów w biegu na huśtawkę. Kiedy gdzieś z nim wychodziłam, nie mogłam go dogonić. Zawsze był 10 metrów przede mną. Miał w sobie tyle energii, że nie mógł usiedzieć w miejscu.

Było jasne, że zapiszę go na zajęcia lekkoatletyczne, na których zresztą radził sobie świetnie. Zawsze kiedy dobiegał do mety, czy tej prawdziwej czy do huśtawki, jego twarz promieniała w uśmiechu.

Niestety z czasem to się zmieniało. Coraz rzadziej się uśmiechał. A ja codziennie widziałam go biegnącego do domu. Nie był to jednak bieg szczęśliwego dziecka. Biegł szybko, jak zawsze, ale nie jakby ścigał się z wiatrem, tylko jakby uciekał.

Wszystko zaczęło się, kiedy poszedł do nowej szkoły. Nie wiedzieć czemu zaczął być dręczony i poniżany. Na początku były to drobne incydenty: zaczepianie, małe żarty. Byłam przekonana, że to minie. Ale nie mijało. Było coraz gorzej. Byłam przerażona nienawiścią, jaka czaiła się w tak młodych ludziach. Mimo że byłam już dorosła, dopiero wtedy nauczyłam się, że nienawiść nie potrzebuje szczególnego pretekstu, żeby się rozwijać. Nienawiść może wyrosnąć na najmniej żyznej glebie świata.

Któregoś dnia wbiegł do domu i jak zawsze od razu pognał do swojego pokoju, jakby nie zauważył mnie stojącej w oknie. A stałam tam codziennie.

Nie przywitał się ze mną, bo płakał. Nie chciał, żebym widziała, jak płacze, ale chyba nie wiedział, że ja widzę wszystko. Zawsze widziałam i będę widzieć.

Z tego samego powodu nie chciał nawet zmienić szkoły. Chciał pokazać wszystkim, jaki jest silny.

Dałam mu chwilę. Sobie też. Coraz bardziej przygnębiało mnie to, co się z nim działo.

Poszłam w jego ślady i skierowałam się do jego pokoju. Lekko zapukałam w drzwi.

– Nie chcę teraz rozmawiać – odezwał się cicho, jakby wszystko było w porządku. Był świetnym aktorem. Mogłabym się nawet na to nabrać, gdybym nie była jego matką.

– Ale ja bym chciała z tobą porozmawiać. Mogę wejść? – zapytałam, robiąc to samo co on: siląc się na ukrycie smutku w swoim głosie.

Nie usłyszałam odpowiedzi, więc po cichu otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka.

Siedział zgarbiony na łóżku, przyglądając się fotografii zawieszonej na ścianie. Wiedziałam, że w tamtym momencie było to dla niego jeszcze większe cierpienie.

Było to zdjęcie jego ojca sprzed 20 lat. Stał na nim dumny, z uśmiechem na ustach i medalem w ręku. Wygrał właśnie najważniejsze zawody w swoim życiu. Też biegał. To po nim mój syn miał w sobie takie zamiłowanie do sportu. Można powiedzieć, że więzów krwi się nie oszuka, a oni obaj zdecydowanie mieli to we krwi. I można powiedzieć, że obaj od czegoś uciekali.

Weszłam głębiej, nie martwiąc się już, czy mnie wygoni. Usiadłam na krześle naprzeciwko niego. Twarz miał całą we łzach, od czego krajało mi się serce.

– Zawsze był najszybszy. Tak jak ty – powiedziałam, patrząc na zdjęcie, z lekkim uśmiechem na ustach.

– Ciekawe, czy od nas uciekał równie szybko! – krzyknął nagle i zerwał zdjęcie ze ściany. Cisnął nim

o ziemię, a ramka potłukła się na tysiąc małych kawałeczków, których już nic nie mogło naprawić.

Tak samo jak moje serce, kiedy zobaczyłam jak mój syn zwija się na łóżku i zaczyna zanosić się płaczem.

– Ciii – mówiłam głaszcząc go po głowie. – Co tym razem ci zrobili?

– Powiedzieli, że na miejscu mojego ojca też by uciekli, bo nie chcieliby takiego syna jak ja!

Nim się zorientowałam, sama zaczęłam płakać. Przytuliłam się do niego i po chwili milczenia zaczęłam mówić:

– Ja chcę takiego syna. Rozumiesz? Ja chcę takiego syna i nie wymieniłabym go na żadnego innego – na marne próbowałam mówić opanowanym i silnym głosem. Zasnęliśmy przytuleni do siebie, do końca nie wiedząc, kto kogo pociesza.

2008
DO BIEGU

Było coraz gorzej. Nic dziwnego, że z czasem całkowicie przestał biegać. Biegał już tylko do domu, co jak zwykle obserwowałam z kuchennego okna. Był już prawie dorosły, miał 17 lat, a przestał biegać jakiś rok temu. Nadal nie zgodził się zmienić szkoły, ale przepisałam go do innej klasy. Poznał nowych, starszych o kilka lat kolegów. Na początku się cieszyłam, ale z czasem moja radość malała. Nim zrozumiałam, że wpadł w złe towarzystwo, było już za późno.

Sypiał gdzieś na melinach, zaczęły się problemy z narkotykami, prawie go nie widywałam. Z prześladowanego stał się prześladowcą.

Cierpiałam jeszcze bardziej i byłam pewna, że on też cierpi. Całymi nocami czekałam, aż wróci do domu,

nieraz bez skutku. Kiedy wracał, cały dzień leżał w łóżku albo przesiadywał ze swoimi kolegami.

Nie oceniałam ich. Prawdopodobnie były to dzieci, które kiedyś też wpadły w złe towarzystwo. Albo po prostu były zbyt wrażliwe. Bo przecież wiedziałam, że mój syn nie jest zły.

Którejś nocy usłyszałam, jak płacze. Myślałam, że przestał to robić, odkąd skończył 13 lat.

Podeszłam pod drzwi jego pokoju, oparłam czoło o futrynę i nasłuchiwałam. Wahałam się, czy wejść, czy odejść. Ostatecznie obudziłam się cała obolała pod jego drzwiami.

Rano, kiedy zszedł na śniadanie, zaczęłam rozmowę, którą prowadziliśmy już tysiąc razy.

– Chciałabym, żebyś wrócił do życia – powiedziałam łamiącym się głosem.

– Przecież żyję – odpowiedział obojętnym tonem, siadając do stołu.

– To – wskazałam na niego. Miał na sobie wczorajsze ubrania i wyglądał, jakby nie spał co najmniej trzy doby. – To nie jest życie.

– Powinnaś się cieszyć. Zawsze chciałaś, żebym przestał się przejmować. To się nie przejmuję.

– Cieszyłabym się, gdybyś wrócił do biegania. Uwielbiałeś to. Pamiętasz? Jak byłeś mały… – nie dane mi było skończyć.

– Przestań! – krzyknął tak nagle, że aż podskoczyłam. – Opowiadasz tę samą historię z huśtawką za każdym razem. Ale życie to coś o wiele trudniejszego niż bieg na huśtawkę i musisz się z tym pogodzić. Nie mam czasu na takie bzdury. Skończyłem z bieganiem. Raz na zawsze. I masz więcej nie poruszać tego tematu, rozumiesz? – gwałtownie wstał od stołu i równie gwałtownie złamał moje serce.

Później było jeszcze gorzej. Uzależnił się. Kiedy kilka dni był na głodzie, robił się agresywny. Już nie było żadnego sposobu, którym mogłam do niego dotrzeć. Codziennie musiałam patrzeć, jak mój syn stacza się na dno i zatruwa sobie życie.

2011

START

Wybawienie przyszło trzy lata później. A właściwie było to szczęście w nieszczęściu. Po zażyciu zbyt dużej dawki narkotyku trafił do szpitala w stanie krytycznym. Jak sam mi później opowiadał, był pewien, że umrze.

Siedziałam przy jego łóżku i głaskałam go po głowie, czekając aż się wybudzi. Nie widziałam go jakoś od miesiąca. Wyglądał okropnie. Twarz miał jakby poobijaną i zdeformowaną. Był chudy i wygłodzony. Był wrakiem człowieka. Płakałam nad jego łóżkiem, kiedy na chwilę się obudził.

– Mamo – szepnął ledwo słyszalnym głosem. Ale ja usłyszałam.

– Synku, dzięki Bogu! – zaczęłam całować go po całej twarzy. Całowałam oczy, nos, czoło, które tak bardzo kochałam i nie wyobrażałam sobie bez nich życia.

– Mamo, ja chcę wrócić do życia – powiedział i mogę przysiąc, że lekko ścisnął moją dłoń.

I tak zaczął się nowy etap w jego życiu. Naszym życiu. Wbrew pozorom była to najtrudniejsza droga, jaką musiał pokonać.

Trafił do ośrodka leczenia uzależnień o rygorystycznych zasadach. Nie mógł się z nikim widywać, telefon miał do dyspozycji raz w tygodniu. Musiał pracować i ćwiczyć, ale nie narzekał. Na żadnej z tygo-

dniowej rozmów nie żalił się, a kiedy powiedział mi, że wrócił do biegania, byłam w siódmym niebie. Jego wychowawca zauważył u niego talent na porannych ćwiczeniach. Zawsze mu powtarzałam, że chociaż nie wiadomo, jak bardzo by się starał, nie zabije tego, co ma w sobie.

Mogłoby się wydawać, że wszystko idzie w jak najlepszą stronę, teraz już tylko z górki. Nic bardziej mylnego. Była to mozolna droga pod górę, na której szczycie okazywało się, że jest jeszcze jeden, wyższy szczyt do zdobycia. I tak dalej, za każdym razem, kiedy już myślał, że wygrał.

Tak było, kiedy zadzwonił do mnie po roku pobytu w ośrodku. Musiał się jakoś dostać do telefonu, bo czwarta rano to zdecydowanie nie była jego pora na rozmowę.

Ciężko dyszał, jakby przed chwilą biegał i prawdopodobnie tak było, bo to był jego jedyny sposób rozwiązywania problemów, a słyszałam w jego głosie, że płakał.

– Mamo – szeptał do słuchawki. – Nie dam rady.

– Co się stało? Czemu nie dasz rady? – pomimo że dopiero się obudziłam, byłam gotowa od razu do niego jechać.

– Nie dam rady być czysty. Nie dam rady biegać. Nie dam rady, mamo – mówił z taką desperacją w głosie, że nie wytrzymałam i popłakałam się.

– Uspokój się – zaczęłam mówić, ale nie słuchał mnie.

– Nie dam rady. Nie dam rady – powtarzał jak w amoku. Czułam się tak samo bezradna jak on.

– Dasz radę! – krzyknęłam, żeby w końcu zaczął mnie słuchać. Podziałało. – Zawsze dawałeś sobie radę, dasz i teraz.

– Nigdy nie dawałem sobie rady, mamo. Byłem okropnym synem, okropnym człowiekiem. Wszystko jest we mnie nie tak. Nawet bieganie rzuciłem! Powinienem był się wtedy zaćpać na śmierć.

Nawet nie wiedział, jak bardzo zranił mnie tymi słowami. Nigdy, przez te wszystkie lata, nic nie zabolało mnie bardziej niż to, co wtedy powiedział.

– Synku, nic, co się stało, nie jest twoją winą. Pogubiłeś się, tak się niestety zdarza. Ważne, że teraz próbujesz wszystko naprawić. Wiem, że nie znosisz tej opowieści, ale pamiętasz, jak ścigałeś się z kolegami z podwórka? Dobiegałeś do huśtawki pierwszy, ale nie zawsze tak było. Na samym początku byłeś ostatni. Twoi koledzy byli od ciebie starsi, ale ty postawiłeś sobie za cel, że choćby nie wiem co będziesz najszybszy. I byłeś. Już zawsze dobiegałeś pierwszy. A to, że mimo wszystkiemu co się działo, nie chciałeś zmieniać szkoły? Przez tyle lat wykazywałeś się niesamowitym charakterem i determinacją. Jesteś najwspanialszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała, i nigdy, przenigdy nie możesz mówić tak strasznych rzeczy. Rozumiesz? Jesteś silny i dasz radę. Tylko biegaj, proszę cię, biegaj.

Wiele razy zdarzały się jeszcze takie sytuacje, a ja za każdym razem powtarzałam mu to samo. Żeby biegał. Wierzyłam, że jest to w stanie wyciągnąć go z największego bagna, w jakie tylko się wpakuje.

Odkąd się urodził, ścigał się i wygrywał. Jednak nie to czyniło z niego prawdziwego zwycięzcę. Był zwycięzcą, bo stanął do najważniejszego wyścigu w jego życiu. Mierzył się sam ze sobą. I wygrał.

SYN
2017

Zostałem w szatni sam. Wszyscy już wyszli, tak bardzo nie mogli się doczekać biegu. Lubili przysłuchiwać się wiwatom tłumów i oklaskom na ich cześć. Ja tego nie lubiłem, może dlatego, że moja kariera biegowa zaczęła się w ośrodku, gdzie również na mnie krzyczeli, ale zdecydowanie nie po to, żeby mi kibicować.

Otworzyłem szafkę i wyjąłem czarno-białe zdjęcie, na którym uśmiechnięty mężczyzna trzyma w dłoni medal. To był mój ojciec. Zostawił nas lata temu, ale mama zawsze powtarzała, że muszę mu przebaczyć, bo dostałem od niego najpiękniejszy dar, jaki mógł mi dać. Że właściwie to jemu zawdzięczam swoją pasję do sportu. Może w pewnym stopniu ma rację, ale ja wiem, że tak naprawdę wszystko zawdzięczam jej. Ona myśli, że o niczym nie wiem. Ile przeze mnie wypłakała łez, ile nocy nie przespała, jak bardzo przeze mnie cierpiała. Wiem, że codziennie stała w kuchennym oknie i wyczekiwała mojego powrotu. Wiem, że nieraz zdarzało jej się zasypiać pod drzwiami mojego pokoju. Wszystko zawdzięczam jej.

Upewniam się w tym jeszcze bardziej, kiedy wychodzę na bieżnię. Dookoła tysiące ludzi śmieje się i wiwatuje. Zawodnicy rozgrzewają się przed wyścigiem, a ja szukam na trybunach mojej mamy. Znajduję ją niemal od razu, w pierwszym rzędzie, naprzeciwko mnie. Jak zwykle siedzi zestresowana. Trzyma się kurczowo siedzenia i przygryza wargę. Chciałbym ją uwolnić od tego stresu. W jej życiu za dużo było już negatywnych emocji z mojego powodu.

Moje przemyślenia przerywa gwizdek sędziego. Ustawiam się na swoim miejscu. Centralnie przed

sobą widzę silną i odważną kobietę, która posyła mi uśmiech pełen wiary we mnie. A potem słyszę słowa sędziego: DO BIEGU, GOTOWI, START. W głębi duszy dziękuję mojej mamie za wszystko i biegnę.

Biegnę tak samo, jak biegałem miliony razy, ale tym razem jest inaczej. Biegnę, bo wreszcie jestem wolny. Biegnę tak szybko, jakbym nigdy nie miał się zatrzymać. I już wiem, że dobiegnę do mety z uśmiechem na twarzy.

Konkurs im. Jana Parandowskiego

jedyny nieokazjonalny konkurs na opowiadania o najdłuższej tradycji we współczesnej kulturze olimpijskiej

Po raz pierwszy konkurs przeprowadzony został w roku 1989 i zgłoszono wówczas 653 opowiadania napisane przez uczniów szkół podstawowych. Trzy pierwsze konkursy odbyły się w cyklach dwuletnich, kolejne (od 1994 roku) odbywały się corocznie. Obecny nosi numer 28 – to najstarszy w Rzeczypospolitej konkurs na utwór prozatorski, cieszący się zainteresowaniem przez ponad ćwierć wieku.

Od roku 2000 uczestnikami konkursu są uczniowie szkół podstawowych kl. IV–VI i gimnazjów. Rekordowe pod względem liczby zgłoszonych do konkursu opowiadań były lata: 2001 – 1098 opowiadań, 2002 – 1407 opowiadań, 2003 – 1191 opowiadań i rok 2004 – 1377 opowiadań.

Organizatorem Konkursu jest Polski Komitet Olimpijski. Do roku 2006 odbywał się przy współpracy Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu, w 2007 roku – Ministerstwa Edukacji Narodowej, a w latach 2009–2016 – przy wsparciu finansowym Ministerstwa Sportu i Turystyki. W roku bieżącym Konkurs odby-

wa się pod honorowym patronatem Ministra Edukacji Narodowej.

W roku 2018 do konkursu zgłoszono 222 opowiadania (96 z gimnazjów i 126 ze szkół podstawowych).

Wyniki konkursu prezentują:

- *Magazyn Olimpijski*
- *Olimpionik*
- Polskie Radio program I
- www.olimpijski.pl

Od roku 2001 opowiadania laureatów wydawane są w formie książkowej. Ukazały się już:

1. *Serce stadionu* – XI Konkurs (2001)
2. *Prawda stadionu* (2002)
3. *Światło stadionu* (2003)
4. *Radość stadionu* (2004)
5. *Stadiony nadziei* (2005)
6. *Stadiony marzeń* (2006)
7. *Stadiony wyobraźni* (2007)
8. *Stadiony w słońcu* (2008)
9. *Stadion ze słów* (2009)
10. *Siła marzeń* (2010)
11. *Na skrzydłach marzeń* (2011)
12. *Spełnione marzenia* (2012)
13. *Rezerwowa* (2013)
14. *Radość biegania* (2014)
15. *Sztafeta pokoleń* (2015)
16. *Jesteśmy jedną drużyną* (2016)
17. *Dogonić siebie* (2017)
18. *Sport nie zna granic* (2018)

Od 2014 roku książki mają swoje miejsce na www.olimpijski.pl w zakładce *Wydawnictwa*.

Konkurs zapewne nie budziłby tak szerokiego zainteresowania młodzieży, gdyby nie grono jego wieloletnich przyjaciół: **Renata Susałko** – dziennikarka sporto-

wa Polskiego Radia pr. I – juror konkursu od 1991 roku, **Krzysztof Zuchora** – nauczyciel akademicki, poeta, etyk, członek Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl – juror od 1995 roku, a od 1996 roku – przewodniczący jury konkursu, prowadzący uroczystość wręczania nagród laureatom, **Magdalena Janicka** – dziennikarka, juror od 1995 roku, **Tadeusz Rożej** – przedstawiciel Ministerstwa Sportu i Turystyki do 2014, juror od roku 2003, **Teresa Prusinowska** – polonistka czytająca dokładnie wszystkie opowiadania zgłaszane do konkursu w latach 1996–2010, **Jadwiga Pawlak** – juror dokonujący selekcji prac, polonistka czytająca wszystkie opowiadania od 2011 roku, **Zofia Czernicka**, która dołączyła do nas w roku bieżącym – członkini Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl i **Magdalena Rejf** – organizatorka konkursu z ramienia PKOl od 1995 roku.

Poprzez uczestnictwo w konkursie młodzież szkolna rozwija swoje sportowe zamiłowania, poszerza wiedzę na temat igrzysk olimpijskich i szeroko rozumianego sportu, przenosząc zachowania, emocje, postawy ze świata sportowego do własnego otoczenia, własnego życia. Opowiadania młodzieży pokazują i rozwijają jej potrzeby uczciwej rywalizacji, fair play, szacunku dla przeciwnika, niepełnosprawności, zachowania godności w przypadku przegranej, dezaprobaty wobec rasizmu, dopingu i nieuczciwej rywalizacji, uznania dla wysiłku, siły woli, przyjaźni i wspólnoty z innymi ludźmi.

Konkurs im. Jana Parandowskiego w roku 2009 uznany został przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski za jedną z 20 najlepszych inicjatyw edukacyjnych realizowanych przez narodowe komitety olimpijskie na świecie.

Magdalena Rejf

LAUREACI 2018

Uczniowie szkół podstawowych

Natalia Borowy – *Gdy wszystko tańczy*
kl. VII, Szkoła Podstawowa nr 4 im. Janusza Korczaka w Chojnowie, ul. Kilińskiego 23, 59-225 Chojnów
opiekunka literacka – Anna Denisiak

Magdalena Grodniewicz – *Lodowa pasja*
kl. VII, Katolicka Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II, ul. ks. Troski 17a, 32-050 Skawina
opiekunka literacka – Jolanta Kijak

Oliwia Jakubowska – *Największa wygrana*
kl. VI, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 330 im. Nauczycieli Tajnego Nauczania, ul. Mandarynki 1, 02-792 Warszawa
opiekunka literacka – Agnieszka Markowska

Jakub Krajnik – *Następna fala*
kl. VII, Szkoła Podstawowa nr 24 im. Gustawa Morcinka, ul. Lilli Wenedy 19, 80-419 Gdańsk
opiekun literacki – Leszek Krejczy

Anna Niewiarowska – *Sport bez granic*
kl. VII, Zespół Szkolno-Przedszkolny, Szkoła Podstawowa, ul. Kolejowa 15, 32-080 Zabierzów
opiekunka literacka – Lucyna Czopek

Sylwia Siedlecka – *Spełnione marzenie*
kl. VII, Szkoła Podstawowa w Gawlikach Wielkich, Gawliki Wielkie 32, 11-510 Wydminy
opiekunka literacka – Justyna Kozłowska

Mikołaj Szczęsny – *Tajemniczy jeździec*
kl. VII, Szkoła Podstawowa Gminy Sieradz im. Jana Pawła II, ul. Armii Krajowej 5, 98-200 Sieradz
opiekun literacki – Maciej Rataj

Amelia Wota – *Skok w marzenia*
kl. VI, Szkoła Podstawowa nr 3 im. Marii Konopnickiej, ul. Marii Konopnickiej 5, 38-400 Krosno
opiekunka literacka – Dorota Patejko

Szkoły podstawowe – opiekunowie literaccy

Lucyna Czopek – Zespół Szkolno-Przedszkolny, Szkoła Podstawowa, ul. Kolejowa 15, 32-080 Zabierzów

Justyna Kozłowska – Szkoła Podstawowa w Gawlikach Wielkich, Gawliki Wielkie 32, 11-510 Wydminy

Maciej Rataj – Szkoła Podstawowa Gminy Sieradz im. Jana Pawła II, ul. Armii Krajowej 5, 98-200 Sieradz

Uczniowie gimnazjów

Aleksandra Babiuk – *Kaju, nie poddawaj się*
kl. II, Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Rudzińcu, ul. Gliwicka 5, 44-160 Rudziniec
opiekunka literacka – Wioletta Dymel

Julia Barska – *Cel*
kl. III, Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Stefana Żeromskiego, ul. Bohaterów Monte Cassino 14, 49-300 Brzeg
opiekunka literacka – Marzena Kuleba

Iga Górecka –*Trudne początki – z dziennika najszybszej kobiety w kraju*
kl. II, Szkoła Podstawowa Gminy Sieradz im. Jana Pawła II w Sieradzu, ul. Armii Krajowej 5, 98-200 Sieradz
opiekunka literacka – Monika Piaskowska

Kacper Graczyk – *By nie odeszli w niepamięć*
kl. II, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie, ul. Włocławska 13, 87-704 Bądkowo
opiekunka literacka – Halina Dondalska

Agnieszka Kulesz – *Prawdziwe zwycięstwo*
kl. II, Zespół Oświatowo-Wychowawczy w Strzale, Chodów, ul. Sokołowska 1, 08-110 Siedlce
opiekunka literacka – Anetta Marzec

Julia Jankowska – *Chcę być…*
kl. II, Szkoła Podstawowa nr 37 im. kard. Stefana Wyszyńskiego, ul. Sarbinowska 10, 54-320 Wrocław
opiekunka literacka – Joanna Kot

Aleksandra Majcherska – *Niemożliwe nie istnieje*
kl. III, Szkoła Podstawowa nr 39 im. Szarych Szeregów z oddziałami gimnazjalnymi, ul. Krężnicka 156, 20-518 Lublin
opiekunka literacka – Anna Woźniak

Daria Warchał – *Pistacja na miecie*
kl. III, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego, ul. Bohaterów Monte Cassino, 49-300 Brzeg
opiekunka literacka – Agnieszka Suska

Julia Winiewska – *Bieg do życia*
kl. III, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Władysława Jagiełły z wygaszanymi oddziałami Gimnazjum nr 1, ul. Władysława Jagiełły 30, 14-400 Pasłęk
opiekunka literacka – Anna Zimnicka

Klasy gimnazjalne – opiekunowie literaccy

Joanna Kot – Szkoła Podstawowa nr 37 im. kard. Stefana Wyszyńskiego (oddział gimnazjalny), ul. Sarbinowska 10, 54-320 Wrocław

Marzena Kuleba – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Stefana Żeromskiego, ul. Bohaterów Monte Cassino 14, 49-300 Brzeg

Anna Zimnicka – Szkoła Podstawowa nr 1 im. Władysława Jagiełły z wygaszanymi oddziałami Gimnazjum nr 1 im. Władysława Jagiełły w Pasłęku, 14-400 Pasłęk

SPIS TREŚCI

Jan Parandowski – Magdalena Rejf 5
Wstęp – Krzysztof Zuchora 17

LAUREACI –
UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH 23

Natalia Borowy – *Gdy wszystko tańczy* 34
Magdalena Grodniewicz – *Lodowa pasja* 40
Oliwia Jakubowska – *Największa wygrana* 50
Jakub Krajnik – *Następna fala* 58
Anna Niewiarowska – *Sport bez granic* 66
Sylwia Siedlecka – *Spełnione marzenie* 80
Mikołaj Szczęsny – *Tajemniczy jeździec* 88
Amelia Wota – *Skok w marzenia* 95

LAUREACI – KLASY GIMNAZJALNE 105

Aleksandra Babiuk – *Kaju, nie poddawaj się* 115
Julia Barska – *Cel* 125
Iga Górecka –*Trudne początki* 129
Kacper Graczyk – *By nie odeszli w niepamięć* 139
Agnieszka Kulesz – *Prawdziwe zwycięstwo* 146
Julia Jankowska – *Chcę być…* 153
Aleksandra Majcherska –*Niemożliwe nie istnieje* . . . 157
Daria Warchał – *Pistacja na mecie* 165
Julia Winiewska – *Bieg do życia* 175

Ogólnopolski Konkurs im. Jana Parandowskiego na opowiadania olimpijskie – Magdalena Rejf 185
Laureaci 2018 188

ISBN 978-83-66027-12-1